

Grzegorz Gortat

SŁOWIK
MOSKIEWSKI



*Humphreyowi Bogartowi i Charlesowi Bukowskiemu,
którzy już spotkali Czerwonego Wróbla*

Osoby

Al Niczyj - Amerykanin polskiego pochodzenia

Towa - I sekretarz PZPR

Walerian Pipkow vel Halloween - totumfacki I sekretarza

Maks Samojed vel Garota - ochroniarz I sekretarza

Bronisław Cudny vel Bezkostny - ochroniarz I sekretarza

Anastazja Muraszewa Koropotkina - zasłużona artystka ZSRR

Irena Zajcewa - woźna w Domu Partii

Cyrano - premier rządu

Zygmunt Łatka - cenzor z ulicy Mysiej

Nina - aktorka scen warszawskich

Roman Utang - dyrektor Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych

John Cabot - ambasador USA

Dederko - recepcjonista w Hotelu Central

Niedonosek - pracownik Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych

Bruce Lee - Amerykanin chińskiego pochodzenia

Jerzy Putrament - literat

Mr. Eat Shit - nieprzypadkowy Amerykanin

Leopold Tyrmand - literat

Awierkij Aristow - ambasador ZSRR

Wiaczesław Draczenko - sekretarz prasowy ambasady radzieckiej

Kazimierz Bogucki vel Fryderyk Kompot - warszawiak z Pragi

Irmina Surmacz - porucznik MO

oraz inni

Bóg w swej mądrości muchę uczynił, lecz nie wyjawiał, z jakiej przyczyny.

Ogden Nash

Przedstawione postacie i wydarzenia są od początku do końca produktem wyobraźni autora, zatem wszelkie podobieństwo do osób kiedykolwiek żyjących jest dziełem przypadku, cała zaś odpowiedzialność za takie ich ukazanie spada na poczucie humoru niżej podpisanego, które dojrzewało w ciekawych czasach państwowego komunizmu, gdy absurd i rzeczywistość zamieniały się maskami.

Autor

1.

Nawet amerykański łaps do wynajęcia stawia sobie pytania o sens życia. Wszystko z winy słabej konstrukcji psychicznej. No i przez książki.

Spałem snem sprawiedliwego, kiedy przyplątał mi się znajomy koszmar. Tym razem dla odmiany obok Ricka występowała Susan Sparky:

- To było wczoraj, Rick. Na rogu Trzydziestej Czwartej i Szóstej Alei.

Przerwała, żeby sięgnąć po papierosa. Dziwne, Rick wywnioskował przytomnie. Do wczoraj nie paliła.

Cisza przeciągała się. Zrozumiał, że to, co Susan Sparky ma do powiedzenia, nie chce jej przejść przez gardło.

- Mów dalej, Susan Sparky - zachęcił.

- Dochodziła północ. Tylko on i ja. W holu apartamentowca poza nami żywej duszy. Portier schował nos w gazetę. Rozumiesz?

Skinął głową.

- Nie chciałam tego. Wierzysz mi?

Przytaknął bez słowa. Susan Sparky była damą najwyżej w piętnastu procentach. Ale przy Cozzym każda kobieta ma prawo uważać się za damę.

- Czego oczekujesz?

- Załatw go.

Nie znosił mokrej roboty. Grubasa Cozzy'ego nie lubił jeszcze bardziej. Pech w tym, że mam swoje zasady, pomyślał Rick.

- Jestem prywatnym detektywem, Susan Sparky. Mokra robota to nie moja specjalność.

Zaśmiała się. Zapachniało jej ulubioną pastą do zębów.

- Nie zależy mi na głowie grubasa. Chcę jego klejnotów.

Zimny pot spłynął Rickowi po plecach i zmoczył gumę bawełnianych slipów. Nieźle wdepnąłem, pomyślał. Milczał.

- Dobrze zapłacę.

- Klejnoty? Masz na myśli...? - upewnił się. W sprawach tak delikatnej materii mężczyzna musi mieć stuprocentową pewność.

- Dołożę premię. Dzienna stawka razy cztery. Tylko przynieś mi je na tacy.

Widok nie na moje nerwy, pomyślał. Poczuł rewolucję w żołądku i wzrokiem poszukał toalety.

- Co byś powiedziała na plastikową torbę od Wal Marta?

Susan Sparky machnęła dłonią o wypielegnowanych paznokciach. Spędzała dużo czasu w salonie piękności.

- Jak wolisz. To ty jesteś profesjonalistą.

Tu mnie ma, zachnął się Rick. Był prywatnym detektywem i miał licencję na wykonywanie zawodu. Musiał zarobić na prowadzenie biura, sekretarkę i przynajmniej jeden posiłek dziennie. Chcąc nie chcąc musi zająć się Cozzym. Dwieście dolców za pół godziny to nienajgorszy bilans. W końcu całe parszywe życie, sprowadza się do wybierania mniejszego zła.

W tym momencie zbudziłem się. Rick Blaine vel Philip Marlowe vel Sam Spade wyparował w promieniach warszawskiego słońca jak butelka szkockiej w sobotni wieczór. To tylko sen, uspokoiłem się trąc oczy. Dawniej z tych koszmarów byłby chociaż wymierny pożytek. W sam raz pomyśl na scenariusz. Może na książkę. Teraz szkoda fatygi. Bogart nie wystąpi w nowym filmie, a Julianne-Anne na zawsze zniechęciła mnie do literatury.

Otworzyłem balkonowe drzwi w wynajmowanym mieszkaniu na czternastym piętrze wieżowca u zbiegu Tamki i Kopernika. Pachniało wiosną. Pałac Kultury i Nauki przesłaniał spory szmat nieba. Poczułem się jak w Nowym Jorku za szkolnych lat. Włączyłem radio: cudzoziemcowi lekcji polskiego nigdy za dużo. Miękki baryton zachwalał w latynoskim rytmie uroki Kuby gorącej jak wulkan. Kalendarz ścienny informował, że jest sobota, dwudziestego kwietnia sześćdziesiątego trzeciego roku, słońce wstało o czwartej dwadzieścia dziewięć. Za to ja o jedenastej. Minął tydzień, a wciąż nie mogę się przestawić. W Warszawie jedenasta, w Kalifornii ósma wieczorem. Jedyna pociecha, że świat w zasadzie wspiera się na solidnych fundamentach postępu. W 1861 roku opatentowano WC spłukiwane wodą. W 1870 roku 15. poprawka do konstytucji dała czarnym prawa wyborcze. W 1878 roku nowojorczycki pierwszy raz mogli kupić mleko w butelkach, osiem lat później Ameryka dostała coca colę. Tyle że w 1920 roku na mocy 19. poprawki kobiety w Ameryce uzyskały prawo głosu. Na tym z grubsza polega problem: ledwo świat zrobi krok do przodu, to cofa się o dwa.

Henryk VIII, stary podagryk z hemoroidami, sześć razy zmieniał żonę. Gdyby Marilyn Monroe pożyła dłużej, pewnie by wyrównała rekord Tudora. Cztery wieki po Henryku role się odwróciły. Weźmy Julianne-Anne i mnie. Kiedy w kwietniu sześćdziesiątego drugiego stało się jasne, że darmozjady przyznające Pulitzera kolejny raz olały kandydaturę Kerouaca, Julianne-Anne na znak protestu zerwała z dotychczasowym

życiem. Dwa tygodnie przed ślubem wyrzuciła zaręczynowy pierścionek - prezent ode mnie - i wydała się za doktora Strassera. Doktor Strasser ma zerowe pojęcie o literaturze. Jest lekarzem od zwierząt. Zakłada gumową rękawiczkę i grzebie krowie pod ogonem. Ogląda końskie gówno pod mikroskopem, szukając robali, zanim pośle chabetę na szafot. Jedyna powieść, jaką przeczytał w dorosłym życiu, to *Grzędawisko* Sinclaira. Niestrawne dziełko o rzeźniach w Chicago. Dla końskiego doktora lektura obowiązkowa. Z Kerouaca pan Strasser nie przeczytał ani linijki. Ale ma serdecznego przyjaciela, którego kumpel ma kumpla, który z Kerouakiem przejechał pół Ameryki autobusem linii Greyhound. Julianne-Anne dowiedziała się o tym i straciła dla Strassera głowę. Portret Kerouaca od czterech lat wisi nad jej łóżkiem, obok fotografii Siedzącego Byka i torby uszytej z pary jej dziewiczych dżinsów.

Jasne, że ludzie mają większe zmartwienia. Na przykład, jak nie dać się wyrolować karaluchom i za ich przykładem przetrwać wojnę atomową. Albo jak przez tydzień zrzucić trzydzieści funtów.

Wyszorowałem zęby pastą Crest, otworzyłem nowe pudełko płatków owsianych Quaker Oats. Policzyłem: zostało osiem pudełek. Do końca pobytu w Polsce nie muszę się faszerować klajstrowatą owsianką tutejszej produkcji.

W samych gatkach siedziałem przy stole, wsuwałem płatki z mlekiem i przeglądałem wczorajsze gazety. Normalny dzień pracy amerykańskiego korespondenta polonijnego dziennika. Śledzę na bieżąco wydarzenia w Polsce i za granicą.

Bezpośredni telefon

między szefami rządów ZSRR i USA

ZAŁOŻENIE BEZPOŚREDNIEGO TELEFONU MIĘDZY SZEFAMI ZSRR I USA
REDUKUJE RYZYKO WYBUCHU WOJNY NA SKUTEK BRAKU KOMUNIKACJI W
OKRESACH KRYZYSU

MAROKO NIE CHCE AMERYKAŃSKICH BAZ

Słoneczny piątek dniem intensywnych prac w polu

ŁUNA-4 Z KAŻDĄ GODZINĄ DALEJ OD ZIEMI, BLIŻEJ KSIEŻYCA. SREBRNY
GLOB - ZAGADKĄ DO ROZWIĄZANIA

Budowlani stolicy pokonali zimę. Mimo sześciu całkowicie martwych zimowych tygodni budowniczowie z pojedynku z mrozem wyszli zwycięsko. Wszystkie przedsiębiorstwa budowlane w Warszawie znacznie przekroczyły swoje plany.

Wypiła butelkę jodiny, bo chciała nastraszyć męża

LIKWIDACJA BAND KONTRREWOLUCYJNYCH NA KUBIE

W CIĄGU 20 LAT LICZBA DŁUGOWIECZNYCH W ZSRR ZWIĘKSZYŁA SIĘ Z 4,5 DO 8 MLN

Kennedy usiłuje zapobiec strajkowi kolejarzy

Władysław Gomułka na spotkaniu z aktywem partyjnym stolicy apeluje o wydajniejszą pracę załóg

Zadzwoił telefon. Zignorowałem. Chuck miał rację. Uprzedzał, że w Polsce mogą mnie spotkać dziwne przygody.

Telefon nie przestawał terkotać. Dzwon, ja swoje wiem. Wymiatając resztę płatków z talerza, doczytałem do końca artykuł z „Przekroju”: „Mimo nieustających wysiłków władz i rozbudowy zaplecza technicznego, nadal jedynie co dziesiąty mieszkaniec Warszawy posiada aparat telefoniczny. W niektórych rejonach stolicy na założenie telefonu trzeba czekać do siedmiu lat”. W świetle powyższego pan Bończak-Kiryński, drugi flet Filharmonii Narodowej i właściciel mieszkania na Tamce, nie dobił nawet do półmetka. Gdybym miał mu coś doradzać, to radziłbym czteroletni kontrakt na tournée dookoła świata zamiast miesiąca wojażowania po salach koncertowych Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Zdażyłem wciągnąć spodnie, kiedy coś ciężkiego uderzyło w drzwi wejściowe. Posypały się w drzazgi. Kiepska stolarka.

Do pewnych rzeczy człowiek się przyzwyczaja. W biurze w Oakland wstawiam nowe drzwi średnio raz na kwartał.

- Paszport! - zażądał najstarszy z całej trójki.

Przypominał mi wuja George'a. Od przejścia na emeryturę wuj George dorabia sobie w Halloween jako żywy eksponat na wystawach sklepowych.

- Czemu to nie odbieramy telefonu? - Halloween zdjął marynarkę i rzucił na krzesło.

Był uzbrojony od pasa po pachy.

- Niby jak? Przeciągnięcie linii jest wstępnie planowane na rok sześćdziesiąty siódmy
- zacytowałem Bończaka-Kiryńskiego.

Otworzył paszport i przyjrzał mi się uważnie. Pod przezroczystą skórą twarzy widziałem każdą żyłkę.

- Mogę już mu przypierdolić? - odezwał się drugi. Szerokie plecy, krótka szyja, niskie ruchliwe czoło, długie ręce.

Halloween schował paszport do kieszeni spodni i zniknął w przedpokoju. Jak na kościotrupa poruszał się zadziwiająco szybko.

Po chwili był z powrotem.

- A to? Co to niby jest? - Podsunął mi pod oczy rękę z telefonem.

- Telefon. Wczoraj jeszcze nie było.

- Mogę już? - dopraszał się tamten. Krótkie grube palce miał jakby stworzone do zabaw z garotą.

Trzeci skończył przetrząsać szafę i oglądał szpargały na biurku. Poruszał się niezbornie, jakby zamiast solidnych kości miał podróbki z gumy.

- Wycinki z gazet - zameldował tonem kaprała składającego raport na porannym apelu. - Liczebność Polski pod koniec 1962 roku. 50-lecie Teatru Polskiego. Opóźnienia w krajowej produkcji spowodowane wyjątkowo ostrą zimą. Repertuar stołecznych kin. Niedobór toalet publicznych w Warszawie - wyliczał Bezkostny.

- Szpieg - podsumował Garota.

- Na co to wam? - spytał Halloween.

- Piszę artykuły o Polsce. Jestem korespondentem amerykańskiego dziennika dla polonusów.

- Przyznał się - ucieszył się Garota.

- Przyznaję się jeszcze do posiadania przewodnika po Warszawie i *Bedekera warszawskiego*. A w szufladzie szafki nocnej trzymam drugie wydanie *Złego Tyrmanda*.

- Ubierać się! - rzucił ponagląco Halloween. Sam założył marynarkę, przykrywając ubraniem dwie bliźniacze kabury u paska spodni i dwie pod pachami.

Jeden na trzech. Czternaste piętro. Byłem nieuzbrojony. Pomyślałem, co Chuck zrobiłby na moim miejscu.

Dopiąłem spodnie, włożyłem koszulkę polo i tweedową marynarkę. Bezkostny obszukał mnie starannie. Pod eskortą zjechałem windą na parter. Przed wieżowcem stał czarny samochód z kierowcą. Wsiedliśmy. Halloween obok kierowcy, ja wciśnięty między

Garotę i Bezkostnego. Wolno sięgnąłem ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem paczkę Wrigley's Spearmint Gum.

- Nie palimy! - warknął Garota. - Nowiutka tapicerka.

Rozwinąłem papierek i wsunąłem do ust listek gumy. Garota spojrział na mnie nieprzyjemnie. Zapalił papierosa. Zaśmierdziało jak w szatni futbolistów po meczu.

Samochód ruszył.

2.

Jechaliśmy na pełnym gazie przez centrum miasta. Kierowcy ustępowali nam drogi. Mijaliśmy kłocowate domy i ogonki smutnych ludzi przed sklepami. Zachmurzyło się i zaczął siąpić wiosenny deszcz. Na chodnikach zrobiło się gęsto od parasoli i męskich беретów z antenkami.

Ilekcioć widzę gościa w berecie, przypomina mi się Chuck. Nie zdejmował беретu nawet do spania. Pewnie to też któreś z jego boskich przykazań.

Chuck miał nosa do interesów. Zaczął od handlu rybami na Fisherman's Wharf w San Francisco. Kiedy uznał, że ryb dosyć się nasprzedawał, zmienił branżę. Kupił podupadającą księgarenkę w dzielnicy Castro, interes na granicy opłacalności. Pół roku później sprzedał lokal firmie budowlanej, która po wyburzeniu kwartału ulic zamierzała postawić hipermarket. Chuck przerzucił się na handel nieruchomościami. Kupił zapuszczone działki budowlane na obrzeżach Oakland i sprzedał je z sześciokrotnym przebicciem Hindusowi z Singapuru. Hinduś przekształcił teren w pole golfowe. Chuck tanio kupował, drogo sprzedawał. Przez dwa lata zarobił na czysto sto pięćdziesiąt tysięcy. Po pięciu latach do pierwszych stu pięćdziesięciu tysięcy dopisał dwa zera. Kolor samochodu dobierał do krawatu. Wspierał hojnie kampanie wyborcze Republikanów i Demokratów. Zaczęto przebąkiwać o wyborze Chucka na burmistrza. Chuck nie mówił nie. Dał się zaprosić w charakterze gościa na konwencję Demokratów i prezydent Kennedy ścisnął mu rękę. Chuck obiecał zastanowić się nad propozycją startu do Izby Reprezentantów. Po powrocie z Waszyngtonu spotkał na ulicy Jezusa i raptem mu się odmieniło. Jezus kazał Chuckowi rozdać wszystko, co posiada. Od biura do rezydencji Chuck miał nie więcej niż trzy przecznice. Do domu wrócił na bosaka i bez samochodu. Cały majątek przepisał na cele dobroczynne. Rodzina wsadziła go do czubków. Chuck dał drapaką i od tej pory żyje pełnią życia. Krąży między San Francisco i Santa Monica. Śpi pod gołym niebem, zimą czyta gazety w bibliotekach publicznych. Boże

objawienia zapisuje na skrawkach papieru i przybija je do drzew. Założył Kościół Chrystusa Kalifornijskiego i od południa do siedemnastej wygłasza kazania na skrzyżowaniach ulic. Kiedy problem mnie przerasta, idę do Chucka. Chuck patrzy mi głęboko w oczy, potem udziela rady. Bóg cię kocha, mówi, zawsze pragnie twojego dobra.

Więc jeśli i tak dostaję w dupę, przynajmniej wiem, że to w trosce o mnie. Najwyższy ma wobec mnie swoje plany.

Nie lubię jazdy samochodem. Sam rzadko siadam za kierownicą. Choroba lokomocyjna. Zbierało mi się na wymioty.

- Daleko jeszcze? - spytałem.

Halloween nie raczył się odwrócić. Rzucił przez ramię:

- Bo ja wiem, czy jest się do czego spieszyć?

Garota dmuchał mi dymem w oczy. Palce Bezkostnego wyginały się, jakby były z gumy. Mijaliśmy ciąg domów mieszkalnych ze sklepami na parterze. Z lewej mignęły rusztowania ogromnego placu budowy: „Ściana Wschodnia”, czyli Manhattan na wschodnią modłę, wykluwała się z żelbetonu. Zieleni jak na lekarstwo. Dziur w jezdni od cholery. A nad wszystkim górował Pałac Kultury i Nauki; piął się w górę, jakby chciał sięgnąć nieba.

Skręciliśmy w jedną z uliczek dojazdowych i długo okrążaliśmy Pałac. Marnotrawstwo, pomyślałem. Wprost idealna lokalizacja na stadion baseballowy dla stu tysięcy widzów.

Przez krążanki śmignęliśmy na wewnętrzny dziedziniec. Strażnik w mundurze zasalutował. Dwóch postawnych typków w niedoprasowanych garniturach sprawdziło przepustkę kierowcy. Wysiedliśmy.

Halloween szedł pierwszy, ja w środku, Garota z Bezkostnym zamykali pochód. Wyplułem gumę na ziemię. Garota wdepnął i zaklął. Najwyraźniej mnie nie lubił. Takie rzeczy wyczuwam od razu.

W środku poczułem się nieswojo na widok zimnego marmuru i ciężkich kryształowych żyrandoli. Czerwone chodniki tłumiły kroki. Halloween kluczem otworzył jedno z wysokich bliźniaczych drzwi. Bezkostny został na korytarzu, weszliśmy. Garota chuchał mi w kark.

Jeśli istnieje czyściec, pomyślałem, to tak wygląda. Gigantomania na planie rotundy. Na wielkiej scenie orkiestra kameralna przygrywała *Cztery pory roku*. Ogromne kopułowe sklepienie raziło oczy setkami świateł. Nad widownią firmament stiuków i luksów. Zawirowało mi w głowie. Jak okiem sięgnąć białe fotele z czerwonymi obiciami, przejścia między rzędami wyściełały czerwone chodniki, trzy piętra balkonów zdobiły karmazynowe

wstęgi.

Halloween zadarł głowę i krzyknął:

- Przeprowadziłem!

- To na co czekasz? - spłynął z góry głos.

Halloween wprawnym ruchem dobył pistolet z prawej kabury u pasa. Jak na kościotrupa był naprawdę szybki. Durna śmierć, zdążyłem pomyśleć. Rick Blaine nie dałby się zabić dla głupich dziesięciu tysięcy dolarów. Tym bardziej Sam Spade. Czułem oddech Garoty na karku. Warszawscy kameraliści grali mi nad grobem *Wiosnę*. Nigdy nie lubiłem Vivaldiego. Halloween odbezpieczył broń. Zacisnąłem powieki. Huknęło.

Wciąż stałem. Otworzyłem oczy. Halloween znowu pociągnął za spust.

Strzelał szybko i pewnie. Z każdym strzałem pękał kolejny balon i spływający z góry obłok powoli przybierał ludzkie kształty. Zobaczyłem plecy spowite szarą marynarką, nogawki w takimż kolorze i źle podzielowane obcasy. Nadstawiłem uszu. Mój *deus ex machina* recytował coś monotonicznie acz z zacięciem:

- ...choć tematyka każdego z tych plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego partii była w swoim zakresie specyficzna, wszystkie łączy główna nić: dążenie partii do udoskonalenia i rozszerzenia szkolenia i nauczania młodego pokolenia oraz do zwiększenia i racjonalnego wykorzystania kadry naukowej i technicznej.

Opadając na czterech ocalałych balonach, osiadł miękko na ziemi. Blady jak kreda Garota rozpiął sprzączki i uwolnił baloniarza z uprzęży. Kogoś mi przypominał. Yunioshi, skonstatowałem. Yunioshi ze *Śniadania u Tiffany'ego*. Te same wymięte policzki, intelekt z trudem przebijający się przez szkła belferskich okularów.

Garota poprawiał mu marynarkę, a Yunioshi nie przestawał dukać, pomagając sobie kartką:

- Nie jest przypadkiem, że Komitet Centralny partii poświęca właśnie tym zagadnieniom tak wiele uwagi. Wymaga tego od nas samo życie. Kraj, który nie rozwija w szybkim tempie i w coraz szerszym zakresie wszelkich form szkolenia i nauczania swojej młodzieży, nie może nadążyć za szalonym wprost tempem rewolucji technicznej, jaka w naszych oczach dokonuje się w świecie i musi pozostać w tyle pod względem rozwoju swej ekonomiki i kultury. Są to prawdy powszechnie już dzisiaj znane i rozumiane w naszym społeczeństwie.

Niecierpliwie wyzwolił się z objęć Garoty.

- Powiedziałbym - podjął, przeciągając sylaby - że świadczy to, iż świat nauki idzie razem z partią i partia razem ze światem nauki.

Schowwał kartkę w bocznej kieszeni marynarki i podszedł do mnie. Uśmiechał się nieśmiało.

- Wiesław. Towarzysz Wiesław.

- Al Niczyj - zrewanżowałem się, delikatnie ujmując wąską miękką dłoń bez nagniotków.

Przeczesał resztki rozwichrzonych włosów.

- Ach! - westchnął - trzeci rok bez urlopu. Nie uwierzycie, jakie tam w górze powietrze. Oddycham pełną piersią!

Teraz go poznałem. W grudniu 1956 roku „Time” wałnął towarzysza Wiesława na okładkę. Chuck przewertował zasoby biblioteki publicznej w Oakland i przygotował mi małe dossier o Polsce. Na co drugim zdjęciu towarzysz Wiesław. Towa przecina wstęgę na otwarciu fabryki śrub. Towa dekoruje. Towa składa ręce do oklasków. Towa pryncypialnie wytyka brak postępów. Towa wyraża radość z osiągnięć. Spogląda w przyszłość. Myśli. Wbija pierwszą łopatę na placu budowy.

Podreptaliśmy do najbliższych drzwi. Miałem wrażenie, że czerwony chodnik nigdy się nie skończy. Towa dreptał pierwszy, tuż za nim dreptał usłużnie Halloween, Garota dreptał sprężysto i wyczekująco, wpatrzony w plecy Pierwszego.

Zanim się zorientowałem, dałem się wciągnąć w to zespołowe dreptanie. Wyszliśmy do holu. Od razu pomyliłem krok.

Towa gestem przywołał Halloweena.

- Aha - wyseplenił - niech przekażą Kliszce, żeby dał sobie spokój z eksperymentowaniem. Niech mi nie przysyła więcej tych muzykantów. Uszy puchną! Wołałem Mazowsze.

Bezkostny warował u drzwi.

- Temperatura? - spytał Towa.

- Osiem i pół - poinformował Bezkostny.

Interesujący eksperyment, pomyślałem. Kultura wysoka odbita rykoszetem od szarej rzeczywistości. Julianne-Anne byłaby zachwycona. Jeśli o mnie chodzi, trzymam się filmowej klasyki.

Szliśmy wyludnionym korytarzem. Wsiadliśmy do windy. Bezkostny uruchomił przycisk. Patrzyłem Towie w oczy. Pogwizdywał. Słyszałem miarowy oddech Bezkostnego. Pomknęliśmy w dół.

3.

Towa wszedł pierwszy i przekręcił światło. Piekło klaustrofobów. Trzy metry na trzy, ściany bez okien. Głową prawie dotykałem sufitu. Towa usiadł na drewnianym zydłu, podsunął mi drugi. Garota, Bezkostny i Halloween przywarowali przy drzwiach. Towa zdjął ze ściany termometr.

- Osiem i pół - potwierdził.

Przepełnił wymiętego papierosa, jeden kikut osadził w szklanej lufce. Podsunął mi paczkę „Sport” - przeczytałem na opakowaniu.

- Nie palę - powiedziałem.

Zaserwowałem sobie podwójną porcję Wrigley's Spearmint.

Towa zaciągnął się i wypuścił dym.

- Nawyk, młody człowieku. W celi papieros był mi jedynym towarzyszem. - Zdjął marynarkę. - W izolatce, wyobraźcie sobie, temperatura nie przekraczała ośmiu i pół stopnia. Więzienie. Twarda szkoła. O wodzie i kromce chleba. Ach, lata młodości! Niczego nie żałuję.

Zaczynał mi się podobać. Nie ufam mężczyznom, którzy na starość uciekają od wspomnień.

- Moja pustelnia - podjął omiatając wzrokiem cztery ściany. - Ucieczka od zgiełku. Tylko tu naprawdę wypoczywam.

Tytoniowy smród wypełniał kłitkę. Dym drapał mnie w gardle i chłód zaczynał dawać się we znaki.

Przypomniałem sobie Julienne-Anne. Stosy brulionów, w których moja odczytana luba kazała mi zapisywać książkowe mądrości.

- Życie każdego człowieka to samotna cela, w której ściany są lustrami - wyrwało mi się.

Towarzysz Wiesław spojrzął kątem oka na Halloweena.

Halloween wzruszył ramionami.

- Chyba Putrament...

- Eee tam! Putramenta nigdy nie posadziliśmy.

- Eugene O'Neill - dopowiedziałem.

- Amerykanin?

- Amerykanin. Pisarz. Dramaturg.

- Za co siedział?

- Ot, tak to sobie wymyślił. Symbolizm. Alegoryzm. Życie to więzienie, lustro - alegoria nieprzekupnego sumienia.

- Na szczęście - wtrącił Bezkostny, przytupując dla rozgrzewki - my u siebie już się z tym rozprawiliśmy.

Osiem i pół. Zimnica!

Towa ponownie załadował lufkę.

- Przejdźmy do meritum sprawy. - Przypalił od niedopałka. - Zaginął Słowik Moskiewski.

Déjà vu - przemknęło mi przez głowę. Jak żywy stanął mi przed oczami Sam Spade i feralny posążek czarnego sokoła z Malty, z powodu którego kule świstały i ludzie padali jak muchy. Milion dolców. Chciwość. Ambicja. Przez głupie milion dolarów miłość między Spade'em a Brigid nie miała szansy rozkwitnąć.

- Niech zgadnę - podchwyciłem i zacytowałem z pamięci: - czarna figurka ze szczerego złota wysadzana klejnotami, wiek około czterystu lat?

- Źle. Anastazja Muraszewa Koropotkina, zasłużona artystka ZSRR, udekorowana Orderem Lenina. Lat trzydzieści pięć i pół.

Podał mi fotografię.

- Niezła - przyznałem.

Podniosłem się, żeby oddać zdjęcie.

- Zatrzymajcie - powstrzymał mnie towarzysz Wiesław. - To wam ułatwi.

Wyczułem niebezpieczeństwo. Przywykłem raczej, że rzuca mi się kłody pod nogi.

- Co ułatwi?

- Pomożecie nam odszukać Słowika.

Na co ja ostrożnie:

- Czemu nie. Tylko że „Times-Union” jest gazetą o niewielkim zasięgu.

Towarzysz Wiesław zdjął okulary. Na mój gust w szklach prezentował się dużo korzystniej.

- Poza tym wychodzi tylko w Ameryce - dodałem.

Poczułem coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Swoją odpowiedzią najwyraźniej sprawiłem mu zawód.

- Pipkow - Towa skierował podkrążone oczy na Halloweena - o czym towarzysz Amerykanin mówi?

- Kręci - Halloween patrzył na mnie wrogo. - Zaraz do wszystkiego się przyzna.

Garota uśmiechał się promiennie.

Ostrożnie dobyłem z portfela nowiutką legitymację dziennikarską, którą zazwyczaj trzymam głęboko ukrytą. Zainwestowałem całe dwieście dolarów, żał by było uszkodzić.

- Pracuję dla „Times-Union”. To lokalna gazeta, wychodzi w Warsaw w hrabstwie Kościuszko, stan Indiana. Zbieżność nazw nieprzypadkowa. Połowa mieszkańców to polonusi w trzecim i czwartym pokoleniu.

- Stop dzet szajs! - zasyczał Halloween.

Garocie gęba nie przestawała się uśmiechać.

- Jezu, to chyba żadna zbrodnia! - Zwróciłem się bezpośrednio do towarzysza Wiesława. - Nasi z Warsaw nie chcą być gorsi od tych ze Springfield. Marzy im się wielka parada z okazji obchodów Tysiąclecia Macierzy. Zjazd wszystkich miast amerykańskich z Warsaw w nazwie.

Halloween przyłożył mi lufę pistoletu do policzka. Normalnie nie mam łaskotek. Aż do dzisiaj. Człowiek sam dla siebie jest zagadką.

- Stop dzet szajs! - powtórzył.

- *You mean, cut that crap?*

- Pipkow! - Towa krzyknął strofując.

Potem zwrócił się do mnie:

- Syndrom wojny, musicie zrozumieć. Towarzysz Pipkow do czterdziestego ósmego nie wypuszczał broni z rąk.

Halloween rakiem wycofał się pod ścianę.

Towa przedmuchał lufkę, ostukał o kolano i schował do kieszonki marynarki.

Osiem i pół. Marzyłem o gorącej herbacie. Halloween czytał z kartki. Mieszanina faktów i przekłamań. Najlepszy detektyw w Oakland? Zwykła autoreklama. W Oakland nikt się na to nie nabierze. Na trzydziestu pięciu licencjonowanych łapsów otwieram co najwyżej trzecią dziesiątkę.

Towarzysz Wiesław patrzył na mnie z wyrzutem.

- Czarno na białym, co? - podsumował.

Zgadzał się nawet numer i data wydania licencji. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wiedzieli, w której knajpie w Sausalito podarowałem Julienne-Anne zaręczynowy pierścionek. Prawdziwe złoto i prawie autentyczne diamenty. Sto siedemdziesiąt pięć dolarów w błoto. Do diabła z Kerouakiem!

Wzruszyłem ramionami.

- Dorabiam, jak potrafię. Nie każdy ma szczęście przyjść na świat w rodzinie krezusów.

- Sprzedajny skurwysyn - syknął Halloween.

- Podaj cenę, to ci powiem.

- Nazwisko pewnie też fałszywe - podsunął Garota.

- Własność rodziny od czterech pokoleń. Za Franciszka Józefa pradziadek podpisywał się jeszcze Nietschey. Zmienił pisownię po przyjeździe do Ameryki, żeby zmanifestować polskość.

- A mnie akurat wasze nazwisko się podoba - zaznaczył towarzysz Wiesław. - Ile w nim treści! Wyczuwam protest. Krzyk rozpaczy! Niczyj... Symbol wyobcowania w kapitalistycznej Ameryce. Odrzucenie przez nieludzki system.

Połknąłem gumę.

- Al to skrót od Aleksandra? - dociekał Towa.

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Nie pytaliście rodziców?

- Wychowywali mnie dziadkowie. Wcześniej zostałem sierotą.

Pokiwał współczująco głową.

- Rozumiem. Siepacze z komisji McCarthy'ego?

Był na bakier z datami. Uczyliśmy się historii z różnych podręczników.

- Huragan Julia. Zwiało ich z samochodem do oceanu.

- Dzisiaj jesteś, a jutro cię nie ma - spuentował sentencjonalnie Garota.

Towa nachylił się do mnie.

- A teraz tak od serca, towarzyszu Niczyj: kto i po co was przysłał?

- Piszę o Polsce. Relacje ze Starego Kraju. Polska w przededniu Tysiąclecia, osiągnięcia i wyzwania i tak dalej.

- Bez wizy dziennikarskiej? Żle to widzę. Bez pozwolenia na pracę. Zamiast, tak jak należy, w hotelu dla cudzoziemców, zatrzymaliście się w prywatnym mieszkaniu. Ukrywacie prawdziwy cel przyjazdu. Ach - westchnął - od której strony nie spojrzeć, jesteście na bakier z prawem.

Świat powstał w wyniku Prawybuchu. Wielkie Bang, potem przez długie miliardy lat bakterie i reszta tałatajstwa łączyły się ze sobą i kotłowały - a wszystko po to, by pewnego dnia dwóch gości stanęło naprzeciw siebie i ten, kto pierwszy pociągnie za spust, przechodzi do następnego etapu.

- Sumienie mam czyste - zapewniłem nieszczerze.

Towa niezdarnie założył nogę na nogę.

- To już nie nasz kłopot. Siedem dni, Niczyj. Tyle macie czasu. No, powiedzmy,

dziesięć. Musicie się sprawić najpóźniej do pierwszego maja.

Przywołał mnie ruchem ręki. Przysunąłem się z zydłem.

- Anastazja Muraszewa Koropotkina, zacna, piękna kobieta, o zasługach dla sztuki nie wspomnę, cieszy się przyjaźnią bardzo ważnej osoby. Nazwisko pominę. Koropotkina przyjeżdża do Warszawy i jak kamień w wodę. Co podejrzewam? Ktoś próbuje mnie poróżnić z najwyższym kierownictwem ZSRR, wbić klin między mnie a towarzyszy radzieckich. Krecia robota. Nikomu nie mogę ufać. Sprawa jest utrzymywana w absolutnej tajemnicy.

Ograniczano moją wolność. Tłamszono prawo wyboru. Jefferson pewnie przewraca się w grobie. Gdybym się zgodził, nigdy już nie mógłbym spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Tyle że w klitce trzy metry na trzy, kilkanaście metrów pod ziemią, skłonny byłem do renegocjacji przysługujących mi praw.

Zadałem pytanie najgłupsze z możliwych:

- Dlaczego ja?

- Potrzebny jest ktoś z zewnątrz. Powiedzmy, że ktoś nam was zarekomendował.

- Cała ta moja zabawa w detektywa to zajęcie po godzinach. Bardziej hobby niż praca.

- Kat dzet krep! - przerwał mi Halloween.

Towarzysz Wiesław powrócił z zydłem pod ścianę.

- To z grubsza byłoby wszystko. Pipkow w drodze do hotelu przekaże wam resztę szczegółów.

Chwilami ciamkał. Ciamkanie działa na mnie denerwująco. Od razu wiem, że gościowi spartaczyli sztuczną szczękę.

- Ogromne wyróżnienie - wydukałem. - Ale i odpowiedzialność. Jeżeli nie podołam...

Machnął ręką, jakby oganiał się od muchy.

- Przygotowaliśmy pokój. Taki jak ten, drzwi w drzwi. Przez najbliższe kilka lat nikt nie będzie was niepokoił.

Oparł się plecami o ścianę, skrzyżował ramiona i przymknął oczy.

Pomyślałem, co Chuck by zrobił na moim miejscu. Nie zwykłem kupczyć honorem.

Ale mam tylko jedno życie.

Wyszliśmy we czwórkę i ruszyliśmy pustym korytarzem. W głównym holu doskoczył do nas staruszek w niemodnym garniturze. Przypiął się do mnie.

- Niech pan sobie wystawi, że gdyby urodził się pan w Pałacu Kultury i Nauki i spędzał każdy kolejny dzień w innym pałacowym pomieszczeniu, to wyszedłby pan stąd jako dziewięćciolatek. Tyle tu sal, pokoi i pomieszczeń. Uwierzy pan?

Wierzyłem.

- Kto to? - spytałem, kiedy zostawiliśmy typka za sobą.

- Były dyrektor pałacu - wyjaśnił Bezkostny. - Od roku na emeryturze.

Garota patrzył na mnie wzrokiem głodnego tygrysa. Halloween-Pipkow postępował dwa kroki za mną. Wiedziałem, że nigdy go nie polubię. Mniejsza o gębę. Mam awersję do gości, którzy przykładają mi pistolet do głowy.

- Pipkow - zagałem z uśmiechem - masz wrodzony talent do nauki języków.

Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. Milczał.

- Wyczuwam takie rzeczy na odległość. Pomogę ci podszlifować angielski. Czemu nie. Jeśli chcesz.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Brakowało mu przedniej trójki. Nie odpowiedział, ale wiedziałem, że ryba połknęła haczyk.

4.

Lało jak z cebra. Czarny samochód czekał na dziedzińcu. Halloween rozsiadł się obok kierowcy, mnie wcisnęli między Garotę i Bezkostnego. Pojechaliśmy. Patrzyłem na miasto przez ociekające wodą szyby wozu. Panie, osłonięte płaszczami ortalionowymi, w kapiszonach na głowach, moczyły w kałużach modne czółenka. Przybyło беретów z antenkami. Z rzadka mignął męski kapelusz.

Wstępu do kawalerki Bończaka-Kiryńskiego broniły nowe drzwi. Standardowa stolarka. Otworzył nam nieznanymi mi małomówny gość, właściciel łysiny i garnituru w pepitkę. Weszliśmy. Spakowałem się w dwadzieścia minut. Garota i Bezkostny pomagali. Halloween knykciami ostukiwał ściany.

- To wszystko - oznajmił Garota.

Przejrzałem zawartość plastikowej torby, którą mi wcisnął. Mój zapas pasty do zębów Crest, kremu do golenia Gillette, gumy Wrigley's Spearmint i płatków owsianych Quaker Oats zmalował o połowę.

- Zgadza się? - Garota podniósł głos.

Skinałem głowę. „CREST PASTĄ DLA CAŁEJ RODZINY. Wzmacnia szkliwo zębów i chroni przed próchnicą”. Kontakt z pastą Crest wyjdzie Garocie na zdrowie.

Zajęliśmy miejsca w samochodzie.

- Bristol - rzucił Halloween do kierowcy.

Niebo przecierało się. Pojechaliśmy ulicą Kopernika do Świętokrzyskiej.

Garota szturchnął mnie łokciem. Pokazał ręką za siebie i fuknął, jakby o coś miał do mnie pretensję:

- Zamek Ostrogskich, siedziba Towarzystwa Fryderyka Chopina. Posiadłość magnatów stała się własnością narodu.

Skręciliśmy w Krakowskie Przedmieście. Palec Garoty powędrował w prawo:

- Pałac Staszica. Obecnie Polska Akademia Nauk. Dawna posiadłość magnatów powróciła do narodu. Pałaców przybywało. W ślad za palcem Garoty obracałem głowę na wszystkie strony. Przy Uniwersytecie Warszawskim zwolniliśmy. Garota wycelował rękę w kompleks budynków za bramą: - Po wojnie zespół pałacowy stał się własnością całego narodu. Naprzeciwko - Akademia Sztuk Pięknych w dawnym pałacu Czapskich. W Polsce Ludowej dawna posiadłość magnaterii stała się własnością narodu.

W głowie huczało mi jak wtedy, kiedy kopnął mnie koń Huxleyów. Coraz mniej mi się podobało, że moja guma do zucia i płatki owsiane zmieniły właściciela.

- Jesteśmy - obwieścił Halloween. Razem z Garotą zaprowadzili mnie do hotelu.

Rozglądając się po holu, przypominałem sobie *Złego* Tyrmanda. Uruchamiając pamięć i wyobraźnię, za Tyrmandem zapuściłem się w prawo, potem kilkoma stopniami w dół. Czarno politurowane krzeselka przy stolikach o blatach z podrabianego marmuru, kanapy wyściełane malinowym pluszem, kryształowe żyrandole na złożonych prętach, ogromne zwierciadło w kapiącej od złota ramie. Nie dla mnie. Muzea omijam z daleka.

Halloween z Garotą czekali, aż się zamelduję.

- *A hell of a hotel* - powiedziałem do Halloweena, kierując się ku windzie.

Spojrzał podejrzliwie.

- Amerykański kolokwializm - wyjaśniłem. - Coś jak: hotel w dechę. Sypniesz takim tekstem Jankesowi z Manhattanu, to z miejsca weźmie cię za Amerykanina.

Rozstałem się z nimi i wjechałem windą na piąte piętro. Zjechałem po dziesięciu minutach. Pan Śmierć i Garota zniknęli.

Podszedłem do recepcjonisty.

- Jak tu u was z porami posiłków?

- Śniadanie od siódmej do jedenastej trzydzieści, obiad od dwunastej do czwartej, kolacja od szóstej do dziesiątej.

- Pozostaje cholernie mało czasu na inne sprawy.

Wymeldowałem się. Recepcjonista nie robił mi trudności. Nachylił się nad kontuarem i szepnął konfidencjonalnie:

- Życzy pan sobie ekstra towarek? Amerykańska jakość, super świeża dostawa. Zaufane źródło.

Zapłaciłem bez targowania. Zgadzało się co do sztuki. Najbardziej się ucieszyłem z odzyskania Wrigley's Spearmint Gum.

Bywają gorsze nałogi, pocieszałem się, pakując do ust na raz dwa listki gumy. Są wartości, którym człowiek może zaufać. Wrigleyowa miętówka od siedemdziesięciu lat służy Ameryce i światu.

Gwizdnąłem na przejeżdżającą taksówkę. Nawet nie zwołniała. Uwolniłem ręce od bagaży, żeby przywołać następną. Garbate warszawy z paskiem szachownicy na boku mijają mnie, jakby się umówiły. Przypominały volkswageny po kuracji sterydowej.

Po dwudziestu minutach szczęście się do mnie uśmiechnęło.

- Godzina szczytu - wyjaśnił taksówkarz. - Pan nietutejszy?

- Ameryka - powiedziałem. - Kalifornia. Szukam hotelu.

Pokazał kciukiem Bristol.

- Za drogo?

- Zbyt tuczająca kuchnia. Zna pan niedrogie lokum w centrum?

Kiwnął głową. Ruszyliśmy.

Kierowca z nonszalancką wprawą wymijał dziury w jezdni. Sprezentowałem mu wrigleyówkę, ale odmówił. Popalał sporta. Mamuci Volkswagen tubylców wiozł mnie centralnymi ulicami stolicy, która w dziewięćdziesięciu procentach zaspokaja ogólnokrajowy popyt na telewizory. Patrzyłem na mijane sklepy SDH, WSS i MHD i myślałem nie bez dumy, że Warszawa jest jedynym w Polsce producentem samochodów osobowych i skuterów, o aparatach fotograficznych nie wspominając. W 2000 roku Warszawa będzie stolicą kraju liczącego sześćdziesiąt milionów mieszkańców. Miejscowi i przyjezdni już dzisiaj mają do dyspozycji trzy tysiące miejsc hotelowych i dwanaście publicznych wychodków.

Recepcjonista w hotelu ślamazarnie kartkował mój paszport. Wyglądał na gościa, przy którym śmierć wyrobiła kupę nadgodzin. Dwudolarowy banknot na moment przywrócił go do życia. Pokazał mi schody obok windy. Winda nie działała. Wdrapałem się na czwarte piętro. W pokoju pstryknąłem światło. Zgasilem. Zapaliłem lampkę przy łóżku. Wnętrze zyskało na wyglądzie. Toalety nie było. W głębi korytarza znalazłem wspólny kloz. Trzy stanowiska pracy, mocno sfatygowane. Ściany kabin przyozdobione skróconym kursem anatomii. W każdej kabinie centralne miejsce zajmował gwóźdź z nierówno pociętymi gazetami. Zerwałem jeden zestaw i pofatygowałem się na dół.

Staruszek drzemał z głową na kontuarze, obok talerza z krwistą kiszka. Sprawdziłem. Jeszcze żył.

- Pomysł niezły - zaimprovizowałem, kiedy się obudził. - Osobiście prasę wolę dostawać w całości.

Dźwignął się z krzesła i przyniósł z zaplecza pół rolki papieru toaletowego, spojrzeniem dając mi poznać, że nadużyłem jego uprzejmości. Wdrapałem się na czwarte piętro. Zdobywczy papier ukryłem w szafie. Włączyłem radio. Leżałem w ubraniu na łóżku i myślałem. Nie miałem nic lepszego do roboty.

W radiu facet śpiewał w rytmie bossa novy o nocach w Logrono z poznaną tam dziewczyną. Ja tymczasem odtwarzałem słowo po słowie rozmowę z księciem Sadruddin Aga Khanem, prywatnie szwagrem Rity Hayworth. Ktoś mnie wystawił. Księżę Khan? Działałby na przekór własnym interesom. Chyba że odgrywał wobec mnie podwójną rolę. Kto jeszcze mógł wiedzieć o moim wyjeździe do Polski? Każdy, komu by na tym zależało. Chuck, zapytany, wydałby mnie pierwszy. Jezus zakazał mu kłamać. Czemu księżę wybrał mnie? Co najmniej dwa tuziny prywatnych detektywów w Oakland biło mnie na głowę. Ostatni łaps w San Francisco bił mnie na głowę. Statystyka nie kłamie. Ale żaden nie skleci dwóch zdań po polsku. Tu miałem nad nimi przewagę. Czytałem Sienkiewicza i Tyrmanda w oryginale. Kłamię biegle w obu językach. Mogłem się podszyć pod amerykańskiego korespondenta o polskich korzeniach. Albo grać cwaniaka, co od dziesięciu lat żyje z oskubywania frajerów na praskim bazarze. Spec od trzech kart i przewalek z forszą. Zapasowe kieszenie wewnętrzne, oczy w tyle głowy i charakter w nogach. W Oakland do takiej roli nikt by mnie nie zatrudnił.

Uczucia to delikatna sprawa. Mam zbyt niskie wyobrażenie o miłości, by w imię czyichś amatorów nadstawiać karku. Anastazja Muraszewa Koropotkina pewnie najzwyczajniej w świecie odkochała się. Puściła Chruszczowa kantem. Bez podtekstów politycznych. Gość z łbem jak dynia przestał ją rajcować. Może poczuła miętę do Czou En Laja? Miłość nie zna granic językowych. Albo porwali ją agenci RFN-u podszywający się pod enerdownców. Albo zakochała się w muzyce Chopina i grzeje teraz łóżko obiecującemu adeptowi polskiej pianistyki. Albo wpadła do wybiegu dla niedźwiedzi na Pradze. Albo poćwiartował ją i spalił w piecu polski Landru. Jakkolwiek było, powinienem ją sobie odpuścić. To jak szukanie igły w stogu siana. Zwłaszcza w mieście, gdzie żyje milion dwieście tysięcy gości, którzy coca colę znają najwyżej ze słyszenia. Przeczekać. To najmądrzejsze, co mogłem zrobić. Zaszyc się w hotelu i dotrzeć do pierwszego maja. Odebrać *souvenir* dla księcia, a następny zachód słońca powitać na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

Zasnąłem w biały dzień. Kiedy się obudziłem, zapadał zmrok. Gość w radiu śpiewał o

kowboju. Kowboj miał marzenia, konia i kochał przestrzeń, jego koń uwielbiał siano. Żadna nowina, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie. Leżałem na łóżku i gapilem się w sufit. Sufit był spękany. W świetle lampki rozpoznałem kontury Idaho. Może jednak Montana? Wstałem i zapaliłem światło. Na suficie pokazała się cała mapa Stanów Zjednoczonych. Ciekawe, kiedy i komu zwali się na głowę.

Poczułem ssanie w żołądku. Zaserwowałem sobie miętówkę Wrigleya. Nie oszukałem głodu. Zszedłem na dół. Recepcjonista drzemał wciśnięty w fotel. Tak pewnie wyglądał Goethe w ostatniej minucie życia. Nie budziłem staruszka, niech oswaja się ze śmiercią. Wyszedłem przed hotel.

Gazety od kilku dni obwieszczały: „Staraniem Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dla uczczenia Pierwszomajowego Świąta na ulice miasta wraca pełne oświetlenie. Koniec z oszczędzaniem spowodowanym trudnościami zimowymi”. Obejrzałem się. Nad budynkiem mdło świecił neon „HOTEL CENTRAL”. Dobry znak, ucieszyłem się. To słowo to fundament, na którym wszystko się opiera. Komitet Centralny PZPR. Centralny Dom Towarowy. Centralne planowanie. Centrala Handlu Złomem.

Wyglądało na to, że - przypadkiem czy nie - trafiłem pod właściwy adres.

5.

Byłem głodny i wypatrywałem dobrze rokującej garkuchni. W miarę jak oddalałem się od centrum, ubywało czynnych latarni. Przeczytałem szyld z napisem „Flis” i zachęcony podszedłem bliżej. Stałem kilka metrów od wejścia, obserwując otoczenie. Ilekroć otwierały się drzwi, owiewał mnie obiecujący zapach barowego żarła. Wszedłem. Dym tytoniowy różnych gatunków tworzył nierozpoznawalną mieszankę.

Przebiłem się przez tłum do jedyne wolnego stolika. Przywołałem kelnera.

- Coś ciepłego - poprosiłem.

- Z konsumpcją czy bez?

Im dłużej patrzyłem na ryżą gębę gościa, tym więcej dostrzegałem defektów. Aż się prosiło, by dla symetrii ktoś podbił mu drugie oko.

- Słuchaj, koleś - powiedziałem - chciałbym coś zjeść.

Spojrzał na mnie z góry.

- Są flaczki i bigos. Z konsumpcją alkoholu?

- Nie piję.

- Obsługa beztrunkowa do pół godziny. Z alkoholem będzie szybciej.

Nie chciałem czekać pół godziny. Zamówiłem ćwiartkę czystej i flaki.

Dziadek zawsze przestrzegał mnie solennie przed barowym bigosem. W publicznej garkuchni, mówił, do kotła z bigosem pakują przeróżne świństwa. Przy szczególnie uroczystych okazjach u dziadków podawano flaczki. Celebrowanie doniosłych wydarzeń flaczkami obrosło w rodzinną tradycję przez wzgląd na pradziadka Nietscheya i wspomnienie bitwy pod Solferino. Flaczki ocaliły pradziadkowi życie. Dzień przed bitwą załadował w siebie dwie porcje kantynowych flaków, a nazajutrz całą bitwę przesiedział w latrynie z opuszczonymi spodniami.

Czekając na realizację zamówienia, oglądałem zatłuszczone plakaty na ścianach. Przeczytałem najbliższy: RZUCAM PALENIE, BO ZDROWIE CENIĘ. Zaraz obok zółciło się: CHOROBY WENERYCZNE PODNOSZĄ GŁOWĘ. Nad baterią butelek wisiał powiększony fotos prasowego anonsu

Zainteresuj się:

ZDROWIE I TRZEŹWOŚĆ

Miesięcznik wydawany w Poznaniu.

Nakład 100.000 Cena 1 zł

Ryży postawił przede mną michę z flakami i bez pytania napełnił wódką kieliszek. Oczekałem, aż pójdzie. Rozejrzałem się, po czym dyskretnie wylałem wódkę na podłogę.

- Pan niepijący?

Spojrzałem wymownie. Smutna inteligencka gęba. Zrobiło mi się intruza żal. Pokazałem wolne krzesło.

- Można? - zapytał

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, napełnił kieliszek i jednym haustem opróżnił.

- Wegetuję - oznajmił.

Nalałem. Wypił. Posmutniał jeszcze bardziej.

- Ma pan przed sobą ofiarę jednej litery.

Z cienkiego portfela wyjął podniszczony wycinek gazety. Rozwinął skrawek z pietyzmem, jakby trzymał w ręku własną klepsydrę. Podał mi. Przeczytałem zaznaczone zdanie: „Spotkanie zaowocowało dalszym zaciemnieniem stosunków między oboma bratnimi krajami”.

- Chochlik - pozałił się. - W oryginale stało „zacieśnienie”. Przez jedną literę z

naczelnego spadłem na dno.

Szybko dokończyłem flaczki. Zamówiłem drugą ćwiartkę wódki i dałem dyla, zanim miał czas podziękować.

Przez flaczki u Flisa pół nocy kursowałem między łóżkiem a toaletą w końcu korytarza. Przeklinałem barowe flaczki i ryżego kelnera o niesymetrycznie poobijanej gębie.

Do pradziadka Nietzscheya nie czułem żalu. Gdyby nie flaczki pod Solferino, pewnie by nie wyemigrował z rodziną do Ameryki.

6.

Kiedy późnym rankiem zwlokłem się z łóżka, kiszki chciały mi popękać. Powrót do stałych nawyków dobrze mi zrobi, uznałem wyjmując opakowanie Quaker Oats. Brodaty kwakier na obrazku miał dzisiaj twarz Chucka, który zamiast kwakerskiego kapelusza nosił beret z antenką. Zasalutował mi.

Walnąłem się z powrotem w pościel.

Ze snu wyrwały mnie wrzaski. Do pokoju za ścianą wprowadzili się przodownicy Polskich Kolei Państwowych z oddziału w Krakowie. W poniedziałek złożą pierwszemu sekretarzowi pierwszomajowe sprawozdanie z przedterminowego wykonania zobowiązań. W ramach walki z wypadkowością na kolei towarzysze z Krakowa postanowili zredukować liczbę połączeń. Im większe nasilenie ruchu, tym większa wypadkowość, zatem mniej składów oznacza zmniejszenie liczby wypadków. Ćwiczyli przemówienia i ostro pili. Walenie w ścianę nie pomogło. Przysunąłem szafę pod drzwi, do szafy dosunąłem łóżko i włączyłem radiodbiornik. Grano *IX Symfonię* Beethovena. Zatkąłem uszy gumą do żucia i puściłem Beethovena na pełny regulator. Próbowali staranować drzwi. Po pięciu minutach odpuścili i wyszli na miasto. Po „dziewiątce” zaczął się koncert filharmoników wiedeńskich. Chciałem doczekać *Marsza Radetzky’ego*, ale przysnąłem.

7.

Przyśniła mi się Anastazja Muraszewa Koropotkina. Paradowała przede mną w samej bieliźnie. Francuska koronkowa robota, oszczędność materiału na pograniczu perwersji.

W kolejnej odsłonie Koropotkina w kostiumie z *Madame Butterfly* śpiewała arię na operowej scenie. Towarzysz Dynia Nikita siedział w łoży honorowej z lornetką przy oku,

kryjąc facjatę pod maseczką wenecką. Jeździł lornetką po widowni, sprawdzał, kto gapi się na jego Słowika.

Halloween vel Pipkow siedział tak blisko, że prawie pluł mi do ucha. Enty raz opowiadał historię, którą zdążyłem poznać dzień wcześniej w drodze do hotelu Bristol. Towarzyszka Koropotkina to dar z nieba. Towarzysz Nikita przeżywa przy niej drugą młodość. Jednak, naturalnie, zachowuje pozory. Zabiera Koropotkinę tylko na nieoficjalne wizyty. W styczniu przebalowali pięć dni w leśniczówce pod Olsztynem. Nikita był Zeusem, a Koropotkina Europą. Europa uciekała, Zeus ją doganiał i nacjonalizował.

Wiosną Nikita wysłał Koropotkinę do Polski. Na przeczekanie, bo pod koniec kwietnia pierwszą wizytę w ZSRR składa Castro. Fidel, podniecał się Pipkow, to pies na kobiety. Temperament Latynosa. Wystarczy iskra i konflikt w gronie państw socjalistycznych gotowy. Koropotkina zjechała do Warszawy incognito. Dostała niekrępujący apartament w jednym z pałacyków Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W połowie kwietnia jak co dzień wypuściła się na miasto - od tamtej pory jak kamień w wodę. Dla towarzyszy z ambasady radzieckiej wizyta metresy Nikity do tej pory pozostaje tajemnicą.

Halloween-Pipkow jęknął w moim śnie. - Ten skurczybyk - poskarżył się - gotów porozrywać nas na strzępy!

- *Easy, man!* - uspokoiłem drania, patrząc przez lornetkę to na zamaskowanego Nikitę, to na szczelnie okrytą Koropotkinę. - W samym Los Angeles codziennie przepada bez śladu piętnaście osób - wyjaśniłem, sięgając po ulubiony przykład z rubryk kryminalnych.

Na szczęście Pan Śmierć nie zdecydował się zapytać, ilu delikwentów udaje się odnaleźć żywych.

8.

Dochodziła jedenasta. Chrupałem na sucho kwakierskie płatki zamiast ciepłego śniadania. Wspomnienie flaków à la Solferino wciąż nastawiało mnie niechętnie do regularnej konsumpcji.

Włączyłem radio na wiadomości. Rebelianci w Argentynie skapitulowali. Harold Wilson sprzeciwiał się palcowi NRF-u na cynglu nuklearnym. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR zakończył śledztwo w sprawie szpiega Olega Pieńkowskiego, który sprzedawał wywiadowi zachodnim poufne informacje o Związku Radzieckim. ZSRR ponawia propozycje rozbrojeniowe wobec USA. Cały naród kubański obchodzi drugą rocznicę

zwycięstwa na Playa Giron. Leningradzki profesor L. Łozina-Łoziński przeprowadził udane doświadczenie z konserwowaniem gaśienic zanurzonych w ciekłym azocie o temperaturze - 178 stopni Celsjusza. Na koniec profesor gaśienice ożywił. Nauka radziecka zrobiła pierwszy krok ku nieśmiertelności.

Kolejarze z samego rana wynieśli się. Od kwadransa w ich pokoju urzęduje sprzątaczką. Ma chyba sporą nadwagę. Klnąc jak szewc, zbiera na szufelkę szkło z potłuczonych butelek.

W radiu minirecital artystki „o głosie działającym jak opium”. Dałem głośniejsze. Edyta Piecha, Polka, urodziła się we Francji, wyszła za Rosjanina, mieszka w Leningradzie, śpiewa po rosyjsku. Dla miłości nie ma przeszkód, przekonuje przy wsparciu radzieckiego zespołu estradowego „Druzba”. Nie znam rosyjskiego. Uwierzyłem spikerowi na słowo i wyłączyłem radio.

Za oknem siąpiło wiosennie. Stojąc w oknie patrzyłem na wędrującą po szybie muchę. Chwyciłem gazetę i posłałem muchę na tamten świat. Zachwiałem równowagę we wszechświecie. To jedna z teorii Chucka.

Zmierałem do łazienki, kiedy ktoś zapukał cicho do drzwi. Wbiłem się w spodnie, odsunąłem łóżko, przestawiłem szafę na miejsce. Otworzyłem.

Bezkostny.

- Jest pan proszony.

Minę ma urzędową, ale z całej postawy przebija grzeczność. Ani słowa reprimendy za moje samowolne oddalenie się z Bristolu.

- Wiosna - skomentował, trącając palcem trupa muchy na parapecie.

Właśnie kończyłem się ubierać. Kiwnąłem głową. Nigdy bym go nie posądział o liryczne usposobienie.

Zeszliśmy do samochodu. Na ulicy zyskałem pewność, że Bezkostny przyjechał do mnie w pojedynkę. Dobry znak.

W samochodzie Bezkostny z podziękowaniem przyjął wrigleyówkę. Zakłajstrował gumą usta. Żułem i też milczałem. Po siedmiu minutach jazdy zobaczyłem cel podróży: rondo na przecięciu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Bezkostny zaparkował na prawie pustym placu przed zwalistym gmaszyskiem. Jak spod ziemi wyrósł cywil w prochowcu. Bezkostny machnął mu przed nosem legitymacją i weszliśmy. Ludzie jak mrówki bezgłośnie przebiegali długie korytarze. Gigantomania i cisza działały przygnębiająco. Zdałem się w pełni na Bezkostnego. Próbował mnie zmylić. Co rusz zmienialiśmy schody, windy, piętra i korytarze. Gdyby przyszło mi uciekać, miałbym zajęcie na kilka dni.

- Jesteśmy.

Owinął gumę w chusteczkę do nosa, poprawił śledziowaty krawat. W końcu pustego korytarza pokazał legitymację parze krótko ostrzyżonych robotów i otworzył białe drzwi, puszczając mnie przodem.

- Wreszcie! - powitał mnie zrzędlivy głos Halloweena.

Towarzysz Wiesław wyglądał przez okno i widok jego przygarbionych pleców nie nastrojał optymistycznie. Pokój przypominał cmentarną kaplicę. Środek zajmował pokryty zielonym sukniem stół konferencyjny, na szczytowej ścianie wisiały w idealnie równych odstępach portrety rewolucyjnej trójcy. Pod nimi Garota zaciskał i rozprostowywał palce rąk.

Halloween wziął mnie za łokieć. Jak na umarlaka miał nadspodziewanie mocny uścisk.

- Prosimy do stołu.

Nie lubię ludzi, dla których całe życie obraca się wokół jedzenia. Jedzenie kojarzy mi się ze śmiercią. Dzisiaj jesz ty, jutro sam staniesz się pokarmem.

- Cudny! - wrzasnął towarzysz Wiesław na Bezkostnego.

- Zamknijcież wreszcie te drzwi!

Podeszliśmy do stołu w piątkę: ja, Towa, Halloween, Garota, na końcu Bezkostny. Na policzkach Towy wykwitły brzydkie plamy. Od soboty nieprzyjemnie się postarzał. Garota dawał mi spojrzeniem do zrozumienia, że za wszystko zło tego świata obciąża mnie.

- Jakieś postępy? - spytał Towa. Ton jego głosu niespecjalnie mi się podobał.

Przez głowę przebiegały mi różne myśli, ale wszystkie nadawały się na śmietnik.

Poczułem znajomy skręt kiszek. W samą porę.

- Flis - odparłem z udawanym wahaniem. - Flis i Solferino.

Towa ożywił się.

- To nazwiska?

- Więcej nie powiem. Dla dobra śledztwa. Ale trop jest bardzo obiecujący, to mogę zaręczyć.

Towa westchnął.

- Najwyższy czas!

Dał znak Garocie:

- Pokażcie.

Garota schylił się, nie bez wysiłku wyciągnął spod stołu drewnianą skrzynię. Z pomocą Bezkostnego postawił skrzynię na stół. Otworzywszy wieko, wydobyl metalowy pojemnik przypominający turystyczną lodówkę i otworzył go. Powiało chłodem.

- *Shit!* - wyrwało mi się.

- Cholera! - przetłumaczył Halloween.

Chwyciłem się krawędzi stołu, żeby nie upaść. W końcu zawodowa ciekawość wzięła we mnie górę. Otworzyłem oczy.

Towa palił sporta, przyglądając mi się krytycznie.

- No i?

- Niewiele widać.

Garota na znak Pierwszego założył rękawice i opróżnił pojemnik. Ostrożnie brał każdy eksponat, przez chwilę trzymał oburącz w górze, żebym się napatrzył, dopiero potem układał na zielonym suknie.

Wiesław przetarł okulary chusteczką.

- No więc?

Zemdliło mnie.

- Precyzyjna robota - wykrztusiłem.

- Tylko tyle? - Towa zrobił grymas.

Garocie moja odpowiedź też się nie spodobała.

- Ekspert! U siebie sztywnych ogląda tylko na cmentarzu.

- Jeśli mogę przebierać w klientach, preferuję żywych. Sztywni nie są wypłacalni.

Halloween-Pipkow obszedł stół z miną fachowca.

- Między Bogiem a prawdą - zawyrokował z zadowoleniem - dla oczu nieprzyzwyczajonych widok paskudny.

- Biedna towarzyszka Zajcewa! - wyrwało się Bezkostnemu.

- Cudny! - ryknął na niego Towa.

Pojawiła się sposobność, by skierować uwagę na inne tory. Skwapliwie z niej skorzystałem.

- Zajcewa? Kto to?

- Nikt - syknął Halloween.

- Woźna - objaśnił Towa jakby pod przymusem. - Towarzyszka Zajcewa pierwsza otworzyła pakunek.

Wyobraziłem sobie minę towarzyszki Zajcewej, kiedy spojrzały na nią trzy murzyńskie głowy.

- Gdzie je znalazła?

- W windzie towarowej - odparł pospiesznie Towa.

- W przejściu podziemnym - powiedział w tym samym czasie Halloween.

- Zatem? - pozwoliłem sobie podnieść głos.

- Miejsce nie ma nic do rzeczy - burknął Towa.

- Przeciwnie. - Zdobyłem się na wyrozumiały uśmiech. - Jeśli mamy się dowiedzieć, kto je podrzucił, liczy się każdy trop.

- Ja wolałbym mieć pewność - Pierwszy nieprzyjemnie przeciągał sylaby - kogóż to w istocie nam podrzuciono.

- Z tym nie będzie łatwo. Ktoś bardzo się postarał, by uniemożliwić pobranie odcisków palców. - Co widzicie, Niczyj?

Towa zaskoczył mnie tym pytaniem.

- Murzynów - bąknąłem.

- Ba! Ale to nasi, czy obcy?

Najwyraźniej za nim nie nadażalem.

- Murzyn to Murzyn...

- Tak myślałem! Zero dialektyki.

- Czekam na odpowiedź...

- Osadźcie ich w konkretnej rzeczywistości: walka klas, gra interesów, przejmowanie narzędzi i środków produkcji. Słuszne ambicje wyzwolenicze.

- Afryka?

Wiesław pokręcił głową z dezaprobatą.

- Reprezentujecie ograniczony punkt widzenia! - Przywołał Garotę. - Samojed, wypowiedzcie się.

- Brazylia?

- Chociażby.

- Meksyk?

- No, tu i ówdzie, zapewne.

- Kuba - wyrwał się Bezkostny. - Na Kubie też trafiają się Murzyni.

- I to jest bardzo dobry przykład. W tym miejscu rodzi się pytanie - ciągnął Towa tonem kaznodziei - czy to aby na pewno kubańscy Kubańczycy? Może podesłano nam kubańskich kontrrewolucjonistów?

- W Ameryce - zaryzykował Bezkostny - też mają czarnych.

- Dobrze - pochwalił Towa z wahaniem.

- Bat its e hel of e problem - włączył się Halloween. - Bo gdy masa porządnych Czarnych walczy o prawa Czarnych, to są i tacy, którzy utrwalają amerykański imperializm.

- O! - Towa klasnął. - I to jest właśnie podejście dialektyczne. Właściwy klucz do

odpowiedzi.

- A może - przerwałem mu - ten oto drobiazg pozwoli nam znaleźć odpowiedź.

Schyliłem się do pierwszej z brzegu głowy i ze zrozumiałą ostrożnością wyciągnąłem sterczący między zębami zmięty kawałek papieru. Tak jak przypuszczałem, dwie pozostałe głowy kryły z pozoru identyczne zwitki. Rozwinałem wszystkie trzy i rozprostowałem na stole. Przyłożone do siebie, utworzyły kartkę wyrwaną z książki.

Kartka po jednej stronie wyglądała tak:

stanowczo po stronie chłopów, wzruszony ich lamentami. Rzuciłem się z pięściami na grabieżców i biegłem na skargę do dowódcy kompanii. Ta moja miłość bliźniego trwała cały jeden dzień. Nazajutrz przyłączyłem się znów do maruderów. Jestem głodny i chcę jeść. Nie mam prawa być szlachetniejszym od moich kolegów.

Nasza piątka działała wspólnie. Leu wykopywał kartofle. Ja i Kolesnik kradliśmy kury. Już w trzecim dniu marszu robiłem to tak zręcznie, jak gdybym przez całe życie niczym innym się nie zajmował, jak gdyby w moim życiu nie było uwielbienia dla Hegla, preludium Chopina i teozofii oraz jak gdybym nigdy nie był zakochany. Kolesnik odgrywał rolę mojego pomocnika: trzymał przygotowany worek i straszył chłopów, nie posuwając się zresztą nigdy do stosowania przemocy lub nawet gróźb, a działał jedynie bestialskim wyrazem swego zarośniętego oblicza. Stiepiwow pitrasił, wykazując przy tym rzadki talent kucharski. Kurylenko łaskawie raczył spożywać już gotowe potrawy, przy czym trzeba go było nawet prosić, bo znajdował się znowu w jednym ze swych okresów depresji. Przejawiało się to w nadzwyczajnej małomówności, z rzadka tylko przerywanej krótkimi zagadkowymi odburknięciami w rodzaju:

- Zgadzaście się ze mną? Nie. Więc nie zwracajcie mi teraz głowy!

Albo po długim i uważnym przyglądaniu się koniuszkom własnych palców:

- Odpywajcie wszyscy do diabła i jego matki!

- Na kutrze parowym? - spytał rzeczowo Stiepiwow, zbierając suche gałęzie na ognisko.

Ale Kurylenko wyszczerzył zęby z taką wściekłością, że Stiepiwow od razu się odwalił, nie powstrzymawszy się zresztą od wieloznaczącego mrugania i słów: „Cóż, ty jesteś lepszego od ciotki Jewtuchy”, co w naszym

po drugiej zaś tak:

kółku od dawna nabrało komicznego znaczenia, tak że śmiać się po wypowiedzeniu tych słów należało do dobrego koleżeńskiego obyczaju. Powiedzonka tego używaliśmy czasami nawet dla sztucznej poprawy humoru, na przykład, po całodziennym męczącym marszu lub kiedy ktoś z nas już zbyt silnie zaczynał tęsknić za rodziną.

Kurylenko jednak nie zareagował. Odkładam więc serdeczną rozmowę z nim jeszcze na jeden dzień. Teraz leży na ziemi zniechęcony i zły, jak alpinista, który zdobywszy nareszcie szczyt Gauryzankaru, przekonał się, iż nie warto było zdzierać kolan, ponieważ stamtąd nie nie widać prócz zamglonych dolin oraz kupy śmieci, zostawionych przez turystów, podczas gdy my obaj z Kolesnikiem wytrząsamy z worka trzy chude ukraińskie koguty.

- Tych kogutów mam już po dziurki w nosie - mruczy ze złością Stiepiwow, opalając je nad ogniskiem - w innych kompaniach chłopcy zarzynają cielęta.

- Cielątko oddać pod nóż, za nic w świecie - mruczy Kolesnik. - Drób, to co innego - dodaje rozmarzony i również wyciąga się na ziemi.

Rzeczywiście ani razu w ciągu całego marszu nie udało mi się namówić Kolesnika do zwędzenia cielaka. Żał mu cielątek, ma w sobie chłopską czułość dla bydła. Marzy, że podczas naszego przyszłego odwrotu z Galicji, o którym nie wiadomo dlaczego ani chwili nie wątpi, będzie mógł zarzucić postronek krowie lub nawet dwóm na szyję i popędzić je do swojej wioski.

Obiad gotów. Stiepiwow oznajmia, że przyrządził dwa dania: risotto z kury i ragoût z podróbek. Długo mocolimy się nad ich zjedzeniem. Z rozkoszą skapców napełniamy worki naszych żołądków kogucimi kosteczkami, grzebieniami i ostrogami. Już po uczcie. Zabrała

Wiesław, pochylony nad stołem, studiował obie strony, a mnie ciarki przechodziły po karku. Niebezpieczeństwo wyczuwam na odległość. Nie umiałem jeszcze nadać mu imienia, ale zła aura otaczająca strony 203 i 204 nie kłamała. Książki omijam szerokim łukiem. Z każdego spotkania z literaturą wychodziłem poobijany. Mam na myśli Kerouaca i konowała Strassera. Książkowe mądrości („Śmierć człowiek nosi w sobie jak owoc pestkę”), które dla przypodobania się Julienne-Anne przepisywałem do brulionów, do dziś odbijają mi się czkawką.

Pierwszy sekretarz czytał pod nosem, z osadzonego w lufce papierosa snuł się smrodliwy dym, a mnie strach mroził krew w żyłach. Wydrukowane na kiepskim papierze litery pchały mi się przed oczy. Czy tego chciałem czy nie, litery układały się w słowa, słowa układały się w zdania, a to już, niestety, trąciło literaturą.

Rozwinąłem wrigleyówkę i dla odpędzenia ponurych myśli zacząłem żuć.

- Samojed - powiedział Towa, prostując plecy - idźcie sprawdzić, czy nie przyjechał. I poślijcie wóz po Putramenta.

9.

Siedzieliśmy w ciasnym, nieprzytulnym gabinecie. Podłogę zaścielał prostokątny dywan ze śladami po papierosach. Biurko zarzucone gazetami, w jednym końcu plastikowe teczki, po drugiej stronie piętrzyła się piramida roczników statystycznych, sprawozdań z prac komisji sejmowych i grubych tomiszczy z zakładkami. Ze ściany nad biurkiem spoglądali Lenin i Chruszczów, oddzieleni dwudziestoma calami pomalowanej na beżowo ściany. Środek biurka zajmowała kryształowa popielniczka. Pożółkłe od papierosowego dymu paprotki zajmowały cały parapet okna.

Na dwóch zestawionych fotelach jak komiwojażer po pracy spoczywał towarzysz Wiesław. Halloween wypatrywał czegoś przez okno. Bezkostny drzemał na stojąco przy drzwiach. Garota wypuścił się w miasto z kolejnym zleceniem Towy.

Wierciłem się w twardym fotelu przed biurkiem. Bliźniaczy fotel zajmował premier - wypisz wymaluj Yul Brynner starszy o sześćdziesiąt funtów. Melanż cen i gustów: schludny garnitur niepretendujący do świata elegancji, standardowe czarne lakierki i kosztowny krawat. Trzymał nogę założoną na nogę, niedbale kiwał stopą w czarnym lakierku i poprawiał kant nieskazitelnie zaprasowanych spodni.

Patrzyłem na niego nie bez sympatii. Cyrano. Jeszcze pamiętałem ciepły uścisk miękkiej, wypielegnowanej dłoni i dociekliwe spojrzenie inteligentnych oczu otoczonych ciemnymi podkówkami, których obecność zdradzała skomplikowane wnętrze artysty albo charakter neurastenika.

Towa, kurząc sporta, pozwalał odpocząć wyciętym z butów stopom, premier wbijał wzrok w ścienną pustkę oddzielającą Lenina od Chruszczowa, ja milczałem. W pokoju wyczuwało się obecność skołowanego umysłu towarzyski Zajcewej i trzech murzyńskich głów nieokreślonej narodowości.

- Cygara hawańskie, ot co - powtórzył premier z pewnym ziemiańskim lekceważeniem.

- Tere-fere - odburknął Towa. Dawalo się odczuć, że tych dwoje łączy zgoda głównie co do dat w kalendarzu.

- „Los Tres Gallos” - podjął premier miękko, a ja od razu ujrzałem gitarowy tercet w

sombrerach, na którego koncert Julienne-Anne zaciągnęła mnie aż do Meksyku. Przesłodzone piosenki i kurczaki na ostro zagryzane chacos przy akompaniamencie tequili. Przed Kerouakiem nie zamknięto jeszcze szansy na Pulitzera, niektórzy twierdzili wręcz, że zapisane na jednej rolce papieru dzieło Kerouaca zostanie w tym roku dostrzeżone i należycie uhonorowane, więc Julienne-Anne karmiła mnie szczerze swoim ciałem, chacos i literaturą.

Kiedy ja w myślach posyłałem Strassera do wszystkich diabłów, Cyrano opowiadał. Podczas marcowej wizyty w Meksyku uraczono go występem „Los Tres Gallos” - zespołu rewelersów, który latem ubiegłego roku z powodzeniem koncertował w Polsce. Przybywszy w połowie kwietnia z rewizytą, prezydent Meksyku Adolfo Lopez Mateos przywiózł mu na pamiątkę specjalną partię hawańskich cygar. Wyrób dla konesera: każda sztuka znakowana rysunkiem trzech kogucich łbów w owalu z liter układających się w nazwę „Los Tres Gallos”.

Premier wziął do ręki dwie gęsto zapisane kartki. Ukryte w murzyńskich głowach zwitki, które składały się na strony 203 i 204, Towa polecił przepisać na maszynie w pięciu numerowanych egzemplarzach; jeden zatrzymał sobie, po jednym wręczył mnie i premierowi. Cyrano odszukał wzrokiem indagowany fragment.

- Zwykły przypadek - orzekł ze wzruszeniem ramion.

- Dialektyka! - przerwał mu Towa, miętosząc swój egzemplarz. - Dialektyka nie zna słowa „przypadek”. - I przeczytał: - „My obaj z Kolesnikiem wytrząsamy z worka trzy chude ukraińskie koguty. - Tych kogutów mam już po dziurki w nosie - mruczy ze złością Stiepiukow, opalając je nad ogniskiem”. - Towarzysz Wiesław odłożył do popielniczki lufkę z niedopałkiem. - Trzy koguty! Trzy zarżnięte koguty!

Uchyliły się drzwi i w ślad za Garotą wślizgnął się średniego wzrostu osobnik o kanciastej twarzy. Poprawił siwe włosy i rozejrzawszy się po twarzach osób ścieśnionych w gabinecie, uklonił się.

- Nasz czołowy towarzysz literat - Towa przedstawił przybysza z nazwiska.

Poderwałem się z fotela.

- Tak się cieszę! - Z entuzjazmem potrząsałem ręką literata. - Marzyłem o poznaniu autora *Złego*.

Wyrwał mi się.

- Putrament - powiedział z naciskiem. - Wypraszam sobie Tyrmanda.

- Tyrmand, też coś! To literacki obibok - wsparł go towarzysz Wiesław.

- Jazzman i lowelas. Jak on się pięknie niemoralnie prowadził - westchnął premier i pobiegł spojrzeniem za okno, gdzie na przekór wszystkiemu trwała wiosna.

- No, co wy, towarzyszu, o tym sądzicie? - Towa przystąpił do sprawy. Wręczył

Kanciastemu egzemplarz maszynopisu numer cztery.

Tamten przebiegł wzrokiem pierwsze linijki tekstu. Jego pobrużdżone czoło wietrzyło podstęp.

- A autor? - Uśmiechnął się przymilnie.

- Właśnie. Macie jakieś podejrzenia?

Słowo „podejrzenia” Kanciasty przyjął wdzięcznym skinieniem głowy. Doczytał tekst już z kwaśną miną.

- Ohyda! - wyrzucił z siebie.

- Aha! - ożywił się premier.

- To znaczy? - podchwycił towarzysz Wiesław.

- Dekadencja - wyjaśnił Putrament. - Nieodpowiedzialny pesymizm.

- Pięknie, pięknie - zachęcał premier.

- Dialektyczny galimatias - brnął Kanciasty. - Pisarz, towarzysze, musi mieć wykrystalizowane zdrowe poglądy.

- Albo hemoroidy - wymusnęło mi się, bo myślałem akurat o Kerouacu, wyobrażając sobie, jak na jego zdrowiu odbiła się kilkumiesięczna jazda greyhoundem przez pół Ameryki.

Putrament rozdziawił usta.

- Towarzysz jest z Ameryki - pospieszył z wyjaśnieniem Pierwszy.

Putrament posłał mi pożegnalne spojrzenie i zrozumiałem, że postanowił traktować mnie jak powietrze.

Wodząc palcem po kartce, przeczytał:

- „Jestem głodny i chcę jeść”. - Popatrzył chmurnie na pierwszego sekretarza. - Filozofia życia sprowadzona do fizjologii. Dno!

Cyrano dobył z kieszeni marynarki chusteczkę i powietrze wypełnił zapach markowych męskich perfum.

- Jeść poniekąd trzeba - zauważył, przeciągając chusteczką po łysinie.

- Z całym szacunkiem, towarzyszu premierze, ale nie kradnąc kury chłopom! W ten sposób nie buduje się sojuszu robotniczo-chłopskiego.

- A jeśli - podchwycił premier - to kułactwo?

- Poniekąd trafne zastrzeżenie - wydukał Kanciasty, jeszcze raz przebiegając wzrokiem linijki. - To, naturalnie, zmieniliby nasz punkt widzenia. - Podniósł śmiało wzrok. - Żeby dla głupich paru kur blokować dziejowe procesy!

- A czy wy jesteście na sto procent pewni - przerwał mu Towa - że chodzi o porewolucyjne kury?

Kanciasty pobladł.

- Kluczowe pytanie - ciągnął tymczasem Towa. - Grabieni chłopci lamentują i złorzeczą, pal ich diabli, ale jak dialektycznie rozwiązać kwestię, czy złorzeczą carskiej Rosji, czy dziełu Wielkiego Października?

- Galimatias dialektyczny - powtórzył bezradnie Kanciasty.

- Literatura! - zakląłem.

- Więc jak te sceny, towarzysze, osadzić historycznie? Czy ich tłem jest imperialna Rosja, czy Związek Radziecki?

Kanciastemu trzęsła się broda.

- Przecież taki autor nie szasta słowami po próżnicy - dywagował pierwszy sekretarz. - Musimy rozstrzygnąć, co miał na myśli. Czy jego zdaniem chłopca przyciska bucior carski, czy może - co też ludziom chodzi po głowie! - partia leninowska?

- Wichrzyciel! - Literat uderzył w ton oburzenia. - Dla takich nie ma miejsca w literaturze.

- Hola, hola! - zastopował go pierwszy sekretarz. - Posłuchajcie tego: „Nasza piątka działała wspólnie. Leu wykopywał kartofle, Ja i Kolesnik kradliśmy kury”. Wspólnie, rozumiecie? Wspólnota to kolektyw. Kolektyw to socjalizm. W socjalizmie racja jest zawsze po stronie kolektywu.

- Można by tu - zaczął Kanciasty ostrożnie - dopatrzeć się ujętego w artystyczne formy słusznego nawoływania do kolektywizacji?

- Na dwoje babka wróżyła - rzucił beztrąsko premier. Sprawdził kant spodni. - Kradną biednym chłopcom kartofle i kury? Kradną. Kto kradnie? Kolektyw. Czyż to nie czytelną krytyką kolektywizacji?

- Krecia robota! - sarknął Kanciasty. - Znaleźć mi tego autora!

- Po to cię wezwałem - podkreślił Pierwszy.

- Takich brudów nie napisałby żaden uczciwy towarzysz radziecki. A ja, Bogu dzięki, innych nie znam.

- Dwulicowość, towarzyszu. Wobec takich jesteśmy bezbronni. Wyperfumowany intelektualista nawet partię potrafi wyprowadzić w pole. Dlaczego ukraińskie, na ten przykład?

Wszyscy, premiera nie wyłączając, odpowiedzieliśmy głupimi minami.

- „My obaj z Kolesnikiem wytrząsamy z worka trzy chude ukraińskie koguty”. - Towa osadził nową połówkę sporta i zapalił. - Dlaczego ukraińskie? Dlaczego chude?

- A to drań! - Literat uniósł się gniewem.

Wskazujący palec Towy powędrował w górę.

- Mnie pachnie to przewrotem. Bo co powiecie na to: „Tych kogutów mam już po dziurki w nosie - mruczy ze złością Stiepiwow, opalając je nad ogniskiem - w innych kompaniach chłopcy zarzynają cielęta”. Kto, zapytajmy wprost - bo za tą cielęcą metaforą kryje się osoba z krwi i kości - kto więc miałby takim cielęciem być? Kogóż to Stiepiwow i kamraci chcieliby oddać pod nóż, ha?

Zamierzałem się wtrącić. Sprowadzić rozmowę do poziomu literatury. Taki Joyce na przykład sadził większe brednie niż Stiepiwow, Kolesnik, Kurylenko i cała reszta bandy.

Ale towarzysz Wiesław nie ustawał w tropieniu:

- I skąd tu nagle, może ktoś łaskawie mi wyjaśni, wzięła się Galicja? O jakim „przyszłym odwrocie z Galicji” mowa?

Putrament ożywił się.

- Galicja - podjął - nazwa pokrewna Galii, Gallowie, jak powszechnie wiadomo, mieli za symbol koguta, kogut, każdy wie, to po łacinie *gallus*...

- Los Tres Gallos - wyrwało mi się, a towarzysz Wiesław dokładnie w tym samym czasie również wypowiedział te trzy złowieszcze słowa, za którymi krył się los towarzyszeki Zajcewej i to, co nieszczęsna zobaczyła po otwarciu skrzyni.

Literat, rzecz jasna, o pechu Zajcewej i trzech dekapitowanych Murzynach nie miał zielonego pojęcia. Na jego kanciastej twarzy odmalowało się pytanie.

Premier, choć pobladł, z teatralną nonszalancją nadał kiwał stopą obutą w fabryczny lakierek.

- Daleko nie szukając - usłyszeliśmy towarzysza Wiesława - ty, Józek, pochodzisz z Galicji.

- Skoro Krosno leżało w Galicji - wypalił Cyrano - to towarzysz pierwszy sekretarz także przyszedł na świat jako część inwentarza cesarza Franciszka Józefa.

Gniew Pierwszego skupił się na Putramencie. Polecił, by ten na poczekaniu sporządził listę pisarzy radzieckich i rosyjskich wydawanych w Polsce Ludowej. Kanciastemu zrzęda mina. Brak mu dostatecznego rozeznania, tłumaczył.

- Towarzyszu sekretarzu, to zadanie dla jednego literata niewykonalne. Każdego roku nasze państwowe i spółdzielcze domy wydawnicze drukują - i słusznie - setki nowych tytułów prozy radzieckiej.

Wszedłem mu w słowo:

- Przesada. W ostatnich pięciu latach roczna średnia przekładów z literatury pięknej współczesnych autorów rosyjskich i innych narodów ZSRR nie przekracza pięciu dziesiątek.

Statystyka nie kłamie.

- Statystyka, o! - podchwycił Gomułka tonem zdradzającym pochwałę.

Kanciasty skrzywił się.

- A skąd to Amerykanom wiedzieć? - prychnął.

- Towarzysz Niczyj - Towa przemówił w moim imieniu - jest dziennikarzem.

Wyczułem pismo nosem.

- Nie ma o czym mówić! - Przybrałem skromną minę. - Znajomość danych statystycznych to absolutne minimum, jeśli człowiek chce uchodzić za w miarę wykształconego.

- Statystyka plus planowanie równa się dobrobyt - zaserwował nam Towa.

Kanciasty myślał intensywnie.

- A gdyby - podjął, patrząc na mnie wrogo - gdyby *ad hoc* potrzebne komuś były ogólne dane statystyczne o nakładach książek w Polsce za ostatnie pięć lat?

Wyczuwałem, że moje akcje idą w górę. Poszedłem za ciosem.

- Zanotowano spadek. Z 85 milionów egzemplarzy w 1957 roku do 79 milionów w sześćdziesiątym pierwszym. - Zawiesiłem głos. - To zaledwie połowa tego, co wydaje się w bratnich krajach socjalistycznych.

- Tego nie wiedziałem! - Spojrzenie Towy wwiercało się w Kanciastego. - Co wy na to?

- To tylko statystyka, towarzyszu pierwszy sekretarzu - wybąkał, łypiąc na mnie spodoba.

I na tym zasadniczo tego dnia zakończyliśmy zebranie.

- Pogratulować pamięci - skomplementował mnie Cyrano, kiedy służąc mi za przewodnika wyprowadzał z labiryntu Domu Partii. - I pracowitości.

- Austriacka szkoła. Pradziadek Franciszek Nietzschey urodził się był pod butem cesarza Franciszka Józefa w podkrakowskim Zwierzyńcu.

Obejrzał mnie od stóp do głów. Gdy stanęliśmy na skąpanym w słońcu chodniku, uścisnął mi oburącz rękę.

- Mój bilet wizytowy. - Dobył z portfela biały ozdobny karteluszek. - Spraw mi pan przyjemność, składając wizytę w domu jutro w godzinach wieczornych.

10.

Zwlokłem się z łóżka wpół do jedenastej. Robię postępy. W południe stałem w drzwiach gotowy do wyjścia. Zanim wyłączyłem radio, z przyzwyczajenia wysłuchałem wiadomości. Dziewięćdziesiątą trzecią rocznicę urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina uczczono na Kremlu uroczystym posiedzeniem. Wierna nakazom Lenina Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego walczy zdecydowanie o umocnienie zwartości międzynarodowego ruchu komunistycznego w oparciu o zasady marksizmu-leninizmu oraz o granitową jedność światowego systemu socjalistycznego - oświadczył Nikita Chruszczów. Łączy nas sojusz mocniejszy i trwalszy niż kiedykolwiek - zapewnił ambasador Awierkij Aristow na uroczystej akademii w Warszawie z okazji osiemnastej rocznicy podpisania układu polsko-radzieckiego. Terror w Iraku nie ustaje. W dwa miesiące po przewrocie trwa nadal polowanie na tamtejszych komunistów, wszelkie elementy postępowe i opozycyjne. Haniebny wyrok na Juliana Grimau zatwierdziły madryckie władze sądowe. Egzekucja Grimau nastąpi o świcie. W radzieckim Azerbejdżanie przyszła na świat owca z dwiema głowami. Lekarze radzieccy, posługując się metodą profesora Władimira Negowskiego, przywrócili życie przeszło 3500 osobom po śmierci klinicznej.

Wybrałem się do księgarni na Nowym Świecie. Mijając sklep spożywczy, zwolniłem: pustą wystawę działu mięsno - garmazeryjnego wypełniał duży napis:

CHCESZ ŻYĆ DŁUŻEJ

JEDZ JARZYNY I OWOCE

Przyspieszyłem, wyplułem wrigleyówkę na jezdnię i dałem nura do księgarni.

- Chciałem przejrzeć najnowsze...

Ekspedientka z tapirem na głowie nie dała mi dokończyć:

- Nowości nie ma.

- ...najnowsze tłumaczenia literatury radzieckiej.

Wycofała się na zaplecze. Po kwadransie na ladzie wyrósł stos przykurzonych książek. Julian Siemionow, *Ostatni lot* - o problemach współczesnego społeczeństwa radzieckiego na przykładzie mieszkańców stacji badawczej pod biegunem. Wiktor Kin Surowkin, *Po tamtej stronie* - burzliwe lata porewolucyjne na radzieckim Dalekim Wschodzie. Aleksander Milczakow w *Nieszczęście zawisło nad miastem* opowiadał, jak moskiewscy lekarze w styczniu 1960 roku bohatercko zapobiegli wybuchowi epidemii przywleczonej z Indii ospy. Recydywista Szugin w powieści Anatola Kleszczenko *Bezdroża kończą się wiosną* leczy bandyckie ciągoty pracą, przy wyrębie w lesie spotyka uczciwych

towarzyszy, przeżywa dramatyczną miłość, w końcu pod naporem pozytywnych okoliczności dojrzewa w nim decyzja, by zerwać z przestępczym światem.

Dla niepoznaki każdy tom sumiennie kartkowałem, zanim z bijącym sercem zaglądałem na strony 203 i 204.

- Mamy jeszcze spory wybór elementarnych tytułów z lat poprzednich. Życzy pan sobie?

Zrejterowałem przed statystyką. Od 1944 roku wydano w Polsce ponad osiem i pół tysiąca tytułów książek pisarzy rosyjskich i radzieckich.

- Słówko w trosce o pani urodę: tapir na głowie dawno wyszedł z mody.

Wiosenne słońce poczynało sobie coraz śmielej. W rozpiętej marynarce lekkim krokiem przespacerowałem do Świętokrzyskiej. Wyczekawszy, aż któraś z dwóch tysięcy taksówek ponoć kursujących po Warszawie zatrzyma się na moje żądanie, kazałem się wieźć do towarzyszki Zajcewej.

11

Towarzyszce Zajcewej było pisane trafić jeszcze za życia do jednej z owych rajszych enklaw, gdzie pory posiłków, zmiana bielizny i inne ziemskie troski nie zaprzatają pensjonariuszy, należą bowiem do obowiązków opłacanych przez państwo urzędników oraz personelu medycznego. Ośrodek leczniczy, oznakowany nie wiedzieć czemu tablicą „Zakład Badawczo-Rozwojowy Technik Sadowniczych”, znajdował się w dużej, niepozornie wyglądającej willi w Wilanowie. Sekret miejsca pobytu towarzyszki Zajcewej - którą po przeżyciach ostatnich dni słusznie postanowiono uwolnić od problemów świata zewnętrznego - zawierzył mi, wraz ze swą prywatną wizytówką, premier.

Wysiadłem z taksówki i już wyciągałem rękę, by uruchomić przycisk dzwonka przy żeliwnej bramie, kiedy ktoś silnym szarpnięciem obrócił mnie o sto osiemdziesiąt stopni, że omal straciłem równowagę.

Opuściłem zaciśnięte pięści. Niski blondyn pospolitej urody, po czterdziestce, wciśnięty w zapięty po szyję ortalionowy płaszcz, wczepił się we mnie wzrokiem.

- Może pan prokurator - podjął przymilnie - zechce podjąć się poprowadzenia mojej sprawy?

- Pomyłka - powiedziałem jak najłagodniej.

- Szukam dojścia, panie doktorze. - Głową pokazał piętrową szarą willę za

murowanym ogrodzeniem. - Wystarczy, że pan profesor szepnie komu trzeba słówko.

- Ktoś z rodziny? - domyśliłem się, zerkając przez otwory w bramie na zakratowane okna.

- Skądże! - spochmurniał. - Chodzi o mnie - wypiął pierś opiętą ortalionem. - Urzędnik państwowy z ulicy Mysiej.

Milczałem.

- Czerwonka, panie prokuratorze - podjął zduszonym głosem. - Wstyd powiedzieć, ale przeoczyłem, przeoczyłem tę czerwonkę jak pierwszy lepszy nowicjusz. Z ołówkiem w rękę, linijka po linijce, lata doświadczeń, umysł wciąż świeży, zdawałoby się, niczego nie przepuszczę. Południe, środek akapitu, czytam: „Zmarł na czerwonkę podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku”. Ołówek mi się nie zatrzymał, ręka nie zadrżała. Żadnych wyrzutów sumienia, doktorze, żadnego ukłucia w okolicach wątroby. Dopiero w domu przy kolacji raptem huknęło mi w głowie: „czerwonka”. Czuję, jak „czerwonka” staje mi kością w gardle, wiem, że jestem zgubiony. Przepuściłem niczym żółtodziób! Nie dziś, to jutro ktoś ją wypatrzy. Nie pomogą tłumaczenia. Przecież taka czerwonka, panie Łatka, powiedzą, czerwonka w wojnie polsko-bolszewickiej od razu kłuje w oczy.

Zwiesił głowę.

- Tylko tam, profesorze, mógłbym być bezpieczny. Po tamtej stronie muru znajdę azyl i ochronę.

- Więc? - zaryzykowałem.

- Nie chcą wpuścić. Brak podstaw.

- Jak na moje oko ma pan spore kwalifikacje - wbilem paluch w przycisk dzwonka i przytrzymałem.

- Doprawdy? - ożywił się. - Słowo prokuratora?

- Słowo.

Spochmurniał.

- Dyrektor się nie zgadza.

- Taka menda?

- Gorzej. Łapówek nie bierze.

Od dociskania dzwonka rozbolał mnie palec.

- Dyrektora - Łatka szeptał mi wprost do ucha - nikt nie ruszy. Nawet partyjna góra go się boi. Chodzą słuchy, że Moskwa go przysłała. Przyjechał latem pięćdziesiątego piątego na Światowy Festiwal Młodzieży w delegacji indonezyjskiej. Wszyscy wrócili, a ten jeden został. Więc po co, pytam się? Siedzi, gapi się na człowieka i ani mru-mru. Dasz pieniądze,

podrze. Wykosztujesz się, przyniesiesz francuski koniak, a on rozbije o ścianę.

Przestałem słuchać, bo z drugiej strony bramy podszedł mężczyzna w białym fartuchu. Miał spojrzenie jak Sonny Liston, kiedy w sześćdziesiątym drugim w Chicago w pierwszej rundzie posłał Floyda Pattersona na deski.

- Z rekomendacji premiera - wywaliłem, nie dając mu dojść do głosu. Pokazałem wizytówkę. Spojrzał spode łba, ale otworzył bramę.

- Wpuszczają! - ryknął Łatka.

Szedłem, a monstrum w białym kitlu tuż za mną.

- Błagam - gonił mnie z ulicy głos Łatki - pan profesor szepnie za mną słówko! Łatka, Łatka z Mysiej!

Za progiem w ciemności potknąłem się o coś i walnąłem głową o ścianę. Przewodnik otworzył drzwi u końca korytarza i wepchnął mnie do środka. Zdażyłem przeczytać tabliczkę na drzwiach: DYREKTOR DR ROMAN UTANG.

Rozcieram głowę i patrzę. Siedzi rozparty w fotelu: bary jak u atlety, długie łapska nie mieszczą się w rękawach marynarki. Nie prosi siadać, o nic nie pyta. Tylko oczami łypie.

Nazywam się tak i tak, jestem stąd i stąd, raportuję, a oto w jakiej sprawie przychodzę. Chrząka i drapie się po obficie owłosionej głowie. Jakbym do ściany mówił. A jednak się decyduję - dobywam ozdobny karteluszek i kładę na biurku.

- Przychodzę - zaczynam wolno - przychodzę z rekomendacji premiera...

Nim zdażyłem dokończyć, capnął premierowską wizytówkę, pod nos podsuwa i wacha. Nie spodobała się. Bez czytania zgniata i do kosza. Podchodzi. Jednym szarpnięciem podrywa mnie z krzesła i dalej grzebać mi po kieszeniach marynarki. Puste. Splunął na podłogę.

Widzę, że więcej dzisiaj nie wskóram, więc kłaniam się i chyłkiem do drzwi.

Łatka czai się za murem.

- No i?

Pogłaskałem wariata po głowie.

- Bierze - oznajmiłem.

Wiem, że dyrektor Utang dalej niż za próg mnie nie puści. Ale wymyśliłem, jak go podejść. Tyle że potrzebnego mi towaru w żadnym warszawskim sklepie nie znajdę. Jaka na to rada? - głowię się w drodze na przystanek autobusowy.

Odtwarzam z pamięci notatki Chucka: John M. Cabot, zawodowy dyplomata starszego pokolenia, od ponad roku ambasador USA w Polsce. Z samego rana, postanawiam, złożę mu wizytę.

W pokoju hotelowym walnąłem się w ubraniu na łóżko i momentalnie zasnąłem.

12.

Wziąłem kąpiel we wspólnej łazience na końcu korytarza. Dochodziła siódma wieczorem, w Kalifornii dziesiąta rano. Założyłem białą koszulę i mój jedyny garnitur. Neon na Hotelu Central dziś pracował na pół etatu. HOT CENT - przeczytałem i barmanka z Hot Cent stanęła mi przed oczami jak żywa. Zrobiło mi się ciepłej na sercu. Odczekałem swoje w kolejce do taksówki. Kiedy podałem kierowcy adres w Alei Róż, obejrzał mnie we wstecznym lusterku i przez całą drogę nie wypowiedział słowa.

Zatrzymaliśmy się przed okazałą kamienicą w stylu staromodnych hoteli francuskich, gdzie w cenę wliczają mrożony szampan podawany do kąpieli przez pokojówkę w toplessie. W holu dwóch czterdziestolatek w eleganckich uniformach zlustrowało mnie i mój paszport. Upewnili się telefonicznie, że gospodarz zechce mnie przyjąć, po czym wjechałem windą na górę.

Drzwi otworzył mi sam Cyrano.

- Przepraszam za mój domowy strój.

Pełna gala. Wyglądał jak Gregory Peck przy odbieraniu Oscara. Wprowadził mnie do salonu i posadził w wygodnym fotelu.

- Whisky? Koniak? Wódka?

A zatem sztapowy garnitur i fabryczne lakierki były na użytek partii i pierwszego sekretarza! W eleganckim smokingu dopełnionym białą koszulą i czarną muchą poruszał się po domu z gracją Sinatry na scenie.

- Dziękuję, nie piję.

- W moje urodziny? Nawet kropelkę?

- Nie wiedziałem! W takim razie odrobinę.

- Koniak?

W drodze do barku strącił ze stolika książkę. Podniosłem książkę i fotografię, która z niej wypadła. Zobaczyłem znajome wąsy i bokobrody, których właściciel przez sześćdziesiąt osiem lat rządził Austrią i połową Europy.

- Ach! To były straszne czasy! - Delikatnie ujął fotografię i schował ją do portfela.

- Straszne! - przytaknąłem z szacunkiem.

Napełnił koniakówki.

- Sto lat!

Upił odrobinę. Odstawił kieliszek.

Widzę, że coś go gryzie.

- Piękny wiek - zaryzykowałem. - Czterdzieści pięć?

Przyjął mój niezdarny komplement z grymasem.

- Pięćdziesiąt dwa.

- Dla mężczyzny najlepsze lata - brnąłem.

Dopił swój koniak. Wbił we mnie spojrzenie.

- Pan chyba w te bzdury nie wierzy?

Milczałem. Wyczuwałem grząski polityczny kontekst.

Wypił jednym duszkiem kolejny koniak.

- Kurylenko, Kolesnik i reszta tej złodziejskiej bandy od kur. To się kupy nie trzyma.

Nie uważa pan?

- Mocno naciągane - zgodziłem się. Nie wiedziałem, do czego zmierza.

- Trop - ciągnął - podpowiadają te dwie cholerne strony.

Mogłem tylko przytaknąć.

- Prosta arytmetyka - mówi tymczasem premier, a minę ma przy tym, jak wynalazca gilotyny prowadzony na ścięcie - 203 i 204 układają się w historycznie paskudną całość.

Policzył pan?

Nie czekając na mnie, sam podsumował:

- Dwa plus zero plus trzy daje pięć. Dwa plus zero plus cztery równa się sześć.

Pięćdziesiąty szósty, rozumie pan? Tym chcą mnie dobić!

- Rozumiem - skłamałem.

- „Krew przelana w Poznaniu”, rozumiesz? „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej” i tym podobne dyrdymały. Moja gadka szmatka dla ratowania kraju. Barbarzyńcy stali u bram, co było robić...

W tejże chwili z hukiem otworzyły się drzwi salonu i przez próg przepłynęła odziana na białą postać.

- Twarz posągu, rysy herosa, półboga, i postać, o jakiej marzą nasze sny dziewczęce - wyrecytowała, obrzucając mnie powłóczytym spojrzeniem, zanim ulotniła się drugimi drzwiami.

- Moja małżonka - wyjaśnił Cyrano.

No tak, przemknęło mi przez głowę, z małżeństwem zawsze wiąże się ryzyko. Po raz pierwszy pomyślałem ciepłej o konowale Strasserze i Kerouacu.

Nim zdołałem ochłonąć, premierowa znowu się ukazała.

- Nie jestem okrutna ani krwiożercza - syczy i patrzy na premiera - ale musisz stworzyć monarchię ludową, a oni są wrogami ludu. Albo miecz na ich karki, albo sztylet w twoje piersi. Nie ma wyboru. Nie ma wyboru! - powtarza podniesionym głosem, przynagla Cyrana ręką.

Podniósł się niechętnie.

- Mam wśród nich także przyjaciół.

- Wymień choć jednego.

Odsunąłem się nieco z fotelem. A premier:

- Brutus, który mnie kocha jak ojca.

Zaśmiała się, aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Nie wierz nawet Brutusowi - zagroziła.

Żal mi się zrobiło durnia Łatki, bo widzę, że do Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych ktoś może się dostać poza kolejką.

Tymczasem damulka sunie prosto na mnie.

- Ale pamiętaj, drogi przyjacielu, że serce i mózg można wykroić mieczem zdobywcy i zostanie wtedy co?

Poszukałem ratunku u Cyrana. Uśmiechnął się blade.

A ta tymczasem swoje:

- Mumia narodu, podobna do tej, którą widziałeś w grobach królewskich.

Widzę, że łatwo się nie wywinę.

Gospodarz pomaga mi dźwignąć się na nogi i szeptem do ucha. Powtarzam za nim słowo w słowo:

- Jeśli nas od tej klęski uchronisz, bazyliissa, zasłużysz sobie na piramidę większą od Cheopsa.

- Wolalabym inną nagrodę. Naród, który obdarza swoich królów grobowcami, musi zginąć.

Podąła premierowi rękę. Nachylił się i pocałował z estymą.

- Wspaniale, moja droga. Aluzyjnie, kontekstowo, z mocą. To będzie wielka, wielka rola!

- Za to ty - uwolniła rękę - nie pracujesz nad dykcją. Przy twoim zawodzie? Wstyd!

Pani premierowa zerka na mnie. Chrząkam. Cyrano podchwytuje.

- Moja małżonka Nina, aktorka scen warszawskich. Al Niczyj, dziennikarz z Ameryki.

- Al! - powtarza Nina na przydechu. Ja buch ją w rękę. Podnoszę głowę i co widzę?

Wzrok premierowej błądzi po ściennej fotografii przystojniaka w średnim wieku. - Al!
Wspaniale imię dla mężczyzny!

- Zasługa ojca. Przyszedłem na świat siedemnastego stycznia, w urodziny Ala Capone.

Tatus był zagorzałym przeciwnikiem prohibicji.

- Cudownie!

Próżno zachodzę w głowę, co pani Nina ma na myśli. Nadal spogląda na fotografię.

- Proszę wybaczyć - szepce - zostawię panów samych. Premiera już za miesiąc, pójdę poćwiczyć.

- Gratuluję roli - ja na to. - Miłośnicy Szekspira będą pani *Kleopatrac* zachwyceni.

- To nie Szekspir - premier odpowiada za małżonkę. - Autorem jest Morstin, współczesny dramaturg. Wybitny polski znawca antyku.

- Proszę zaglądać częściej - żegna się premierowa i znika za drzwiami.

- Piękna kobieta - wzdycham.

- Znowu będzie pisać smutne wiersze! - rzucił premier markotnie. - Wypijmy.

Markuję picie. Wiem, co by się stało, gdybym przekroczył granicę. Gospodarz posepnie opróżnia koniakówkę.

- Jej pierwsza miłość - pokazuje zdjęcie przystojniaka na ścianie. - Al Bogota. Teraz do białego rana będzie o nim układać rymy!

- Literatura to strata czasu - komentuję ostrożnie.

- Wypijmy.

Wypiliśmy.

- Wiesz kto zabił Lincolna? - pyta Cyrano.

Głupie pytanie. Każde dziecko w Ameryce wie kto, kogo i dlaczego zabił na przestrzeni ostatnich dwóch wieków.

- John Booth - odpowiadam. - Mord polityczny.

- Wyjątek od reguły. Rządzenie to najbezpieczniejsza fucha świata. Kennedy dostaje miesięcznie półtora tysiąca listów z pogrózkami. I nic.

- Ubzdurał sobie, że jest Brutusem.

- Booth?

Cyrano kiwa łysą głową.

- W Lincolnie widział Cezara. Więc musiał uwolnić kraj od dyktatury. Tak to sobie umyślił. Powoli zaczynam rozumieć.

- To był czubek - siłę się, by zabrzmiało to przekonująco.

- Wariaci są najgorsi.

- Takie rzeczy zdarzają się raz na sto lat.
- Cezar chciał dobrze. Nikt go nie rozumiał.
- Fakt. Przerastał swoje czasy.
- Dwadzieścia trzy ciosy. Nie takiej nagrody się spodziewał.
- Nie miał przyjaciół.
- Za Brutusa oddałby życie.
- Brutus to był dupek.

Spojrzał w stronę drzwi, za którymi zniknęła premierowa.

- Przez kilka najbliższych miesięcy będzie na scenie wylewać łzy. „Lękam się o ciebie, Cezarze”. To jak przywoływanie nieszczęścia. Kurtyna nie spadnie, dopóki Cezara, jej męża i kochanka, nie zadźgają polityczni siepacze. I tak dzień w dzień.

- Taka rola.
- Bez przyjaciół. Zdany tylko na siebie.
- Zdany tylko na siebie? - powtórzyłem. - Chyba mogę panu premierowi pomóc.

Do końca wieczoru nalegał, żebym zdradził się z pomysłem. Pozostałem nieugięty.

- Za dwa, trzy dni - obiecałem. - Niech to będzie niespodzianka.

Pożegnałem się po dziesiątej. Wypiłem ledwie dwa koniaki, a już legły mi się w głowie literackie pomysły. Cyrano napoczął drugą butelkę, mimo to krępujący duszę smutek nadal wyzierał mu z oczu. Poruszał się pewnym krokiem.

- Odwiozę cię - zaproponował.

Wymknęliśmy się z kamienicy tylnym wyjściem i wsiedliśmy do czerwonego jaguara. Cyrano za kierownicą był w swoim żywiole. Ochroniarze zbyt późno zorientowali się w sytuacji. Pomachał im ręką i pomknęliśmy Ujazdowskimi.

- Tu mieszkasz? - zdziwił się, kiedy kazałem mu stanąć przed hotelem Central.
- Oszczędzam na delegacjach.

Pomachał mi kapeluszem i już go nie było.

Nie czekałem, aż zwolni się wspólna łazienka. Umyłem zęby nad umywalką i poszedłem spać. Czekają mnie pracowite przedpołudnie. Na liście spraw do załatwienia u ambasadora Cabota przybyła nowa pozycja.

13.

Cabotowie bez Bostonu nadal byliby Cabotami, ale Boston bez Cabotów nie byłby

tym samym miastem. Od blisko dwóch wieków męska linia rodu dawała Ameryce i miastu zręcznych dyplomatów oraz dalekowzrocznie myślących finansistów. Ci ostatni pomnażali rodzinny majątek, przy okazji budując pomyślność Ameryki. Od dyplomatów słusznie oczekiwano, by na różne sposoby przysparzali ojczyźnie przyjaciół, po cichu i skutecznie pomniejszając szeregi wrogów.

Korzystając z ładnej pogody drogę do Alei Ujazdowskich odbyłem pieszo. Nowy gmach ambasady USA zaprojektowali chłopcy z Welton Beckett & Associates z Los Angeles. Chuck, zanim spotkał Jezusa, miał w ich firmie spore udziały. Budynek jeszcze przesłaniały rusztowania, trwały prace wykończeniowe przy elewacji parteru. Ściany w holu pomalowano na neutralny kolor kości słoniowej, podłogę wyłożono winylowymi płytkami. Specjaliści z Przedsiębiorstwa Budownictwa Mieszkaniowego „Muranów” dbali, by nie pozostawić po sobie braków, specjaliści z CIA sprawdzali dyskretnie, czy budynek jest wolny od niezamówionych dodatków.

Ambasador John Moors Cabot przyjął mnie w przestronnym gabinecie. Rozejrzałem się. Dwa ogromne biurka, przeszklone biblioteczki pełne książek, na podłodze jeszcze nierozpakowane kartony z książkami. Ameryka na serio traktuje sprawdzoną zasadę, że potencjał intelektualny jest najlepszym militarnym wyposażeniem współczesnego pola walki.

John Cabot przywitał mnie solidnym uściskiem dłoni. Nosił cienki wypielegnowany wąsik i górował nade mną wzrostem. Nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt dwa lata. Posadził mnie w klubowym fotelu przy stoliku. Siedząc, widziałem przez okno kopułę Sejmu.

- Whisky z lodem?

Skinąłem głową. Wkroczyłem do świata dyplomatów i nie mogłem się wylamywać.

Cabot z jednaką wprawą poruszał się po meandrach polityki i na boisku baseballowym. Patrząc, jak uwija się przy barku, musiałem przyznać, że jest urodzonym dyplomatą. Whisky z lodem przyrządzał nie gorzej niż barman z Niebieskiej Papugi w Oakland.

Bez owijania w bawełnę wyłożyłem obie sprawy. Nie wspomniałem, rzecz jasna, słowem o Towie, Koropotkinie i trzech niezidentyfikowanych głowach. Rozwodziłem się za to szeroko nad artystyczną wrażliwością premiera i nad sposobami przyjęcia mu z pomocą.

Nazwisko premiera wywołało pożądany skutek.

- Trzeba wyrobić paszport dyplomatyczny. Muszę mieć dwa, trzy dni - obliczył Cabot.

- A przesyłka? - przypomniałem o pierwszej prośbie.

- Mogą być południowoamerykańskie?

- Wolałbym z Południowej Azji.

- Załatwione. - Zajrzał do terminarza. - Niech pan wpadnie jutro przed czternastą.

Pomijając inne zalety, Cabot okazał się lojalnym urzędnikiem administracji Kennedy'ego. Wychodząc z gabinetu, wypatrzyłem za szybą biblioteczki filmową fotkę Marilyn Monroe.

14

Wróciłem do hotelu, żeby się przebrać. Portier czatował z nosem przyklejonym do szyby. Na mój widok rzucił się otwierać drzwi. Od wczoraj tak się zestarzał, że właściwie nie musiał już umierać.

- Zaszło nieporozumienie - wystękał. Musiałem podtrzymać go za łokieć. - Dla gości zagranicznych mamy pokoje ze specjalnej puli.

- Z łazienką?

- Jest i łazienka.

- Telefon?

- Oczywiście.

- Rzucę okiem.

- Pozwoliłem sobie już przenieść pańskie rzeczy.

Otworzył windę własnym kluczem i zawiózł mnie na drugie piętro.

Dostał mi się niczego sobie apartamencik z aneksem kuchennym i lodówką. Łazienka wypolerowana do połysku. Szafkę sąsiadującą z klozetem zdobiły dwie rolki papieru toaletowego.

- Co poradzić, skromnie. Za to czysto. - Przetarł chusteczką ekran telewizora.

Tapczan miło sprężynował. Położyłem się w ubraniu i świeżo wymalowany sufit, gładki jak masyw lodowy Alaski, objawił mi się w całej okazałości.

Stary chrząknął.

- Aha, zostawiono dla pana wiadomość...

Podał mi wizytówkę. Przeczytałem: „Wydział Propagandy Komitetu Centralnego PZPR”. Dalej nazwisko i telefon.

- Klucz do windy - obwieścił kładąc klucz na stole. - Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę wołać bez względu na porę. Inżynier Dederko, do usług.

Ledwo wyszedł, wykręciłem numer podany na wizytówce.

- Pipkow? - Kto mówi?

- Niczyj. Przełączcie do towarzysza Wiesława.

Upłynęły dwie minuty, zanim usłyszałem znajome ciamkanie.

- Mam wiadomość.

- Koropotkina?

- Jestem na tropie.

- Gdzie jest?

- Nie chcę zapeszyć. Poproszę jeszcze o dwa, trzy dni.

- To z czym dzwonicie?

- Jestem coraz bliżej rozwiązania zagadki tych Murzynów - odczekałem dla wzmocnienia efektu. - Pięćdziesiąty szósty.

- Konkretniej?

- Numeracja stron. W tym kryje się odpowiedź.

Słyszałem w słuchawce, jak liczy.

- Co z tego wynika?

- Mierzą w premiera. Pięćdziesiąty szósty. Poznań, ucinanie rąk i tak dalej.

- Cały Józiu! Aha! I stąd ta Galicja...

- Los Tres Gailos.

- „Cielątko oddać pod nóż” - recytuje Towa. - A czy wy jesteście pewni, że chodzi im o niego?

- Nie inaczej.

- Kto pociąga za sznurki?

Kalkulowałem szybko w myślach. Musiałem dotrzeć do pierwszego maja.

- Idę tym tropem. Potrzebuję jeszcze kilku dni.

- Ślamazarnie wam to idzie.

- Jezu, prowadzę dwa śledztwa na raz! Podzielcie robotę między swoich, będzie szybciej.

Słyszałem, jak zapala papierosa.

- Nie traćcie czasu - odburknął.

- Pracuję bez chwili wytchnienia.

Odłożyłem słuchawkę, wyciągnąłem się na tapczanie i z miejsca zasnąłem. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Dederko z kolacją. Pokojówka wniosła frankfurterki, szynkę, twarożek, pieczywo i szarlotkę. Dederko prześcigał się w uprzejmościach. Kolację kazałem zostawić, za pokojówkę podziękowałem.

15.

Na śniadanie Dederko zafundował mi grzanki i jajka po wiedeńsku. Włączyłem telewizor. Lecił program z cyklu „W domu i zagrodzie” - nowoczesne metody hodowli trzody chlewnej. Zjadłem jajka i wstałem, żeby przełączyć na inny kanał.

Nie było innego kanału.

Dochodziło wpół do pierwszej, kiedy wszedłem do Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch” na Nowym Świecie. Do wizyty w ambasadzie pozostawało półtorej godziny. Usiadłem w czytelni prasy i zająłem się nadrabianiem zaległości.

WASZYNGTON ZAOSTRZA REPRESJE WOBEC STATKÓW PRZEWOŻĄCYCH TOWARY NA KUBĘ

Murzyn kosmonautą? Kapitan amerykańskich wojsk lotniczych Murzyn Edward Dwight został wyznaczony do ekipy 15 pilotów doświadczalnych przechodzących specjalne przeszkolenie przygotowujące kosmonautów do lotów międzyplanetarnych.

Terror w Iraku. Trybunał bagdadzki skazuje na karę śmierci podoficera oskarżonego o działalność komunistyczną.

Pierwszomajowa odezwa do mieszkańców Warszawy. Pod hasłami pokoju i twórczej pracy w dniu 1 Maja wyrazimy dumę z dotychczasowych rezultatów wspólnego trudu i wysiłku. Zamanifestujemy gotowość do dalszej wyteżonej pracy nad wszechstronnym rozwojem gospodarki narodowej.

Dwie kule z pistoletu bandyty przerwały życie białego bojownika o prawa Murzynów amerykańskich. William L. Moore, pracownik pocztowy z Baltimore, kolejną ofiarą białych rasistów.

Włodzimierz Lenin, którego urodziny cały postępowy świat obchodził 22 kwietnia, dla młodych miał trzy rady: „Uczyć się, uczyć się, uczyć się”. Starszym zaś mówił: Jeżeli wiem, że wiem mało, to dopnę tego, aby wiedzieć więcej, ale jeśli człowiek będzie mówił, że jest komunistą i że może nie posiadać żadnych solidnych wiadomości, to nie stanie się komunistą pod żadnym względem”.

W 1962 roku Związek Radziecki wybudował 2.587.000 mieszkań, USA - 1.370.000, Anglia - 318 tys, a Francja 310 tys.

POLSKA COROCZNIE EKSPORTUJE (GŁÓWNIEM DO NRF I SZWAJCARII) 100 TON SUSZONEJ POKRZYWY.

Zagłębiłem się w lekturę artykułu, jak to Lenin umiał łączyć wyteżoną pracę z odpoczynkiem, bo ten odpoczynek dostarczał mu nowego zapasu energii do dalszego twórczego wysiłku, więc wielki wódz rewolucji, przywódca ludzi pracy całego świata, po mistrzowsku dzielił czas tak, aby codziennie kilkanaście lub kilkadziesiąt minut móc poświęcić na czynny wypoczynek. Doczytałem do zdania: „Co się tyczy strony fizycznej, powtarzam: codzienna gimnastyka i nacieranie”, i na tym nacieraniu, niestety, musiałem poprzestać, dochodziła bowiem za kwadrans druga, a ja nie zamierzałem się spóźnić na spotkanie z Cabotem.

Cabota nie zastałem. Ambasador udał się do Nowej Huty, by tam zabiegać o poprawę stosunków dwustronnych. Z Nową Hutą rzecz przedstawiała się następująco: przemysł nowohucki - w trzech czwartych korzystający ze sprzętu radzieckiego - paskudził środowisko. Fabryczne dymy i chmury smogu nie były dobrą wizytówką sztandarowego miasta komunizmu, więc imperialna Ameryka - dla ratowania Nowej Huty i cesarskiego Krakowa - budowała w mieście proekologiczną ocynownię blach.

Przyjął mnie drugi sekretarz ambasady John Scanlan. Na dziedzińcu już czekał pick-up załadowany kartonami. Zostawiłem Scanlanowi numer telefonu do mojego pokoju hotelowego i kazałem kierowcy wieźć się do Wilanowa.

Pomagier doktora Utanga rozpoznał mnie. „Niedonosek” - tym razem przedstawił się; pomógł mi przenieść kartony do gabinetu Utanga. Dyrektor przyjął mnie bezzwłocznie. Niezgrabnie rozerwał pierwszy karton, chwycił kiść bananów i zajął się konsumpcją. Podsunałem mu przygotowaną czystą kartkę. Nie przerywając jedzenia, otworzył szufladę, wyjął pieczęć, podstemplował przepustkę. Mlaskał i przyglądał mi się życzliwie. Borneo, powiedziałem i widzę, że coś się w nim poruszyło. Wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i udał, że wyciera nos.

Pokazałem Niedonoskowi przepustkę i kazałem się prowadzić do Zajcewej. Towarzyszka Zajcewa zajmowała nieduży pokój na parterze. Odrapane metalowe łóżko, kulawy stolik, na stoliku gładki zeszyt i kredki do rysowania. Siedziała na skraju łóżka i machała bosymi stopami. Ręce miała chude i kościste, twarz porytą zmarszczkami, na

dłoniach pięknie zachowane odciski po niedzielach czynów produkcyjnych.

Przywitała mnie mocnym uściskiem.

- Stalin to kutas - powiedziała, co powiedziała, i przygląda mi się bacznie.

Złożyłem jej pełen szacunku ukłon. Miałem przed sobą przedstawicielkę opiewanego w partyjnej prasie pokolenia, które gołymi rękami budowało Kanał Białomorski i fabryki konserw na potrzeby wojenne.

- Kutas - zgodziłem się.

- Szczał w spodnie.

- Miał dzioby na gębie.

Przez dwie minuty wymienialiśmy podobne uprzejmości. Na koniec z ust towarzyski Zajcewej usłyszałem zajmującą opowieść. Spędziła w stalinowskim więzieniu blisko piętnaście lat. Uratował ją Lenin i spirytyzm. W celi klękała przed stołem, na stole stawiała blaszany talerzyk i tak rozmawiała z Leninem. Z każdym pytaniem i zmartwieniem zwracała się do Włodzimierza Iljicza. Wspierał ją na duchu. Bywało, że sam przychodził po radę. Czasem się pożalił.

- Którego dnia przyszedł i powiada, że nie uśmiecha mu się nadal dzielić mauzoleum ze Stalinem. „Katierina - mówi - to nieprzyjemnie tak leżeć obok Stalina, który tyle zła wyrządził Partii”.

- Mądre słowa - poczęstowałem ją wrigleyówką. - A z tymi trzema głowami, pani Katarzyno, to jak było?

- A, ten wieczorek spirytystyczny w apartamentach towarzyski Czartoryskiej? Doskonały przekaz. Towarzysz Goryczko to medium światowej klasy. Z delegacji do Paryża przeschmugłował niemal kompletny zestaw talerzyków pamiętających czasy Rewolucji Francuskiej.

Próbowałem podejść ją od różnej strony. Biedaczka miała lukę w pamięci. Zrezygnowałem.

Wstałem, żeby się pożegnać. Gryzmoliła w zeszycie kolejny portret Lenina z głową zwieńczoną aureolą. Szczera dusza, choć talentu za grosz.

Rzuciła kredki i uczepiła się mojej ręki.

- Błagam! - oczy jej się zaszklily - od pięćdziesiątego czwartego ani razu nie opuściłam pierwszego maja. Zajrzyjcie do mnie po pochodzie, podzielcie się radością! - Pogroziła palcem. - Tylko przynieście coś na pamiątkę. Szturmówka, goździk, plakat - cokolwiek. Niech i ja coś mam z tego święta.

Niedonosek czekał na korytarzu. Byłem rozbity po spotkaniu z Zajcewą i tylko z

obowiązku kierowałem się do gabinetu Utanga, gdy niespodzianie usłyszałem kobiecy śpiew. Głos - jakże znajomy! - dochodził spod pomalowanej olejną farbą drewnianej podłogi. Nadstawiłem uszu. Niedonoszek czujnie przyspieszył, ponaglając mnie ruchem ręki.

Utang porozwieszał banany w gabinecie. Z owoców durian ułożył piramidę na biurku i bujając się w fotelu sięgał raz po raz po kolczastą kulkę. Dźwignął się ciężko, uściśnął mi rękę i przytulił mnie do szerokiej piersi okrytej popielatą marynarką.

Łatka czatował na mnie w krzakach. Upewniwszy się, że jestem sam, zaszedł mi drogę.

- Profesorze - przemówił grobowo - jest jakaś szansa?

- Panie Łatka, wszystko jest na jak najlepszej drodze - zapewniłem i uciekłem, zanim miał czas zadać następne pytanie.

Jeśli potraktowałem go opryskliwie, to miałem ku temu powody. Nie w głowie był mi teraz Łatka. Zapomniałem nawet o trzech dekapitowanych Murzynach i bandzie Kolesnika kradnącej kury przed odwrotem z Galicji. Kroki pętało mi świeże wspomnienie kobiecego śpiewu dobiegającego z piwnic wariatkowa. Ów kobiecy głos, znany z tuzina amerykańskich filmów, przywołał wspomnienie pewnego majowego wieczoru przed niespełna rokiem, kiedy popijając chłodzoną colę, oglądałem telewizyjną transmisję z gali urodzinowej prezydenta Kennedy'ego.

16.

Zaszyłem się w hotelowym pokoju. Siedziałem przy zgaszonym świetle, przygryzałem na sucho płatki Quaker Oats i, jakby inaczej, myślałem o JFK o hucznie obchodzonych czterdziestych piątych prezydenckich urodzinach, które dwa miesiące później miały przynieść dość nieprzyjemny finał. Wziąwszy pod uwagę, że rokrocznie pół miliona ludzi popełnia samobójstwo, nie powinno dziwić, że również gwiazdę ekranu najdzie czasem ochota na skorzystanie ze świętego prawa do odebrania sobie życia. W tym przypadku statystyka i demokracja podają sobie rękę.

Wpędziłem się w paskudny nastrój. Ubrałem się i wyszedłem do miasta. Z nastaniem wieczoru tłum w Alejach Jerozolimskich przerzedził się. Przechodnie mieli markotne miny. A wystarczyło wziąć do ręki gazetę i przeczytać, że na jednego mieszkańca Warszawy przypada prawie siedem metrów kwadratowych zabrukowanych nawierzchni ulicznych, a na stu statystycznych warszawiaków przypadają aż trzy punkty oświetlenia ulicznego.

Obejrzałem się. Na tle ciemnej bryły gmachu żarzyły się trzy pierwsze litery neonowej reklamy Hotelu Central. HOT, uznałem, to za dobry omen i w lepszym już nastroju doszedłem do Nowego Świata.

Żulem wrigleyówkę, dym z ośmiu milionów papierosów codziennie wypalanych w Warszawie spływał na miasto lekką mgiełką. Wystawy sklepowe prowokowały do śmiałych konstrukcji myślowych na pograniczu symboliki. Mijałem sklepy obuwnicze, delikatesy, punkty sprzedaży nabiału, wódek i papierosów, zapuszczałem wzrok za brudne szyby pomieszczeń oferujących wyroby garmażeryjne i produkty chemiczne. Z dreszczykiem emocji, jaki towarzyszy odkrywaniu NOWEGO, czytałem:

CZĘSTY PAPIEROS

PRZYCZYNA

SKLEROZ

**PRZYWRÓCISZ ŚWIEŻOŚĆ I BARWĘ OBUWIA ORAZ
WYROBÓW SKÓRZANYCH STOSUJĄC ZMYWACZ „ROXY”**

**I FARBĘ DO SKÓR INCO „WILBRA” - EKSTRA
PRODUKOWANĄ W RÓŻNYCH KOLORACH, ŁĄCZNIE ZE
SREBRNYM, ŻŁOTYM I BEZBARWNYM.**

**DLA UCZCZENIA PIERWSZOMAJOWEGO ŚWIĘTA
SPOTKANIE ZMS-OWSKIEGO AKTYWU ROBOTNICZEGO
WARSZAWY WYSUNĘŁO POSTULAT ROZWIJANIA
POSTĘPU TECHNICZNEGO ORAZ POPIERANIA PRZEZ MŁODZIEŻ
CZYNÓW PRODUKCYJNYCH.**

**TYLKO PEDITOX RADYKALNIE NISZCZY INSEKTY
GŁOWY!**

**MATKO! ŻAGŁÓWKA PNEUMATYCZNA UPRZYJEMNI
TWEMU DZIECKU KĄPIEL I PRYZYWCZAI JE DO
CZYSTOŚCI.**

Doszedłem do rogu Nowego Świata i Chmielnej. W ciepły kwietniowy wieczór po Chmielnej krążyło sporo zadbanych samotnych kobiet. Zapuściłem się w Chmielną.

Tuż za rogiem, odwrócona plecami do sklepu komisowego i sklepiku z wyrobami pończosznymi krajowej produkcji, przechadzała się naturalna blondynka. Zlustrowałem ją z zawodowego nawyku. Smukłe długie nogi, stopy o idealnie ukształtowanym podbiciu, fryzura *desiree*. Sweterek tak obcisły, że z trudem łapałem oddech. Jej smutne niebieskie oczy na chwilę spoczęły na mojej tweedowej marynarce z wyprzedzący i znoszonych butach. Odwróciła wzrok. Zrozumiałem, że łatwo mi nie pójdzie. Desiree stroni od przypadkowych znajomości.

Od czego jest się prywatnym detektywem!

Podszedłem.

- Nie wystarczą zgrabne nogi. Ładne pończochy są warunkiem elegancji.

Odwróciła się i spojrzała nieprzyjemnie.

- Cham!

Ująłem ją delikatnie acz po męsku za łokieć i zwróciłem twarzą do wystawy sklepiku z wyrobami pończosznymi krajowej produkcji. Miękkim głosem przeczytałem z reklamowego anonsu:

NIE WYSTARCZĄ ZGRABNE NOGI. ŁADNE POŃCZOCHY SĄ WARUNKIEM ELEGANCJI. ŁADNE I TRWAŁE POŃCZOCHY STYLO - NOWE ZE SZWEM NADAJĄ SIĘ DO NOSZENIA O KAŻDEJ PORZE ROKU. MOCNIEJSZE I GRUBSZE OD KRYSTAŁKÓW CHARAKTERYZUJĄ SIĘ DUŻĄ WYTRZYMAŁOŚCIĄ NA ZACZEPIENIA. WYRABIANE Z WYSOKOGATUNKOWEJ PRZĘDZY, WZMACNIANE SĄ PONADTO DODATKOWĄ NITKĄ W PALCACH I NA PIĘTACH.

- Nie noszę krajowych - prychnęła.

- Na moje oko są ładniejsze od amerykańskich.

- Amerykańskich?

Wyjąłem lewą rękę z kieszeni spodni i przedstawiłem się:

- Al Niczyj, Oakland, Kalifornia.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę panu wierzyć?

Dla tak błahej przyczyny nie chciałem już na starcie nastawiać jej do siebie nieprzychylnie.

Dyskretnie oglądałem jej śmiało pomalowane paznokcie na wypięgnowanych dłoniach, podczas gdy Desiree studiowała mój paszport.

- Sophie - przedstawiła się.

Rękę miała smukłą i niespracowaną. Zadrżała, gdy chciałem dłużej ją przytrzymać.

- Uczę się angielskiego - zwierzyła się.

- Mogę się przydać.

- Mam trudności ze spółgłoskami twardopodniebiennymi.

- Twardopodniebienne to moje ulubione.

Pozwoliła się zaprosić. Wybrała Bristol. W malinowo-pluszowej restauracji, gdzie nad głowami wiszą kryształowe żyrandole, a czarno politurowane krzeselka stoją przy stolikach o blatach z podrabianego marmuru, zamówiła bourride i teriyaki. Podchodzę z respektem do potraw, na których nazwach można połamać język. Zamówiłem to samo. Kelner przyniósł zupę kremową i szaszłyki na modłę japońską.

Sophie moczyła wargi w czerwonym winie, ja zmagalem się jeszcze z teriyaki, pięcioosobowy zespół rewelersów śpiewał piosenkę z repertuaru Katarzyny Boveri. Sophie pozwoliła się zaprosić do tańca. Gość w śmiesznym garniturku zawodził dyszkantem: „Choć wiem, że to jest tylko sen/Upalnej nocy zwykły sen. /Że noc, srebrzysta letnia noc/Przesłania niespokojny dzień. /Lecz my wtuleni twarzą w twarz/Tańczymy, ty i ja,/Nam zastygł w miejscu czas./A sen, choć będzie tylko snem/Niech snuje się jak mgła/Niech trwa, niech trwa”.

Badałem opuszkami palców idealnie prostą linię kręgosłupa Sophie, przechodzącą u dołu w łuk o interesującej architekturze. Sophie przyłgnęła do mnie. Moje sto osiemdziesiąt pięć funtów kości, mięśni i włókien nerwowych zaczynało wymawiać mi posłuszeństwo. Rewelersi zmienili repertuar. „We mgle zginęło Portofino, /W zaroślach ostro krzyknął ptak. /W zatoce księżyc się rozplynał/I w Portofino szepnęłam «tak»”.

- Jakie to piękne! - szepnęła mi do ucha.

Przytaknąłem. Jej wygimnastykowane uda doskonale wyczuwały rytm. Nucila razem z rewelersami: „Wiedzieli ludzi z Portofino, /Że do wesela dzień czy dwa. /Gadali, z jaką dumną miną/Przez Portofino będę szła”.

Odbyliśmy spacer uliczkami Starego Miasta, po czym dorożką pojechaliśmy do hotelu.

- Woda kwiatowa Czarny Diament? - upewniłem się, kiedy za zamkniętymi drzwiami, poczynając sobie coraz śmieiej, tropiłem w fałdach jej ubrań intrygujący zapach.

Obruszyła się.

- Red Door! - prawie krzyknęła.

Był to jedyny tego wieczoru zgrzyt w naszych relacjach. Od tej pory działaliśmy zgodnie.

Zgasilem światło, żeby jej skromność nie doznała uszczerbku. Zapaliła światło. Uznałem, że mogę pozwolić sobie na więcej. Rozpiąłem suwak spódnicy i wyzwoliłem jej smukłe biodra z opinającej je ciasno bistorowej konstrukcji. Poddawszy się z westchnieniem, pomogła mi rozpiąć guziki sweterka. Uwolniłem ją od czerwonego biustonosza i czerwonego paska do pończoch. Z radia w sąsiednim pokoju leciał jeden z polonezów Chopina. Jej stopy o doskonale ukształtowanym podbiciu, łydki i uda pozwoliły się wyłuskać z delikatnych bezszwowych pończoch z importu. Czerwony trójkąt majteczek nie stawiał mi oporu.

W błyskawicznym tempie ściągnąłem z siebie ciuchy.

- Co to? - westchnęła.

- Chopin.

- Och, Al!

Przy Julianne-Anne mężczyzna podlegał stresowi nawet w łóżku. Wysoko ustawiała poprzeczkę. W najmniej odpowiednim momencie robiła mi egzamin z wątków miłosnych w literaturze światowej. W takich chwilach roztrząsać drobnomieszczańskie rozterki Anny Kareniny! Wymagała perfekcyjnej znajomości łóżkowych dialogów z rozbiciem na sceny i westchnienia. Z Sophie było inaczej, jakimś szóstym zmysłem odgadywała każde moje życzenie. Ciało Sophie, zrozumiałem, to najlepsze, co komunizm na tym etapie rozwoju może mi zaoferować. Posuwałem się naprzód spokojnie, z wyczuciem właściwym austro-węgierskiemu estecie od czterech pokoleń na emigracji. W sferze intymnych doznań obcy jest mi sportowy duch. Nie zamierzałem zaliczać wszystkich baz za jednym nawrotem. Już pradziadek Nietzschey przedkładał eksplorację nad inwazję.

Odkryłem się przed Sophie od A do Z. Przyznałem się, że sypiam od ściany. Że nie rozumiem całej tej wrzawy wokół malarzy abstrakcjonistów. Lubię kluski, a po odsmażanych ziemniakach mam wzdęcia. Kiedyś wysłałem Kerouakowi anonim z wyrysowaną szubienicą. Z winy panny Hoffmann, która chodziła w męskich półbutach i mnie, trzynastolatka, molestowała w klasie poezją z kręgu prerafaelitów, przy kobietach o dużych stopach staje się seksualnie oziębły. Średnio raz w tygodniu nawiedza mnie czarno-biały sen: jako Humphrey Bogart spaceruję z majorem Strasserem skalistym brzegiem Alcatraz, skręcam sobie papierosa, przypalam, zaciągam się i wypuszczając białe kółko dymu, spycham gada do zimnej wody zatoki. Pomiąłem milczeniem, co prawdziwy Strasser robi w moim życiu. O Julianne-Anne, naturalnie, słowem nie wspomniałem.

Wreszcie, z dłonią spoczywającą na lewej piersi Sophie, zasnąłem. Wcześniej poczyniłem w myślach szereg postanowień, świadomy, że nowa sytuacja wymaga radykalnych zmian. Z nieregularnych wpływów prywatnego detektywa rodziny nie

utrzymam.

Obudziłem się bliski euforii. Jeszcze przecierając oczy spostrzegłem, że w aneksie kuchennym pali się światło. Skarb!, ucieszyłem się. Pomyślała o śniadaniu do łóżka. Spojrzałem w okno. Ciemna noc. Wstałem po cichu. Sophie była ubrana i zajmowała się moją marynarką.

- Co robisz?

- O, nie chciałam cię budzić.

- Już idziesz?

- Mam fajrant - oddała mi marynarkę. - Od dewizowców, *sweetheart*, biorę dwudziestkę. Zielonych.

Począpałem do łazienki. Dobyłem portfel ze schowka i wróciłem, po drodze odliczając dwadzieścia dolarów.

- Plus dziesięć na taksówkę.

- Aż dziesięć?

- Co chcesz - wzruszyła ramionami. - Taryfa nocna.

Rozstałem się z kolejną dziesiątką. Zamknąłem za Sophie drzwi i bezskutecznie starałem się zasnąć.

17.

Jeśli komunizm kiedyś padnie, to przez blokowanie dostępu do coca coli. Dederko przysłał mi dwie butelki czegoś, co towarzysze nazywają oranżadą. I pijąc te zabarwione landrynkami popłuczyny, zmagając się z myślami, wiedziałem, że po jednym łyku oryginalnej coli ujrzałbym całe dotychczasowe życie w dużo lepszym świetle. W najgorszym razie mógłbym na chwilę zapomnieć o pechu w miłości.

Umyłem zęby pastą Crest. Oranżadę wylałem do sedesu i spuściłem wodę. Czekał mnie huk pracy. Musiałem znaleźć towarzyszkę Koropotkinę i trzy korpusy pasujące do murzyńskich głów. Musiałem zrealizować zlecenie księcia Khana. Przy okazji wyzwolić premiera od kompleksu Cezara. Wreszcie należało sprawdzić, kogóż to mocodawcy doktora Utanga każą więzić w podziemiach Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych.

Roboty po łokcie.

Walnąłem się na łóżko i oddałem się kontemplowaniu sufitu. O szybę uderzały krople

deszczu.

Wtedy zaterkotał telefon.

Dzwonił Cabot.

- Towarzysz Niczyj?

- Wolne żarty.

- Masz dojścia do Komitetu Centralnego.

- Dziennikarski chleb, ekscelencjo.

Począł, aż się wyśmieję.

- Okęcie, osiemnasta piętnaście - zakomunikował, jakby ogłaszał wynik meczu koszykówki. - Odbierzcie swoją przesyłkę.

Było kilka minut po jedenastej. Musiałem czymś wypełnić czas do wczesnego wieczora, jeśli nie chcę narazić się na pytania Towy o postępy w śledztwie, najlepiej zrobić, znikając na kilka godzin z hotelu. Wyjrzałem przez okno. Deszcz przestał padać. Czas sprawić sobie małą przyjemność, uznałem. Po historii z Sophie dobrze mi zrobi intelektualna odtrutka. Zabrałem z szuflady nocnej szafki szczytany egzemplarz *Złego* i wyszedłem z hotelu.

18.

Zamierzałem dostać się tramwajem do ronda przy Domu Partii, a stamtąd spacerkiem przez plac Trzech Krzyży na Wiejską. Jeżeli *Bedeker warszawski* nie kłamał, w kawiarni Czytelnika przy Wiejskiej Tyrmand bywa częstym gościem. Przeczucie mi mówiło, że tego dnia szczęście mi dopisze. W trosce o stan egzemplarza *Złego* przepuściłem dwa przeładowane tramwaje. Trzeci nadjechał tak obwieszony pasażerami, że znalezienie wolnych centymetrów na stopniach graniczyło z cudem. Ruszyłem pieszo.

Zostawiając za sobą ciąg drewnianych baraków, które pretendowały do miana kolejowego dworca głównego w centrum europejskiej stolicy, puściłem się Alejami Jerozolimskimi. Zbliżało się południe, pora, gdy literacko-artystyczna śmietanka zbiera się w Czytelniku na obiad i wymianę poglądów. Przyspieszyłem kroku. Miąłem wystawy egzystujących w zgodzie sklepów Natasza i Chinka, miąłem salon jubilera, magazyn z konfekcją damsko-męską, w którym tego dnia sprzedawano po okazyjnej cenie rumuńskie dywany. W okolicach baru Praha i Centralnego Domu Towarowego musiałem zwolnić, żeby przecisnąć się przez gęstniejący tłum. W kiosku Ruchu kupiłem „Życie Warszawy”, za naróżnym bankiem skręciłem w prawo i idąc znaną na pamięć trasą wytyczoną kopułą

kościół św. Aleksandra, zajrzałem na pierwszą i ostatnią stronę gazety. Nawet bez mojego udziału świat wytrwale zmierzał na skraj przepaści. Młodzież socjalistyczna przestrzegała Zachód, że doświadczalne wybuchy nuklearne są zbrodnią wobec ludzkości. „Panowie Kennedy i Macmillan - apelowali młodzi w imieniu świata - musicie sobie zdawać sprawę, że odpowiadacie przed potomnością”. Amerykański sekretarz stanu Rusk nie znalazł czasu na spotkanie z radzieckim ministrem Dobryninem. W Brazylii nadal utrzymywały się niepokoje. W Ameryce trwała słuszna walka Murzynów, Pentagon kontynuował zbrojenia, a amerykański Bank Rezerw Federalnych zanotował dalszy spadek rezerw złota.

Przeszedłem na lewą stronę ulicy, by jak najkrótszą drogą dotrzeć na Wiejską. W oczekiwaniu na zielone światło zajrzałem do kroniki kryminalnej. Zdążyłem przeczytać, jak odrzucony w zalotach Franciszek M., lat 28, mieszkaniec ulicy Stalowej na Pradze, w akcie zemsty zadał narzeczonej kilka ciosów nożem, kiedy przeraźliwy krzyk zmroził mi krew w żyłach. Spojrzałem w lewo, skąd krzyk dochodził. Co zobaczyłem? Kilkanaście kroków ode mnie biały wystrzyżony pudel właśnie zmieniał właściciela. Solidnej budowy brunet w kraciastej marynarce zwyciężył w krótkim starciu z młodą kobietą i - z pudlem w ramionach - puścił się biegiem do parku przy ulicy Książęcej. Próbowła za nim biec, ale w butach na wysokich obcasach nie miała szans. Stała bezradnie i rozglądając się, głośno wzywała pomocy.

Zapaliło się zielone. Zbyt późno się zdecydowałem.

Nie uśmiechało mi się pchać nos w nie swoje sprawy. Byłem obcy w obcym mieście i miałem parę własnych problemów, które pilnie domagały się rozwiązania. Pech w tym, że nikt z przechodniów nie zwracał uwagi na zbrodnię, która właśnie dokonywała się w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła i Domu Partii. Przeklinając w duchu przepełnione tramwaje i przypadek, rzuciłem się w pogoń.

- Niech pan ratuję Punie! - krzyknęła, kiedy ją mijalem. Miała zgrabne nogi i twarz, którą byłoby grzechem kryć pod makijażem.

Prawie nie zwalniając, pokonałem betonowe schodki i wpadłem na parkową alejkę. Jeden nieopatrzny krok na mokrym po deszczu żwirze groził upadkiem. Miał nade mną przewagę co najmniej dwudziestu kroków. Był wyższy i cięższy, więc w biegowym pojedynku wydawałem się nie bez szans. Poruszał się jednak zwinnie, a to powinno dać mi do myślenia. Najwyraźniej pod kraciastą marynarką kryło się wysportowane, nieotluszczone ciało. Obejrzał się. Wyraz jego twarzy nie mógł mi się spodobać. Nie było jeszcze za późno, by sobie odpuścić. Ale z tyłu już dobiegał mnie stukot szpilek. Nie miałem odwrotu.

Dystans między nami powiększał się zamiast zmniejszać. Był szybszy, mimo że

wyrywający się pudel nie ułatwiał mu zadania. Ściskając *Złego* owiniętego w gazetę, starałem się przynajmniej nie stracić go z oczu.

A jeśli jakimś cudem zdołam go dogonić? Podobne pytania na razie od siebie odsuwałem. Mogłem tylko poniewczasie żałować, że nie przykładałem się do lekcji Bruce'a.

Raptem potknął się o wystający korzeń. Ratując się przed upadkiem, wypuścił pudla i trzepotał rękami dla utrzymania równowagi. Pies zawrócił i jak strzała pomknął prosto do mnie. Ledwo zdążyłem wypuścić owiniętego w gazetę Tyrmanda i ukucnąć, biała kulka wylądowała w moich ramionach.

Tamten jakby zapadł się pod ziemię. Postąpiłem ostrożnie kilka kroków i zobaczyłem, jak zsuwa się stromą skarpą, ślizgając się po mokrej trawie. Zatrzymał się przy parkowym stawie i stamtąd pogroził mi pięścią. Zaraz jednak zapuścił się między drzewa i zniknął mi z oczu w wiosennej gęstwinie Centralnego Parku Kultury i Wypoczynku na Powiślu.

Tymczasem nadbiegła właścicielka i Punia jednym skokiem znalazła się na jej rękach. Były tak zajęte sobą, że odczekawszy chwilę, oddaliłem się po angielsku. *Zły* poniewierał się w kałuży. Wrzuciłem książkę do kosza i zawróciłem do placu Trzech Krzyży.

Dogoniła mnie. Punia drobiła obok na smyczy.

- Przepraszam, nawet nie podziękowałam. Wciąż jestem w szoku po tym napadzie.

Miała niski głos, który sugerował władczy charakter. Figura i cała reszta rekompensowały ten mankament.

Widząc, jaka jest roztrzęsiona, zaproponowałem jej odprowadzenie do domu. Wyraziła zgodę. Nazywała się Irena Morawska, pracowała w Oddziale Oświetlenia Wydziału Inżynierii Miejskiej i mieszkała na ulicy Dynasy.

Punia, dowiedziałem się, o mało nie padła ofiarą gangu porywaczy psów, który od miesięcy grasuje w Warszawie.

- Porywają psy dla okupu? - zdziwiłem się. Czyżby wbrew propagandzie Zachodu Polska doganiała świat?

Irena szybko sprowadziła mnie na ziemię.

- Handlują nimi na czarnym rynku. Rodowodowy pudel miniatúrka kosztuje ponad trzy tysiące złotych, tyle co dwie średnie pensje.

- Łatwy zarobek kusi.

- Milicja podejrzewa, że to doskonale zorganizowana szajka. Psy z arystokratycznym rodowodem wywożą za granicę i tam sprzedają. Za psa z dobrego domu dostają nawet pięćset dolarów. A skoro dolar na czarnym rynku kosztuje sto złotych, to łatwo policzyć.

Punia wywodziła się z bardzo dobrego domu. Metryka wydana przez

Międzynarodowy Związek Kynologiczny z siedzibą w Brukseli wymieniała przodków sześć pokoleń wstecz. Ojcem był Xavier de Camparis-Veigny, przedstawiciel prastarego rodu, który od XVII wieku łączy gałąź francuską z włoską; matką była Fabienne de Rougemont, z tych samych Rougemontów, których przodkowie przez całe stulecia grzali nogi Habsburgom i Medyceuszom. Gdyby wierzyć brukselskim papierom, w żyłach Puni płynęło więcej królewskiej krwi niż w swoim czasie na gilotynowych imprezach Rewolucji Francuskiej.

Właścicielka psiej arystokratki rozpyłała się w podziękowaniach. Miała figurę bliską ideału. A jednak czułem, że jest między nami granica, której nie powinienem przekroczyć. Może sprawiała to jej uroda? Wyniosłość, która za sprawą proweniencji Puni przeszła na właścicielkę?

Punia nie była stworzona do długich spacerów. Wziąłem ją na ręce i tak doszliśmy w trójkę do Tamki. Po niespełna godzinie znajomości Irena przeszła ze mną na ty. Wtajemniczyła mnie w sercowe problemy z szefem. Ładne kobiety mają trudne życie. Co do mnie, okroiłem zwierzenia do minimum, tu i ówdzie popuszczając wodze fantazji: Aleksander Niczyj, lat 35, dziennikarz działu sportowego jednego z łódzkich dzienników, obecnie na delegacji w Warszawie. Coś mnie powstrzymywało przed epatowaniem Ireny moją amerykańskością.

Przecieliśmy Tamkę, weszliśmy w Cichą i pięć minut później stanęliśmy przed jedną z dwupiętrowych kamienic na Dynasach. Kiedy podała mi dłoń, zrozumiałem, że panny Morawskiej nikt nie wyręcza w przybijaniu młotkiem gwoździ.

- Wybacz, że nie zapraszam, ale mieszkam sama.

Nie nalegałem. Po przygodzie z Sophie dobrze było spotkać uczciwą kobietą. Nie zamierzałem tego zmieniać. Z grzeczności podałem jej numer hotelowego telefonu i pożegnałem się w przekonaniu, że więcej się nie zobaczymy.

Spojrzałem na zegarek. Miałem trzy godziny wolnego i nowy problem, który spodziewałem się rozwiązać w godzinę. Dynasami i Oboźną doszedłem do Krakowskiego Przedmieścia. Zacząłem od tamtejszych księgarń i antykwariatów. Zapuściłem się aż na uliczki Starego Miasta, by wreszcie w podłym nastroju zawrócić do Nowego Świata. Zły Tyrmanda okazał się równie nieosiągalny jak coca cola.

19.

Zjadłem barowy obiad sprowadzony przez Dederkę, przebrałem się i już czas było

jechać na lotnisko. Po dwudziestu minutach czekania zapadłem się w wysiedziały fotel pojazdu, który byłby ozdobą muzeum motoryzacji. Taksówkarz milczał. Zaserwowałem sobie wrigleyówkę. Poczęstowałem. Nie przyjął.

Dopiero przed Okęciem odważył się zagadnąć:

- Pan chyba nie leci?
- Odbieram gościa.
- Skąd?
- Kalifornia.
- Rodzina?
- Tak - skłamałem. - Kawał świata. Może i pan kiedyś polecisz.
- Jak Bóg da.

Zabębnił palcami po kierownicy. Odwrócił się.

- Oryginalna?
- Jasne.

Wziął trzy listki wrigleyówki, schował do kieszeni.

- Poczekać na pana?
- Nie trzeba.

Hala przylotów na Okęciu narzuca skojarzenia z dworcem Greyhounda w Anaheim. Niskie drewniane baraki, taki sam ścisk i duchota. Tłum z grubsza dzieli się na trzy kategorie: podróżni, odprowadzający i szpicle. Tych ostatnich na Okęciu pałętało się tyłu, że wchodziłi sobie w paradę. Poznawałem ich po tym, że kieszenie płaszczy wypychały im piersiówki i domowe kanapki.

Bruce'a wypatrzyłem z daleka. Choć niewysoki, rzuca się w oczy. Chodzi, jakby w butach miał ukryte sprężyny. Skupiona energia, siła wewnętrzna i tym podobne banialuki.

Przywitał się, nie przestając się uśmiechać. Ten chłopięcy uśmiech niejednego wprowadził w błąd.

- Jak podróż?
- Przespałem. Mów?
- Zastępca sekretarza prasowego ambasady.
- Nie czytam gazet!
- Nie będziesz musiał.
- *What the hell!* - jęknął, kiedy przeciskaliśmy się przez tłum. - Prawie dwadzieścia lat

po wojnie i jeszcze nie odbudowali lotniska?

- Prowizorka - skłamałem z lojalności do pradziadka i polskich korzeni. - Budynki

kilka miesięcy temu strawił pożar.

W drodze do wyjścia wprowadzam go w rolę. Strzał w dziesiątkę. Bruce ma dwie pasje: nauczanie i aktorstwo. Od razu porwał go dydaktyczny zapal. Wyszliśmy przed halę. Rządowa czajka przysłana przez Cyrana zrobiła swoje. Goście z kanapkami w kieszeniach, zwabieni aparycją Bruce'a i rozmową w obcym języku, na widok czarnej karoserii zrejterowali.

Rozsiedliśmy się na tylnych siedzeniach czajki.

- Aleja Róż - poleciłem kierowcy.

Jechaliśmy ciemnymi ulicami stolicy, o której oświetlenie i neony troszczą się kolektywnie Oddział Oświetlenia w Wydziale Inżynierii Miejskiej, Wydział Architektury, Nadzoru Budowlanego i Geodezji oraz Wydział Handlu.

- Chyba przeniosę się na stałe do Oakland - zwierzył się Bruce.

- Świetnie! - Szczerze się ucieszyłem.

- Poznałem w Oakland dziewczynę.

- Każdemu kiedyś noga się powinie.

20.

Premier powitał nas ubrany w orientalny szlafrok z jedwabiu. Ciężki dzień, poskarżył się z wdziękiem. Przyjął delegację Komunistycznej Partii Danii, potem ambasadora Włoch (pan Aillaud, dodał, zdradzając wyrafinowany gust habsburskiego miłośnika hippiki, doskonale jeździ konno), wreszcie odbył pierwszomajową agitkę z przedstawicielami Warszawskich Zakładów Materiałów Lampowych, które właśnie otrzymały imię działacza Hiszpańskiej Partii Komunistycznej Juliana Grimau, w tych dniach zamordowanego przez reżim frankistowski.

Jeżeli myślałem, że Bruce'a dobrze znam, to jednego nie wziąłem pod uwagę. Wygolony na łyso, ubrany w orientalny chałat, w ten czwartkowy wieczór premier wyglądał jak żywe wcielenie Buddy. Bruce na jego widok zaniemówił. Przypomniał sobie młodzieńcze lata w Hongkongu i staruszka Yip Mana, u którego pobierał pierwsze lekcje.

- To ta niespodzianka? - domyślił się Cyrano. Widzę, że minę ma nieszczególną.

- Bruce Lee - przedstawiłem.

Bruce gapi się w gospodarza jak w obrazek.

- Przebiorę się - zapowiedział Cyrano.

Odciąga mnie na bok.

- Człowieku, Chińczyka mi pan przysłał?

Patrzę w jego podkrążone melancholią oczy i miałbym ochotę krzyknąć: „Przecież czytałem o pogłębiających się rozbieżnościach między Komunistyczną Partią Związku Radzieckiego i Komunistyczną Partią Chin. Czy narażałbym pobratymca z Galicji na polityczny kataklizm?”

- Amerykanin z autentycznym rodowodem - uspokoiłem.

Zanim zniknął w garderobie, poprosił do salonu małżonkę. Pani premierowa wyglądała *charmant* w długiej sukni z rozcięciem. Przypominała Ingrid Bergman w roli lisy Lund, przez którą twardego Rick Blaine w samotności zalewał się whisky i płakał jak bóbr.

- Piękna suknia - skomplementowałem, kiedy dopełniliśmy prezentacji.

- Próbowалам wyciągnąć męża na tańce. Próżny trud.

- Bruce w pięćdziesiątym ósmym wygrał konkurs cza-cza.

- Przeurocze! Zna twista?

- Twista, cza-czę, jive'a, boogie-woogie i madisona.

Nalałem sobie mineralnej, usiadłem w fotelu pod portretem Ala Bogoty. Premier wrócił po dziesięciu minutach, wyelegantowany jak od krawca.

- Co to za hałasy?

- Bruce - wyjaśniam - uczy panią premierową madisona. Drzwi salonu otworzyły się z hukiem. Bruce i premierowa w rytmie cztery na cztery przemknęli przez pokój.

- *Tap, stamp, kick* - komenderował Bruce.

- Nina zna angielski? Nie wiedziałem - mruknął Cyrano.

- A nie mówiłem? Bruce ma smykałkę do uczenia!

- Uroczy chłopiec! - krzyknęła w naszą stronę pani premierowa. - Dostawienie, stąpnięcie, wykop!

- Zostaniecie na kolacji - zażądał Cyrano. - Robię pyszne flaczki.

- Galicyjskie?

- Okropnie dekadencje.

Duet premierowa - Bruce uwijał się pośrodku salonu w rytm popularnego przeboju *Little Suzie*.

- Co za wyczucie! - komplementowała głośno premierowa. - Jakby się urodził na parkiecie.

- Chłopak z aktorskiej rodziny - odkrzyknąłem.

- Nieoszlifowany diament! Dostawienie, stąpnięcie, wykop!

- Walcownia drutu w hucie imienia Lenina ruszy 65 dni przed terminem - zapowiedział Cyrano i patrzy na mnie z ukosa.

- Wspaniale. Świat pewnie jeszcze nieraz o tym usłyszy.

- To się nazywa wielka polityka, co? - sarknął. Przeszliśmy do kuchni. Cyrano bez pytania poczęstował mnie drinkiem z wisienką. Włączył przenośny odbiornik radiowy Czar na tranzystorach. Zaczynał się kącik polskich piosenek filmowych sprzed wojny. Wyciskacz łez dla mężczyzn po niewłaściwej stronie czterdziestki.

- Jeszcze po jednym?

Dawali smętny kawałek o gościu, który całuje dłoń ukochanej, chociaż wolałby wpiąć się w jej usta. Nie on jeden. Cyrano rozkleił się.

- Co to jest, powiedz mi? - pyta.

Wyciągnął z szuflady obły, porcelanowy przedmiot. Wziąłem do ręki, oglądam. Ni czorta.

- Sztuczna biżuteria? - strzelam w ciemno. - Wisior od żyrandola? Element wahadła w rokokowym zegarze?

- Rączka od spłuczki w WC. Myślisz, Al, że po nas zostanie dużo więcej? Bo ja przestałem się ludzić.

Nie nadaję się na niańkę. Sam mam na głowie dosyć kłopotów.

- W college'u uczył mnie jeden szczywany gość. Straszny ochlapus. Wykładał nauki polityczne. Im więcej wypił, tym składniej szła mu gadka. Każdego roku w Boże Narodzenie wysyłał do urzędującego prezydenta kartkę z życzeniami. Kończył je cytatem z listu Saint-Simona do syna: „Dopóki jest ministrem, noś za nim choćby nocnik. Gdy straci posadę, wylej mu zawartość nocnika na głowę”.

Uśmiechnął się blado.

- Pal diabli historię, Al. Pod takim batem czy innym, jeść zawsze trzeba.

Nałożył na garnitur biały kucharski fartuch i zabiera się do szykowania kolacji.

- Flaczki dekadencjonalne - zapowiedział. - Niech cię nazwa nie zmyli. Receptura ma blisko dwieście lat.

Było już grubo po jedenastej, kiedy ściągnęliśmy do hotelu. Dederko trąc zaspane oczy, z porozumiewawczą miną wręczył mi karteczkę.

- Od kobiety. Uparta. Dzwoniła ze cztery razy.

Wyglądało na to, że źle oceniłem właścicielkę Puni arystokratki. Najwyraźniej nie zamierzała poprzestać na słownych podziękowaniach.

Koniak Cyrana dodawał mi animuszu. Zanim zdążyłem dwa razy pomyśleć,

wyeksponowałem Bruce'a do jego pokoju i nie zważając na późną porę, wybrałem numer zapisany na karteczce. Nikt nie odbierał. Z każdą chwilą przytomniałem i po ósmym sygnale odłożyłem słuchawkę z uczuciem ulgi. Oszczędziła mi blamażu. Uczciwa kobieta nie konwersuje po nocach z bełkotliwym gościem, którego widziała raz w życiu.

21.

W piątek od rana namawiałem Bruce'a, żeby ubrał się na sportowo. Uparł się na wyjściowy garnitur i krawat. Ustąpiłem. Bruce w życiu kieruje się własnym azymutem i każde publiczne wystąpienie traktuje jak filmowy casting.

Wystartowaliśmy o dziewiątej. Dederko czatował przy windzie. Do taksówki odprowadzał nas z nieszczęśliwą miną. Pokój Bruce'a, jęczał, nie spełnia standardów. Bruce był innego zdania. Solidne ściany i wysoki sufit w zupełności mu wystarczą.

Termometry w Warszawie wskazywały dziesięć stopni. W powietrzu pachniało nieplanowym deszczem. Przed Pałacem Kultury i Nauki rozpoczęto wznoszenie trybuny honorowej. Wystawy sklepowe przesłaniała krwista czerwień plakatów i flagi. Pół drogi zajęło mi wyjaśnianie Bruce'owi, że czerwony nie jest barwą narodową Polski Ludowej.

W portierni Domu Partii czekał na nas Bezkostny z przepustkami. Tym razem oszczędził mi krążenia w kółko. Śmignęliśmy windą na pierwsze piętro, następnie wyludnionym korytarzem do znajomych drzwi. Pod pokojem każe czekać. Zza zamkniętych drzwi dobiegają wrzaski Towy. Stoimy cierpliwie. Wreszcie ucichło. Bezkostny odczekał jeszcze chwilę i wpuścił nas do środka. Rozpoznałem stół z zielonym suknem. Nad biurkiem Towy jak poroża jeleni nad kominkiem wisiały portrety Iljicza i Nikity.

Cyrano pomachał do nas z fotela. Garota podlewał poźółkłe paprotki wodą z butelki. Halloween stał przy biurku, wyjmował z tekturowej teczki papiery i podsuwał Pierwszemu. Ten znowu podniósł głos.

- Towarzyszu ministrze - strofował szaraka w zbyt dużym garniturze - wy mi statystyką oczu nie mydłcie! O, w sprawozdaniu piszecie, że handel otrzymał do sprzedaży detalicznej w pierwszym kwartale więcej towarów niż w tym samym okresie roku ubiegłego.

Minister zerknął do kartki.

- W liczbach konkretnych dostawy mąki pszennej wzrosły o 23 procent, pieczywa o 12 procent, makaronów różnych rodzajów i gatunków o 15,7 procent, cukru o 8 procent. A podaż margaryny skoczyła aż o 25,8 procenta!

- Tylko że ja, towarzyszu ministrze, patrzę na gospodarkę kompleksowo. I pytam was, jak te wasze dane rzutują na obraz całości?

Halloween podał mu wycinek z gazety. Towa wykrzyczał, gestykulując wolną ręką:

- „Jesienią ubiegłego roku ruszyła w Milanówku produkcja zębów metakrylanowych na aparaturze austriackiej. Zęby z tworzyw sztucznych wytwarzane są w czterdziestu fasonach i ośmiu odcieniach”. - Wcisnął kikut papierosa do lufki, przypalił zapalką. - Rozumiecie? To się nie ma prawa zbilansować. Taką rozrzutnością na odcinku zębów psujecie całkiem niezłą statystykę krajowej produkcji. Na co komu aż osiem odcieni? Czterdzieści fasonów, towarzyszu ministrze? Wstyd!

Po postawie ministra od handlu widzę, że wziął sobie krytykę do serca. Zbliżało się pierwszomajowe święto, więc w ramach przedsięwziętych zobowiązań minister i pierwszy sekretarz zredukowali zęby z Milanówka do dwunastu fasonów i czterech odcieni kolorystycznych.

Towarzysz Wiesław w naszej obecności grzebie w planie pięcioletnim, a Bruce gapi się na tandem Nikita - Iljicz jak na Myszkę Miki. Szczęście w nieszczęściu, że nie zabrał aparatu fotograficznego. Ledwo Towa uwolnił ministra, ruszam do biurka, pociągając Bruce'a za sobą.

- Bruce Lee, mój amerykański asystent.

Towa poprawił okulary.

- Hm? To Chińczycy wciąż jeszcze budują u was kolej żelazną?

- Teraz robią w pralniach - włączył się Halloween-Pipkow.

- Wiesz, czemu Chinole mają złotą skórę? - zagadał Garota do Bezkostnego. - Bo zamiast wody piją własne siuski.

Bruce ma ten nieprzyjemny nawyk, że łatwo się obraża. Długo się nie namyślając, frazie Garoty nadałem w tłumaczeniu bezpieczniejsze brzmienie:

- Witają cię z tradycyjną polską gościnnością.

Bruce obnaża w uśmiechu ładnie rozwinięte siekacze. Tymi siekaczami trzy miesiące wcześniej wgrzyzał się w łydkę Hung Woka. Mówiąc w dużym skrócie, zawiniła gerontologia. Rada Starych Pierników w Chinatown piekliła się, że Bruce ze swoją szkołą walki wchodzi im w paradę. Nikt jeszcze nie wynalazł pigułek na zwietrzałe mózgi. Areopag Starych Pierników wynajął siepacza Hung Woka, żeby wybił Bruce'owi pomysł z głowy. A Bruce jak to Bruce. Hung Wok stracił dwa centymetry lewej łydki i ochotę do wykonywania zawodu.

- Szczerzy zęby i udaje, że nie kuma - wkurzył się Garota.

- Zna tylko chiński i angielski - próbowałem towarzysza Samojedę spacyfikować.

- Do prania cudzych gaci wystarczy.

- Samojed! - Pierwszy pogroził Garocie.

Uznałem, że lepsza okazja mi się nie trafi. Mówię:

- Bruce ma pierwszorządne dossier. Jest wszechstronnie utalentowany. Zagrał w filmie jako ośmiolatek. Pisze, rysuje i jest mistrzem kung-fu.

Towa starannie przedmuchał lufkę - A to kung-fu to niby co?

- Chińskie dzudo, towarzyszu pierwszy sekretarzu - wyrwał się Garota.

- A, ciekawe.

- Cienizna, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

- Całkiem efektowne widowisko - wchodzi Garocie w słowo. - Taki chiński sport dla mas.

- Dobrze - podchwycił towarzysz Wiesław. - My też popieramy usportowienie narodu.

Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Bruce może dać pokaz - zaproponowałem. Pokaz czego - zainteresował się towarzysz Wiesław. Kung-fu. Cienizna - skrzywił się Garota. Bruce nie dał się dwa razy prosić. Zna kilka sztuczek, każdy laik się nabierze. Wyskok, obrót w powietrzu, kopnięcie okrężne. Rajcują go numery pod publiczność. Te wszystkie miny i stęknięcia, szpony orła, tygrys drapiący pazurami i podobne bzdety. Teatr dla ciemniaków - śmieje się Bruce. - W realnej walce walisz w najbliższy nieosłonięty punkt.

Poszło mu nie najgorzej. Towarzyszom się podobało. Nawet Halloween oderwał się od gazety.

Tylko Garota kręci nosem.

- Co to było - smęci - *Jezioro łabędzie*?

- Dobry jest.

- Chłoptaş z baletu.

- Najlepszy w San Francisco i okolicach.

- Lala.

- Okej - mówię - chlapać jęzorem każdy potrafi.

- Samojed to kozak - Halloween na to. - Samojed, pokaż im.

- Nie moja waga - kryguje się Garota. - Trączę palcem, to się rozsypie.

- Bruce jest jak iskra - podpuszczam. - Trudno go trafić.

- Samojed go trafi.

- Pipkow - zaniepokoił się Towa - nie spóźnię się na spotkanie z aktywem robotniczym „Drucianki”?

- Za kwadrans ruszamy, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

- Minuta i będzie po wszystkim - zapewnił Garota.

Zdjął marynarkę, koszulę i został w ażurowym podkoszulku. Łapska miał grube, ale mięśnie otłuszczone. Wykonał dla rozgrzewki parę młynków.

Bruce nawet nie poluzował krawata.

- Daj mu fory - podpowiadam.

Bruce niby mnie słucha, ale zerka na Cyrana. Teatr jednego widza, powinienem być się spodziewać.

Garota przeleciał przez pół pokoju i rąbnął plecami o konferencyjny stół pokryty zielonym suknem.

- A to skurwiel! - gramoli się na nogi. - Kastetem? Kastetem walisz?

Pokazówka Bruce'a. Stojąc metr od gościa, energicznym ruchem nadgarstka zasadza cios w splot słoneczny. Żadna podpucha. Wykonywał ten numer kilka razy w obecności czterdziestu tysięcy widzów w hali sportowej. Telewizja pokazywała materiał w powtórkach w zwolnionym tempie.

- Siła wewnętrzna - wyjaśniam. - Raptowne wyzwolenie skoncentrowanej energii nakierowanej na jeden punkt. - Zerkam znacząco na premiera. - Technika żelaznej ręki.

Garota splunął.

- Srali muchy, będzie wiosna! - Źle patrzyło mu z oczu.

- Samojed! - huknął Cyrano.

Garocie faktycznie puściły nerwy. Spocił się, podkoszulka, przez której ażurowy splot prześwitywało różowe ciało, wylazła mu ze spodni. Wyglądał nieporadnie, kiedy wrzeszczał i machał łapami jak chłop cepem. A Bruce? Krok w tył po skosie, przechwytyjące kopnięcie w kolano wysuniętej nogi i mocny podbródkowy.

- Jezu! - Garota jęczy, rozplaszczony na podłodze.

Towa dźwignął się zza biurka.

- Pipkow, dzwoń po samochód.

Dochodziła jedenasta. Prąd ostrego powietrza ze wschodu zwiastował niekorzystną zmianę pogody. Wiesław dopiął marynarkę i służbową czajką udał się na pierwszomajowy mityng z robotnikami „Drucianki”. Garota zamknął się w łazience, musiał doprowadzić się do porządku. Premier pojechał z Bruce'em na Aleję Róż. Nikt nie był na tyle domyślny, by zaprosić mnie na lunch.

Najbliżej miałem do baru Praha. Zdobyłem się na odwagę i wszedłem. Garkuchnia wielkości hali fabrycznej jest, o czym przewodniki nie piszą, polskim odpowiednikiem

McDonalda, tyle że zamiast hamburgerów serwuje się tu kotlet pożarski.

Garmażeryjno-obiadowa oferta baru wpisywała się w międzynarodowy charakter nadciągającego święta. Z braku lepszego zajęcia, stojąc w kolejce, przestudiowałem pozycje jadłospisu: ozorek po grecku, karp po żydowsku, befszytk tatarski z jajkiem, barszcz ukraiński, fasolka po bretońsku. Zjadłem rumsztyk z cebulką i buraczkami, po czym o pełnym żołądku postanowiłem nadrobić zaległości w wypełnianiu towarzyskich zobowiązań.

Tym razem nie czekałem długo. Zaledwie po drugim sygnale podniesiono słuchawkę i odezwał się znajomy głos. Przedstawiłem się.

- Alek? Jakże się cieszę! Myślałam, że się nie odezwiesz.

Usprawiedliwiłem się nawąłem dziennikarskich obowiązków. Entuzjazm w jej głosie mile łechtał męską próżność. Gryzło ją sumienie, że potraktowała mnie zbyt obcesowo i nawet nie zaprosiła na kawę. Zamierzała to nadrobić. Oczywiście, jeżeli nie mam nic przeciwko temu.

Nie miałem. W imieniu własnym i Puni zaprosiła mnie na niedzielę na trzynastą. Zapisałem adres.

Humor mi się poprawił. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczułem, że fortuna trzyma moją stronę. Bliźniaczego uczucia doznałem przed dziesięciu laty, kiedy w nowojorskim Central Park znalazłem trzysta dwadzieścia dolarów w używanych banknotach.

Skoro szczęście mi sprzyja, myślałem, wychodząc z budki telefonicznej, dobrze zrobię, wystawiając je na kolejną próbę.

Tak więc wbrew awersji do Kerouaca postanowiłem pójść za radą grafomana i kuć żelazo póki gorące.

22.

Jak cię swędzi, to się podrap. Julianne-Anne wybrała się kiedyś na wieczór autorski Kerouaca i wielki Kerouac wygłosił odczyt na mniej więcej podobny temat. Godzinny monolog o potrzebie nieskrępowanego działania, o tym, jak ważna jest wierność przekonaniom. Zachowaj nieskalane wnętrze, grzmiał wieszcz motocyklistów i wielokrotnych dziewic. Mów swoim głosem. Jak cię zaswędzi, to się podrap, nie zważaj na towarzystwo, choćby swędziało cię w dupie. Nie pozwól, żeby system cię zniszczył.

„System” to słowo-wytrych, którego Kerouac i jemu podobni notorycznie nadużywają. Jeśli Kerouaca coś niszczy, to wódka. Każdemu trafia się muza, na jaką zasłużył.

Tak czy inaczej poszedłem za głosem impulsu. Nie tracąc czasu, udałem się do lecznicy doktora Utanga.

Łatki w okolicy nie wypatrzyłem. Dobry znak, uradowałem się, uciszając sumienie. Niedonosek wpuścił mnie niechętnie. W pustym korytarzu Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych pachniało smażonymi kotletami i mlekiem. Zapukałem do dyrektorskiego gabinetu.

Utang siedział w kucki na biurku i podjadał banany. Na podłodze walały się wyschnięte skórki. Na mój widok dał susa z biurka i objął mnie owłosionymi ramionami wystającymi z rękawków koszulki polo. Dobra nasza, myślę i odwzajemniam uścisk. Niedonosek nie zbiera się do odejścia. Rozmyślam, jak by się gada pozbyć, a Utang zaczyna mi przeglądać kieszenie. Nie spodobało się, że puste. Pchnął mnie na krzesło i pokazał plecy.

Niedonoskowi w to graj. Cap mnie za kołnierz i prowadzi na korytarz. Cham, ale siły ma za trzech. Ustępuję.

Skoro tak, myślę bez entuzjazmu, pozostał mi tylko Kafka. Świadomy, na co się narażam, pakuję się do autobusu i telepię do centrum. Na Nowym Świecie obszedłem wszystkie księgarnie i antykwiariaty od placu Trzech Krzyży po Krakowskie Przedmieście. Książki w zasadzie są, niektóre tytuły występują w nadmiarze - Kafki nie uświadczysz. Syndrom Tyrmanda.

Zrezygnowany snułem się chodnikiem, kiedy dostrzegłem Łatkę. Chciałem udać, że nie widzę. Jeden kłopot wystarczy. Ale Łatka wypatrzył mnie i zabiega drogę.

- Dobrodzieju kochany! - drze się na całą ulicę.

Przypada mi do ręki, przymierza się do całowania. Delikatnie, żeby wariata nie obrazić, uwalniam się.

- Dobre wieści, panie prokuratorze - trajkoce Łatka. - Wykręciłem się doktoratem.

Gratuluję, o szczegóły nie pytam. Próbuję odejść pod pretekstem pilnej sprawy. Jaka sprawa? Zwierzam się ogólnikowo z kłopotu. Łatka ciągnie mnie za rękaw do najbliższej księgarni, z której dopiero co wyszedłem. Każe czekać, sam znika w sklepie. Nie minęły dwie minuty, jak staje obok mnie i podtyka mi książkę pod oczy.

- Dranie - cedzę przez zęby - łgali, że dawno wyprzedana.

- Wykonuję prestiżowy zawód - mówi Łatka - więc i poważanie mam większe. Ale z tym teraz koniec. Przewód otwieram.

Słucham jednym uchem, nie przestając kartkować tomu opowiadań Kafki. Zaglądam do spisu treści. Jest *Sprawozdanie dla Akademii!* Próbuję płacić. Łatka powstrzymuje mnie stanowczo.

- Proszę przyjąć w dowód wdzięczności. Ma pan doktor pięć minut? Przejdźmy się, po drodze zdam pełną relację.

Ściskam pod pachą cudem zdobytego Kafkę, za sprawą tegoż podarku jestem dłużnikiem Łatki, więc chcąc nie chcąc wlokę się u jego boku Nowym Światem. I tak dochodzimy do Krakowskiego Przedmieścia.

- W sprawie wspomnianego przewodu - relacjonuje urzędnik z Mysiej. - Zdarzyło się otóż, że kiedy jadłem wczoraj kolację, dla odpędzenia myśli o owej fatalnej czerwonce skupiając się całą siłą woli na aktualnej czynności, a więc jedzenie, trawienie i podobne funkcje organiczne obierając za temat rozważań, przypomniałem sobie fortunnie temat własnej pracy magisterskiej: „Zachowanie ludzkie z punktu widzenia organicznego”. Frapujące, nieprawdaż?

Kiwnąłem głową. Spoglądam jednoznacznie na zegarek.

- Sformułowałeś na kanwie uwagi Mircei Eliade przewodnią myśl - osacza mnie Łatka - że reakcje ludzkie da się generalnie zaklasyfikować z punktu widzenia organicznego, wykazałem na przykładach, że jedni ludzie postępują w życiu na podobieństwo żołądków, inni na podobieństwo wątroby, inni na podobieństwo mózgu, inni wreszcie na podobieństwo organów płciowych. Są oczywiście wyjątki bądź podtypy: ludzie-nosy, ludzie-podbródki itp. Indywidualizując, można na przykład wyodrębnić podtyp: urzędnik-ślepa kiszka.

Uznałem, że najwyższy czas się zegnać. Łatka ściska mi rękę, mówić jednak nie przestaje:

- Więc jeszcze tego wieczoru chwytam za telefon, dzwonię tu i tam. A jakże, mówią, przychodź. Człowiek o tak rozległej wiedzy... I tak dalej. - Patrzy mi przy tym w oczy, spojrzenie ma trzeźwe. Obwieszcza triumfalnie: - Jest zgoda, panie prokuratorze, otwieram przewód doktorski! Tradycje plemienne Pigmejów z lasów tropikalnych, obyczaje inicjacyjne w regionie Thonga - gdzie znajdę bezpieczniejszy azyl?

Zostawia mnie pod pomnikiem Kopernika i długimi susami wbiega do siedziby Polskiej Akademii Nauk w Pałacu Staszica, który w Polsce Ludowej z rąk magnatów przeszedł na własność narodu.

Bez zwłoki ewakuowałem się na drugą stronę ulicy. Zatrzymałem się dopiero przy plakacie w szybie wystawowej delikatesów na Nowym Świecie. Roześmiany nedorostek w przecinającym białą koszulę czerwonym krawacie i jego plakatowa towarzyszka wzrok kierowali ku górze, jakby nie mogli oderwać oczu od pożółkłej kartki, podwójnie ostemplowanej pieczęciami WSS Społem Warszawa Śródmieście. Pomiedzy stemplami czernił się kulfoniasty anons, że przedświąteczny poniedziałek wyjątkowo nie będzie dniem

beźmięsnym. Zapatrzyłem się na plakat i przeczytałem:

WARSZAWIACY! SPOTKAJMY SIĘ NA 1-MAJOWEJ MANIFESTACJI, BY PRZEKAZAĆ LUDZIOM PRACY CAŁEGO ŚWIATA NASZE ŻYCZENIA SUKCESÓW I ZWYCIĘSTW. SPOTKAJMY SIĘ NA MANIFESTACJI, ABY POWIEDZIEĆ ŚWIATU O WOLI UTRZYMANIA POKOJU, O NASZYM ŻĄDANIU POWSZECHNEGO ROZBROJENIA I ZAPRZESTANIA PRÓB TERMOJĄDROWYCH. WYRAZIMY SWÓJ GNIEW I OBURZENIE PRZECIWKO IMPERIALISTOM PROWADZĄCYM NIEBEZPIECZNY WYŚCIG ZBROJEŃ I ZAPROTESTUJEMY PRZECIWKO WYPOSAŻENIU ZACHODNIONIEMIECKICH ODWETOWCÓW W BRONŃ RAKIETOWO-NUKLEARNĄ NIECH ROŚNIE I PIĘKNIEJE STOLICA - SOCJALISTYCZNA WARSZAWA! NIECH JAŚNIEJE NASZ DOM - LUDOWA POLSKA! NIECH ŻYJE POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA! NIECH UMACNIA SIĘ I ROZWIJA FRONT JEDNOŚCI NARODU! BRATNI UŚCISK I POZDROWIENIA DLA PROLETARIUSZY ŚWIATA!

Mocą skojarzeń pomyślałem o sile bratniego uścisku doktora Utanga i przypomniałem sobie doktora Kafkę oraz związane z nim nadzieje. Odwróciłem się energicznie i ruszyłem chodnikiem.

W tej samej chwili zderzyłem się z przechodniem zmierzającym z naprzeciwka. Krótko ostrzyżony, postura szachisty, wiek dwadzieścia kilka lat, twarz niewzbudzająca sympatii.

Uśmiecham się przepraszańco. Tamten, pocierając ręką bark, też sili się na uśmiech. I nie przestając się uśmiechać, mówi na odchodnym tonem, jakby składał mi życzenia urodzinowe:

- *Eat shit!*

Nie przesłyszałem się. Amerykański z ledwo wyczuwalnym akcentem Południowca, zabarwiony domieszką nowojorskich slumsów i latami zbiorowego żywienia w fast foodach. Zanim zdążyłem się odezwać, zanim choćby w myślach posłałem gównojada do wszystkich diabłów, Mr. Eat Shit wskoczył do autobusu linii 116 i tyle go widziałem.

Do hotelu wróciłem pieszo. Musiałem parę rzeczy przemyśleć. Zmagałem się z nieprzyjemnym naporem intuicji, tym szóstym zmysłem, który wyczulił się na zbrodnię i słowo drukowane. Instynkt mi podpowiadał, że Amerykanin z Nowego Świata tkwi po uszy w zbrodni jak Julienne-Anne w literaturze.

Bruce wrócił do hotelu grubo po dwudziestej drugiej. Usta mu się nie zamykały. Sifu Cyrano to, sifu Cyrano tamto. Talent, talent i jeszcze raz talent! Pozwoliłem się Bruce'owi wygadać. Zanim zamknął się w swoim pokoju, wypatrzył na nocnym stoliku książkę. Zrobił wielkie oczy.

- Aż tak źle z tobą?

Kartkując niby od niechcenia tom opowiadań Kafki, próbowałem incydent z książką zbagatelizować. Wymyśliłem bajeczkę o prezencie dla amerykańskiego polonusa. Słowa nie pisałem o podejrzeniach, jakie powziąłem podczas odwiedzin w ośrodku doktora Utanga. Kiedy za Bruce'em zamknęły się drzwi, kolejny raz zagłębiłem się w lekturę *Sprawozdania dla Akademii*, by opracować najlepszą linię postępowania. Chociaż wciąż się łudziłem, że moje podejrzenia co do lokatorki piwnic wariatkowa okażą się owocem przewrażliwionej wyobraźni.

25.

- Jezu! - jęknął ambasador Cabot do słuchawki. Oderwałem go od sobotniej partyjki tenisa. - Otwiera pan sklep?

Ratowałem się historyjką o diecie odchudzającej małżonki premiera. Uwierzył czy nie, zgodził się i tym razem pomóc.

Na Bruce'a nie miałem co liczyć. Od wczesnych godzin rannych uczył Cyrana technik żelaznej ręki. Zafundował premierowi przyspieszony kurs. Ćwiczenia oddechowe, gromadzenie i wyzwalamie energii chi, sztuka napinania mięśni, relaksacja, ciosy. Bruce pierwszy raz miał ucznia w podeszłym wieku. Z drugiej strony żaden z dotychczasowych adeptów nie wykazywał się równie silną motywacją. Obaj byliśmy dobrej myśli.

- Warunki fizyczne nienajgorsze - ekscytował się Bruce.

- Silne poczucie własnej wartości wsparte pragnieniem samorealizacji. No i talent! Sifu Cyrano jakby się do tego urodził.

W drodze do ambasady odwiedziłem delikatesy w Alejach Jerozolimskich. Po namyśle zdecydowałem się na gruziński koniak. Złoty środek wobec konieczności wyboru między Wschodem a Zachodem. Alkohol z krajów demokracji ludowej, uznałem, zapewni miękkie lądowanie.

Cabot ogołocił chyba wszystkie półki sklepu w ambasadzie. Czekają na mnie dwa spore kartony mandarynek i pomarańcz. Zaoferował mi transport biurowym samochodem,

więc po niespełna półgodzinie wylądowałem z prezentem w dyrektorskim gabinecie. Utang przyjął mnie życzliwie, kazał siadać. Łapczywie konsumował mandarynkę za mandarynką, przyglądając mi się z sympatią zza rosnącej sterty skórek. Niedonoszek przeszkadzał. Co jakiś czas uchylał drzwi i wsadzał głowę. Odczekawszy, aż pokaże się ponownie, chwyciłem dwie upatrzone wcześniej dorodne pomarańcze i wcisnąłem natrętowi w ręce. Nim zdążył zareagować, Utang posłał w jego stronę jedno z grubych tomiszczy, które zagracają półkę nad biurkiem. Schyliłem się przytomnie. Pocisk z napisem „Kapitał” śmignął mi nad głową i trafił Niedonoska w podbródek.

Zamknąłem za natrętami drzwi i na powrót zapadłem się w wysiedzianym fotelu.

Utang konsumuje i mlaska, ja *ad hoc* układam plan działania. Zapuszczam badawcze spojrzenie w głąb brązowych nieruchomych źrenic, gdzie daremnie bym szukał własnego odbicia, więc jasne się staje, że muszę zmierzać do celu najkrótszą drogą. Z kieszeni marynarki wyciągam butelkę gruzińskiego, z drugiej dobywam tom opowiadań Kafki. Koniak na biurko, Kafkę otwieram w zaznaczonym miejscu i - z ciężkim sercem, na przekór własnym przekonaniom - zapuszczam się w literaturę.

Na początek, w prostych słowach, podaję zarys historii. Pif-paf!, wydarłem się, wyimaginowaną strzelbę przykładam do ramienia. Chcę pokazać, skąd wzięła się czerwona blizna na policzku Kafkowej małpy, a zarazem jak powstał przydomek Czerwony Piotruś, który od feralnego dnia miał przylgnąć do ofiary łowieckiej ekspedycji firmy Hagenbeck. Czerwony Piotruś, powtarzam i palcem mierzę w doktora Utanga. Ofiara cyrkowej tresury, powtarzam dwukrotnie, ofiara ludzkiego jarzma, podkreślam.

Dyrektor Utang mruczy, buduje z cytrusowych skórek piramidę, niby bawi się obraną mandarynką, ale ślepiami łypie. Słucha. Do opowiadania doktora Kafki wprowadzam niezbędne poprawki: Złote Wybrzeże zamieniam na Borneo, „szympansa” zastępuję „orangutanem”, pominię zdanie albo dwa, czasem przeskoczę zbędny akapit. Czytam: „Czynicie mi zaszczyt, panowie, wzywając mnie, abym dostarczył Akademii sprawozdania z mej małpiej przeszłości. Nie podołałbym temu, gdybym uparcie trzymał się mego pochodzenia i wspomnień młodości. Pierwszym nakazem, jaki sobie postawiłem, było właśnie zaniechanie wszelkiego uporczywania; ja, wolna małpa, poddałem się temu jarzmu”.

Otworzyłem butelkę gruzińskiego koniaku, z błogą miną wącham. Stawiam butelkę na biurku. Niech kusi. Tymczasem Kafką dolewam oliwy do ognia: „Miałem dotychczas tyle wyjść, a teraz ani jednego. Byłem złapany. Nie miałem wyjścia, ale musiałem je sobie stworzyć, gdyż nie mogłem bez niego żyć. Pozostając ciągle przy tej ścianie, na pewno bym zdechł. Ale u Hagenbecka trzyma się przy ścianie małpy - a więc dobrze, przestanę być

małpą”.

Teraz dopiero czekała mnie przeprawa. Przechyliłem butelkę i językiem korkuję szyjkę, udaję, że piję. A zza dyrektorskiego biurka Utang śledzi wzrokiem mnie i gruziński koniak. „Tak łatwo było naśladować ludzi - podejmuję w ślad za Kafką. - Pluć umiałem już od pierwszych dni. Pluliśmy sobie tedy wzajemnie w twarz; cała różnica polegała na tym, że ja się potem obcierałem, a oni nie. Najwięcej kłopotu sprawiała mi flaszka wódki. Zapach jej dręczył mnie; zadawałem sobie ogromny gwałt, lecz upłynęły tygodnie, zanim mogłem się opanować. Ale potem, cóż za zwyczajstwo, tego wieczora, kiedy nikt nie zwracał na mnie uwagi, chwyciłem flaszkę wódki zostawioną przez nieuwagę przed moją klatką, podniosłem do ust i bez wahania, bez skrzywienia, jak zawodowy pijak, opróżniłem ją rzeczywiście do dna. Ponieważ zmysły moje były pijane, wykrzyknąłem ludzkim głosem: «Halo!» - i tym okrzykiem dostałem się jednym skokiem w społeczność ludzi”.

Utang nie przestaje śledzić mnie wzrokiem, kiedy w końcu zamykam książkę i chowam do kieszeni.

- Czerwony Piotruś - odzywam się uroczyście. Dla poparcia tych słów celuję palcem w szeroką pierś Utanga, drugą ręką podaję butelkę gruzińskiego.

Powąchał. Splunął na podłogę i z hukiem postawił flaszkę na biurku. Zakręciłem ją, odstawiłem na środek mebla.

Utang długo ścisnął moją wyciągniętą dłoń, zanim klapnął na fotel. Kiedy wychodziłem, gapił się na gruziński koniak, a minę miał przy tym taką, jak ja przy lekturze *Ulissesa* Joyce’a.

24.

Wracałem przeładowanym autobusem. Trumna na kółkach, okna szczelnie pozamykane. Większość pasażerów manifestowała wiarę w szkodliwość zbyt częstych kąpieli, wędziłem się więc w mieszance tytoniowych wydechów i zapachu z rzadka moczonych w wodzie ciał. Przed oczami tańczyły mi czarne mroczki. W takim stanie umysłu dopadły mnie myśli o Kennedym i Marilyn. Myślałem o Chucku, Jezusie, barze Flis i Franciszku Józefie. Stawiałem sobie dziesiątki pytań o sprawy ostateczne i o cały ten stek bzdur zwany porządkiem świata. Szybko bym się od tych myśli uwolnił, gdyby komuś przyszło do głowy otworzyć okno.

Duszę się więc w plebejskim ścisisku i cholera mnie bierze na sforę uniwersyteckich

darmozjadów, którzy pluja na ojczystą Amerykę, bo niby nie jest demokracją. Niechby się któryś przejechał warszawskim autobusem w godzinach szczytu! Jeżeli mam do Ameryki pretensje, to innego rodzaju. Co to za wzorcowa demokracja, jeżeli za pochówek każą wybulić tysiąc pięćset dolarów. Zastanów się dwa razy, zanim zdecydujesz się wyciągnąć nogi. Narażasz najbliższych na wydatek rządu pięciomiesięcznego dochodu statystycznej amerykańskiej rodziny. A za głowę Valachiego, który zanim zaczął sypać kumpli, przez trzydzieści lat zabijał dla Cosa Nostra i nieźle się na tym obłowił, mafia płaci sto tysięcy dolarów.

- Czytałem - zarządził mi ktoś nad uchem - że w Ameryce od przyszłego roku wszystkie nowe samochody muszą mieć pasy bezpieczeństwa. Tam to dbają o bezpieczeństwo!

- Pieprzenie w bambus - słyszę za sobą równie zmęczony męski głos. - Wozy mają do dupy! Jakby nie robili szajsu, to po cholere by im były te pasy?

Na przydechu dotrwałem do najbliższego przystanku i wysiadłem. Oddycham pełną piersią, rozglądam się. Poznaje plac Trzech Krzyży i doświadczam literackiego *déjà vu*. Jest pełnia wiosny, a ja oczami Tyrmanda widzę długi rząd skulonych postaci drepcących zimą w błotnistej papce trotuaru, czekających na autobus linii 113. Tu się przecież zaczęła, przypominam sobie, historia prezesa Merynosa, Edwina Kolanko, doktora Halskiego, Marty Majewskiej, porucznika Dziarskiego; to tutaj pałętali się obywatel Kudłaty i Eugeniusz Śmigło, boksera Kruszyny nie wspominając. Skoro dzisiaj tu licho mnie przyniosło, muszę pójść za ciosem.

I wzorem powieściowej Marty Majewskiej, sekretarki w dyrekcji Muzeum Narodowego, szybkim krokiem, przechodzącym niemal w bieg, ruszyłem w stronę ulicy Wiejskiej.

Mijałem szereg budynków: Dom Mody Ewa, sklepy, redakcje periodyków, wydawnictwo „Czytelnik”. Wreszcie pchnąłem drzwi kawiarni. Zatrzymało mnie spojrzenie szatniarza. Przybrawszy minę stałego bywalca, zagrałem *va banque*:

- Jest Tyrmand?

Strefił. Wciąż się wahał, przez zęby wycedził:

- Nie widziałem, żeby wychodził.

Kierując się zapachem kiepskiej kawy, ruszyłem schodami w dół. Owionęło mnie powietrze przesycone nikotyną i żalobą po chybionych twórczych pomysłach. Wszystkie stoliki na niewielkiej salce były zajęte. Królował cienki schabowy z ziemniaczkami na tle czerwonych buraczków. Statystyczny deser przyjmował postać kawy i napoleonki.

Rozejrzałem się, pozując na tubylca.

Podszedłem do najbliższego stolika.

- Przepraszam - zagadnąłem pierwszego z dwóch konsumujących gości - szukam pana Tyrmanda?

Podniósł znad talerza czujne zaokularzone oczy. Burknął:

- Tam, gdzie zwykle.

- Nie wiem, jak wygląda.

Ożywił się.

- Komornik?

- Dziennikarz.

Drugi parsknął śmiechem. Miał marynarkę w drobną kratkę, włosy strzyżone na jeża i połowę górnych zębów do wymiany.

- Dziennikarz? Facjatę Tyrmanda znają nawet woźne we wszystkich redakcjach od Katowic po Kóluski.

- Przyjechałem z Ameryki.

- W sam raz jego poziom. Balzak dla ubogich. Może machnie wam jakąś hollywoodzką szmirę.

Okularnik okazał się mniej wyszczekany. Rękę z widelcem wycelował w filar.

- Narożny stolik pod ścianą.

- Polecam pastę Crest - rzuciłem na odchodnym. - Wzmacnia szkliwo zębów i chroni przed próchnicą.

Zajrzałem za filar i podszedłem do narożnego stolika. Ciemne włosy bez śladu siwizny. Pochylał się nad gazetą otwartą na sportowej stronie, czytając pił małymi łydkami kawę. Chrząknąłem. Nie zareagował.

- Mogę się dosiąść?

Spojrzały na mnie ciemnopiwne oczy za szklami okularów. Bez entuzjazmu pokazał głową wolne krzesło.

- Al Niczyj - przedstawiłem się, nie siadając. - Specjalnie nadłożyłem drogi, żeby pana poznać.

Zamknął gazetę. Popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek. Wyglądał na mężczyznę, który przykłada wagę do zawartości szafy z ubraniami. Nosił brązową marynarkę z flauszu, beżowe spodnie z porządnej cienkiej wełny, jasnooliwkową koszulę przecinał ekstrawagancko kolorowy krawat. Poczujęm się nieswojo w przykrótkiej marynarce, na której kalifornijskie słońce odcisnęło zrudziałe plamy.

- Czym mogę służyć? - spytał oschle.

- Paczką wczasowych i przyjaźnią - zacytowałem mój ulubiony fragment.

Skrzywił się. Dodałem szybko:

- Scena, w której kioskarz Kalodont pierwszy raz spotyka Złego.

Zmuszając się do uśmiechu, wyjął długopis.

- Gdzie podpisać?

- Książki, niestety, nie mam. Za to niektóre fragmenty znam na pamięć. Można?

„Kiedy i skąd wpada pomiędzy sześć postaci grom, tego nie wie nigdy żadna z sześciu zainteresowanych osób. Poza tym grom nie jest czymś miękkim, zaś to, co znalazło się naraz na skostniałej glinie pomiędzy sześciu silnymi, zwinnymi i gotowymi na wszystko ludźmi, było na tyle miękkie, by nie sprawiać żadnego hałasu, zaś na tyle granitowo twarde, by uczynić rzecz niebywałą - ściąć pięć spośród sześciu postaci z nóg. Szósta w tej samej sekundzie rzucona została potężnym ciosem w brzuch na usypisko zlodowaciałej gliny”.

- Z cenzorami rozmawiam tylko w urzędzie.

Dopił kawę i schował gazetę do kieszeni marynarki. Przymierzał się do odejścia.

- Zaraz, zaraz - powstrzymałem go. - Cenzor?

- Któż inny zapamiętuje całe partie książek?

- Pomyłka. Zawodowo zajmuję się pisaniem. Jestem amerykańskim dziennikarzem.

- Amerykanin?

- Z Oakland.

- Nie z Mławy?

- Pokazać paszport?

- Nie mógłbym się zrewanżować.

- Kiedy mówię prawdę, nikt mi nie wierzy.

- Dobra. Interesuje się pan amerykańskim boksem?

Liczby, daty, statystyka to moja mocna strona.

- Tyle o ile.

- Trzy pytania. W której rundzie Sonny Liston znokautował Howarda Kinga?

- W pierwszej. King wylądował na deskach w pięćdziesiątej trzeciej sekundzie.

- Z kim Cassius Clay stoczy następną zawodową walkę?

- W lipcu walczy w Londynie z Henrym Cooperem.

- Ostatnie. Jakiego polskiego boksera miał Clay za przeciwnika na olimpiadzie w

Rzymie?

Zdębiałem. Nawet nie próbowałem udawać, że się zastanawiam.

- Jezu! - jęknąłem. - Nie mam bladego pojęcia!

- Wierzę.

Zajął z powrotem miejsce.

- Może kawy? Podają tu straszną lurę, za to szarlotka prima sort. Lubisz szarlotkę? Proponuję przejść na „ty”.

Okazało się, że łączy nas dużo więcej niż upodobania deserowe. Leo był sporo niższy ode mnie - fakt, głębię miał sympatyczniejszą, zwłaszcza kiedy się uśmiechał - ale wyjąwszy rzucające się w oczy różnice fizyczne, byliśmy niczym syjamscy bracia. Nie cierpiał lewicujących amerykańskich dupków pasożytujących na uniwersytetach, tych intelektualnych karłów rzekomo biorących się za bary z Samym Życiem, którzy co dwa lata zmieniają samochód, jedzą pięć posiłków dziennie i za friko dupczą studentki. Co nie przeszkadza im psioczyć na macochę Amerykę. Ameryka, głoszą - nierzadko za federalne pieniądze - jest przedsionkiem piekła. Jajogłowe szajbusy! Leo tak jak ja posyłał ich wszystkich z rewolucyjnym pozdrowieniem do kacapskiego diabła. Nasz ulubiony muzyk? Duke Ellington. Ulubiona potrawa? Śledzie w śmietanie do kartofli w mundurkach.

No i był jeszcze Bogey. Twardziel z zasadami pozujący na cynika. Chodząca ucziwość w sfatygowanym borsalino. Gość o sercu z pięćdziesięcioczerokaratowego złota, który wie, do czego służy łóżko, honor i sześciostrzałowy Smith & Wesson. Humphrey Bogart... O mało się nie rozbeczałem! Leo, stary druhu! Też mi się czasem marzy, że jestem Bogartem.

- Trafiłeś do kuźni literatury, Al - obwieścił. Byliśmy już po drugiej szarlotce. Noga w krzykliwie kolorowej skarpetce dyndała mu rytmicznie. - A Tyrmand? - Wycelował kciuk prawej ręki w pierś. - Tyrmand to grafoman. Balzak dla ubogich. Ale dobrze się rozejrzyj. Wokół masz stuprocentowych kowali poezji i prozy. Stukają w klawisze maszyny, cyzelują, oszlifowują słowa. Wydaje im się, że zapisują się złotymi zgłoskami w historii literatury. Akurat! Jakby ćwiekami przybijali podkowy do kopyt pegeerowskich wałachów.

Lubię gości, którzy zmierzają do puenty po linii prostej. Tyle że z taką niewyparzoną głębnią nikt daleko nie zajędzie. Pismaki siedzący najbliżej już strzygli uszami.

- Pisanie to szajs - zadeklarowałem. - Na palcach jednej ręki mogę policzyć prawdziwych pisarzy. Takich, co nie kłamią.

- Słowotłuki, Al. - Potoczył wzrokiem po sali. - Ale jedno trzeba przyznać: papierowych postaci tu nie znajdziesz. Wyraził ci jak krzak gorejący na pustyni. Widzisz tego? Za rymy o Słońcu Ludzkości fasował państwowe nagrody, a ledwo Stalin wykitował, wypiął się na niego pryncypialnie i zaraz drapnął talon na samochód. Tamten przed wojną

bombami domowej roboty nawracał ludzi na komunizm. Za Hitlera nabrał przekonania, że jest Niemcem, teraz zasuwają propagandowe paciorki w niby-katolickim dzienniku, takim, w którym żaden katolik nie chciałby zobaczyć swojego nekrologu.

Poszedł do bufetu. Uparł się, że ureguluje rachunek za nas obu. Nie wiem czemu, ale przypominał mi Chucka.

- Obejrzałeś sobie bufetową? - spytał szeptem po powrocie.

- Niezła.

- Córka największego polskiego pisarza. Z tych żyjących. Kiedyś prawie się z nią ożeniłem. Gorąca miłość i takie tam. W końcu odpuściłem sobie. Z żalem, ale co robić. Wiesz, to tak, jakbym próbował wejść do literatury kuchennymi drzwiami.

Ruszyliśmy do wyjścia. Trącił mnie łokciem.

- Szłochołowski Ludowy - zamruczał mi do ucha, wzrok kierując w lewo.

Obejrzałem się dyskretnie. Pod oknem, w rogu sali, otoczony murem z książek, siedział Kanciasty. Rozczochrany, policzki zapadnięte. Pochylona nad książką głowa wspierała się na lewej ręce, prawą przewracał kartki.

- Tytan intelektu. Zakopał się w literaturze bratnich narodów radzieckich. - Tyrmand zachichotał. - Chyba poluje na Nagrodę Leninowską.

Wyszliśmy na nierówny chodnik. Lewy kraniec ulicy Wiejskiej zajmował ludowy parlament. Jak chyba nigdzie indziej topografia zrównała się z polityką.

- Zabiorę cię na wystawę - postanowił Tyrmand. Leniwym krokiem ruszyliśmy przed siebie. Dziewczęta świeciły gołymi łydkami. Słońce odbijało się w wypucowanych szybach udekorowanych wystaw. Ujazdowskimi telepał się samochód dostawczy, pobrzękując pustymi butelkami po mleku. Pałac Kultury stał na zwykłym miejscu.

- Historia męskiego ubioru nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa - oświadczył mój towarzysz tonem tak szczególnym, że nadstawiłem uszu.

25.

- No to jesteśmy na miejscu - obwieścił Tyrmand, urywając w pół zdania opowieść o zaletach swojego poprzedniego lokum (przez jakieś dziesięć lat, relacjonował mi wcześniej szczegółowo, mieszkał w hotelu, który przed wojną należał do polskiego oddziału jakże amerykańskiej organizacji YMCA). Zajmował tam co prawda tylko jeden ciasnawy pokoik, ale za to ledwie rzut kamieniem dzielił go od ambasad amerykańskiej i francuskiej, solidnych

ostoi zachodniej cywilizacji, które w miarę często karmiły go obficie i za darmo przy okazji bankietów, rautów i koktajli.

- Dom Kultury Radzieckiej - dokończył. Zrozumiałem, że nasz półgodziny spacer dobiega w tym miejscu kresu.

Biały narożny budynek, nierozszczący sobie pretensji do urody, stał w końcu cichej o tej porze, ślepej uliczki. Przy Foksal kultura radziecka miała za sąsiadów kaplicę Kościoła Adwentystów, Klub Dziennikarzy i pałacyk Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Niedaleko działała kawiarnia z dancinikiem, funkcjonowało prężne i potężne państwowe wydawnictwo książkowe, rozlokowały się siedziby architektów i plastyków. Był wreszcie klub bokserski; tam za dnia regularnie rozbijano sobie łuki brwiowe oraz przekrzywiano nosy, wieczorami zaś jazzmani w powyciąganych golfach dęli w trąbki i szarpali struny.

Wzdłuż chodnika parkował sznur czarnych samochodów. Przed frontonem Domu Kultury Radzieckiej, na tle zwieńczonych kamienną kolumnadą schodów, stała biała tablica, a na niej purpurowe litery informowały:

Pokaz Mody Radzieckiej

Kolekcja 1963/64

Prezentowana w ramach

V NARADY STAŁEJ GRUPY ROBOCZEJ

DO SPRAW KULTURY ODZIEŻY

Weszliśmy. Drogę zastąpił nam monumentalny posąg; monstrum o posturze dyskobolki obleczone w ciemnoczerwony bistor workowatej garsonki. Dałem krok w tył. Tyrmand z wdziękiem nastolatka postąpił naprzód, zadarł głowę, gotów zmierzyć się ze zjawiskiem.

- Zaproszenia są?

Ręka Tyrmanda zapadła się w kieszeń marynarki, skąd dobyła solidny kalendarz w ciemnych okładkach.

- Obsługa prasowa, towarzysko.

Kolorowe, na wpół oszlifowane kamyki wyłowione z rzek i glinianek tkwiły powtykane w pastelowe ściany przestronnego holu. Te proletariackie namiastki diamentów ułożono tutaj w sposób zdradzający nierozpoznany geniusz albo zbyt ni pośpiech. Wysoko na ścianie, ponad głowami zdyscyplinowanej gromadki widzów zawisła monstrualnej wielkości mapa Związku Radzieckiego, niby ogromne indyjskie jajo poszatowane gęstą siatką krętych

czerwonych linii. Tajemnicę splątanych linii - łączących pozornie bez ładu i składu miasta, wsie i miasteczka - wyjaśniało wieńczące mapę hasło: WIELKIE BUDOWLE ZSRR W LATACH 1959-1963. Na tle budowli socjalizmu stał mizernej postury właściciel brązowego garnituru i grubo ciosanej twarzy. Pod przylizaną resztką włosów kontrastujących z głębokimi zatokami łysiny mieścił się solidny nos, małe ruchliwe oczy i wąskie usta. Napoleoński wzrost klócił się z wielkomocarstwowym wyrazem twarzy. Na sali panowała osobliwa cisza. Osobnik stuknął palcem w mikrofon. Do brązowego garnituru nosił białą koszulę i krawat w niebieskie grochy.

- Bezguście! - syknął Tyrmand. Poinformował mnie szeptem: - Awierkij Aristow, ambasador Związku Radzieckiego.

Kopia ambasadora Aristowa - znacznie młodsza, wyższa, ze strzechą pszenicznych włosów, w ciemnoszarym garniturze dość porządnie uszytym, choć ze śladami zagniecia na plecach - stała przy Aristowie i śledczym spojrzeniem obrzucała na przemian pryncypała i widzów.

- Wiaczesław Draczenko, sekretarz do spraw prasowych - objaśnił Tyrmand bez śladu sympatii.

Draczenko był zaopatrzony w plik kartek i pilnował, by trafiały do rąk Aristowa we właściwej kolejności.

Aristow dość kulawą polszczyzną zwrócił się do przedstawicieli władz miasta i innych czynników. Następnie pozdrowił przybyłych towarzyszy i towarzyszek, przypomniał o obchodzonych w tych dniach urodzinach pierwszego sekretarza KC KPZR Nikity Chruszczowa, przekazał bratnie pozdrowienia mieszkańcom Warszawy, powitał przedstawicieli pozostałych krajów uczestniczących w V Naradzie Stałej Grupy Roboczej do Spraw Kultury Odzieży, na koniec skierował kilka ciepłych słów pod adresem towarzyszy dziennikarzy. Z pobliskiej sali konsumpcyjnej napływały falami zapachy ciepłych potraw i dochodził dyskretny brzęk szkła. Awierkij Aristow przystąpił do konkretów.

- W ramach prezentowanego dzisiaj przekrojowego pokazu najnowszej mody radzieckiej - skrzypiał, wspinając się na palce, by brodą sięgnąć do mikrofonu - pokażemy, towarzysze, aż siedemdziesiąt dwa modele odzieży na każdą porę roku i dnia, łącznie ze strojami wieczorowymi. Będą też bardzo udane komplety sportowe i konfekcja typu weekendowo-plażowego.

Już ostrzyłem sobie zęby na czekający mnie pokaz. Wyczekiwałem zwłaszcza radzieckich towarzyszek paradujących po wybiegu w skąpej konfekcji weekendowo-plażowej. Wyostrzone spojrzenie Tyrmanda, jego wysunięta do przodu szczęka, spowolnione

ruchy, wszystko to pozwalało mi się domyślać, że w swoich oczekiwaniach nie jestem odosobniony.

A Aristow wziął się za wyliczanie sukcesów. Wali z kamienną miną, że w ciągu niespełna pół wieku przeciętna długość życia obywateli Związku Radzieckiego wzrosła z 32 do 69 lat. Zdanie opatrzył wykrzyknikiem. Dalej tym samym tonem wylicza, że podczas gdy w czasach carskich Rosja wydobywała rocznie 12 milionów ton ropy, w ubiegłym roku w Związku Radzieckim wyprodukowano 186 milionów ton tego cennego surowca.

Przeczekać, myślę, kiedy jego ekscelencja raportuje, jakoby produkcja przemysłowa Kraju Rad była w 1962 roku 48 razy większa niż w okresie przedrewolucyjnym, realne dochody robotników wzrosły sześć-, a chłopów siedmiokrotnie. Kuszą zapachy ciężkich sosów w niedalekiej sali konsumpcyjnej, na półmiskach, wyobrażam sobie, skrzą się piramidy czarnego kawioru, gdzieś za brokatową przesłoną poprawiają ramiączka towarzyszki o ciałach młodych i wysportowanych. A Aristow dalej uprawia propagandę. W Związku Radzieckim działa blisko 140 tysięcy bibliotek publicznych. A w Ameryce? Towarzysze i towarzyszki, niespełna osiem tysięcy! Na każde 10 tys. mieszkańców ZSRR przypada dwudziestu jeden lekarzy, podczas gdy w takiej Ameryce prawie dwukrotnie mniej. A liczba analfabetów w samym Nowym Jorku...

Klepnąłem Tyrmanda w proste plecy okryte flauszową marynarką. Zrozumieliśmy się bez słów. O pustych żołądkach, ale z uczuciem ulgi wycofaliśmy się na zastawioną służbowymi samochodami ulicę. Od zachodu wiał ciepły wiosenny wiatr. Przez zielone liście nielicznych drzew prześwitywało wieczorne słońce. Moje myśli powędrowały ku średnio wysmażonemu befsztykowi i sałatce z porów.

Leo jakby czytał w moich myślach.

- U Dziennikarzy dobrze karmią.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Klub Dziennikarzy mieścił się w wolno stojącym, stylowym pałacyku z fasadą o cegielkowej fakturze. Leo pierwszy, ja za nim, śmiało zapuściliśmy się w mdło oświetlone wnętrze. Portier w mundurze nieokreślonej armii przyjął mnie podejrzliwym podniesieniem brwi. Ręka Tyrmanda wykonała półobrót, wylądowała protekcjonalnie na moim ramieniu - i z Leo Warszawskim jako przewodnikiem wkroczyłem na salę restauracyjną.

Powitał nas zapach kapusty zaprawionej zasmażką i chrypliwy głos deklamujący z groźnym, proroczym zacięciem:

Gagarin otworzył bramę

Na czerwony księżyc
Odsłonił gwiazdy wolności
Ziemię uwolnił od nieba
A ty zatrzasujesz okno
Gdy komuniści po martwym niebie
W marszu historii
Bronią i myślą inżynierską
Przecierają szlak pokojowi.

Sala huczała oklaskami, kiedy torowaliśmy sobie drogę do wolnego stolika pod ścianą. Usiedliśmy. Leo wachlował się złożoną gazetą. Pachniało kapustą, okna szczelnie pozamykano.

Owacje nie cichły. Ten, do którego były kierowane, machał ręką zaopatrzoną w plik kartek, jakby wbrew własnej woli zmuszony do dyrygowania orkiestrą oklasków. Długa marynarka opinała szerokie, poetycko przygarbione plecy, wolną ręką łagodnie odgarniał opadającą na czoło lwią grzywę włosów.

- Dostanę tu średnio wysmażony befszytk? - wydarłem się do Tyrmanda, przekrzykując harmider na sali.

Widownia ucichła jak od uderzenia piorunem. Widzę, jak szurając płatfusami podchodzi kelner i lustruje mnie wodnistymi oczami.

- Pan szanowny uważa kotlet mielony czy schabowy?

Wyczuwam unoszące się nad stolikami napięcie. Prorok o lwiej grzywie wsparł się wolną ręką o oparcie krzesła, nie siada, z głową odrzuconą do tyłu świdruje mnie spojrzeniem. Odsunąłem pokusę odwrotu. Nie po to pradziadek Nietschey przysięgał na gwiazdzisty sztandar.

- Zjem befszytk - zadeklarowałem pod ostrzałem dwóch tuzinów par oczu. - Średnio wysmażony.

Prorok pomrukuje. Od reszty towarzystwa wieje chłodem.

- Przyjaciel z Ameryki - rzuca Tyrmand niedbale tonem wyjaśnienia. A do kelnera: - Dwa razy wołowy stek z kapustą.

- Amerykanin? - docieka prorok, nie ruszając się od stolika.

- Amerykanin - odpowiadam.

Szósty zmysł łapsa z Oakland podpowiada mi, że szykuje się draka. Prorok grzebie w kartkach. Wybiera jedną i łypiąc na mnie, czyta:

Do wroga nie mierzę z broni.
Nie posyłam mu kul.
Ja z nim sobą kontrastuję.
Moje oczy jasne
I myśl szczęśliwa to dosyć
By wroga zmiażdżyć.
Niech sam się stoczy
W przepastną otchłań
Swoich czarnych myśli.

- Co za jeden? - pytam Tyrmanda.

Machnął ręką. Widać przywykł. Mówi coś do mnie, tyle że początek zdania utonął w ochach i achach, jakimi sąsiednie stoliki powitały dziewięciowersową palbę proroka. Wychwyciłem tylko: „redaktor naczelny” i „katastrofa”. Wyciągam szyję, żeby lepiej Tyrmanda słyszeć.

- ...partyjny przydupas - relacjonuje Leo. - Co wieczorem upichci, rano idzie do druku. Chcesz wiedzieć, kto jest największym współczesnym polskim poetą? Zbigniew Herbert. Wyprzedza wszystkich tych bełkotników przynajmniej o trzy długości. Ale czerwonym się nie zaprzedał, więc trafił na indeks. Jeszcze niedawno wcinał suchy chleb z dżemem. Żadnej normalnej pracy. Czasem z łaski gdzieś go przyjęli - na żebraczy etat w spółdzielni zabawkarskiej albo w Centralnym Zarządzie Torfowisk.

Wrócił kelner z zamówieniem. Zapadam się widelcem w brejowatą kapustę, dźgam nożem twarde mięso. Naczelny, słyszę, nie zamierza ułatwiać mi trawienia. Opróżnił szklanekę i ryczy na całą salę:

Trawy zielenią się swobodnie
Kamieniom wolno oddychać
Murzyn swój oddech musi ukrywać
By jego białe sumienie
Nie zważyło się kamieniem
Na czarne dusze ludzi
O czarnych myślach.

Gad patrzy prosto na mnie. Okej, albo stek, albo naczelny. Na dwa fronty nie dam rady walczyć.

Przełknąłem i mówię do Tyrmanda:

- Pogięło faceta?

- Olej go, Al. Ten stek to chyba z krowiego ogona!

Szurnęły krzesła. Kilku gości chyłkiem opuściło salę. Poezja à la naczelny źle działała na soki trawienne. Doszedłem do połowy steku, gdy w kolektywny szczęk sztukców znowu wdarł się głos naczelnego:

Poszedł William Moore

Przeciwko segregacji rasowej

Bo uwierzył w Amerykę

Uwierzył w równość i w biały dzień

Niosąc swój biały protest

Śmiercią bielszą od śniegu

Trafiony dwiema czarnymi kulami

Umarł przed Białym Domem

Za Czarnych braci.

Tu i ówdzie ktoś niemrawo zaklaskał. Nie przerwano rozmów. Coraz śmielej szurano krzesłami. Stolik przy drzwiach głośno domagał się flaków. Powiało niesubordynacją.

- Hej, koleś! - zawołałem. - Gdzie podziałeś spektrum? Gwar rozmów ucichł jak ucięty kuchennym nożem. Naczelny potrząsnął lwią grzywą. Myślał.

Myślenie sprawiało mu trudność.

- Co jest?

- Widmo optyczne, koleś. Gama kolorów. Nikt ci nie powiedział, że świat ma wiele barw? A ty swoje: czarne i białe, białe i czarne.

Tyrmand cmoknął. Większość sali miałem po swojej stronie. Nie wpadałem w euforię. Jedno udane przyłożenie to jeszcze nie wygrany mecz.

- Morderca Murzynów! - wali naczelny z grubej rury. Szybko przebiegłem w myślach listę. Nie była długa.

- Pudło, koleś.

- Każdy Jankes to morderca!

- To ty masz więcej ofiar na sumieniu.

- Że co?

- Każdym wierszem mordujesz poezję.

Zapadła cisza. Wdarłem się na pole minowe okupowane przez lizodupów i reżimowych recenzentów. Naruszyłem tabu i zamknąłem sobie drogę odwrotu.

Prawie widziałem, jak żyły pod ubraniem naczelnego nabrzmiewają pragnieniem zemsty. Serce hektolitrami pompowało mu krew do głowy. Spurpurowiał.

- Bydlę!

- Więcej poezji jest w krowim placku.

Już czułem, jak jego niespracowane lepkie palce zaciskają mi się na szyi. Bruce miałby ubaw - nie przykładałem się do lekcji kopania.

Na moje szczęście naczelnny ślepo ufał swojej fałszywej muzie.

- Dobra - kipiał - pokaż, co sam potrafisz!

- Pomyłka. Nie bawię się w wiersze.

- Mocny w gębie, co?

Ruszyło mnie. Tyrmand obok mnie kiwał rewolucyjnie nogą w kolorowej skarpetce. Tyrmand Wielki Warszawski, którego literacka wierchuszka okrzyknęła grafomanem, któremu reżimowe wydawnictwa odrzucają nowe książki. Pomyślałem o Herbercie, jak grzebie kijem w torfowisku, wieczorami chłopce cienką zupkę i owinięty w dziurawy pled pisze do szuflady noblowskie wiersze.

- Sprzedają tu whisky?

Tyrmand spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

- Wódka może być?

- Dawaj.

Kroczyłem po cienkim lodzie. Wychyliłem kieliszek. Poczułem, jak strach przed literaturą powoli odpływa z gęsto uzwojonego mózgu i przesuwa się w okolice stóp. Miłość nie istnieje, tego zmienić nie mogłem. Miłość to wymysł literatury. Trzy czwarte mężczyzn nie może się mylić. Życie dało mi po dupie. Julianne-Anne załazła mi za skórę. Miłość załazła mi za skórę. Życie oduczyło mnie babrania się w literaturze. Ale czasem trzeba klina zabić klinem. Działąłem w imię wyższych wartości.

Opróżniłem drugi kieliszek i krzyknąłem do naczelnego:

- Dziesięć minut.

- Zmiażdżę cię, Jankesie!

- Jeden warunek: zero polityki. Żadnego chowania się za Murzynami.

Strefił. Ale wiem, że na oczach wszystkich nie zrejteruje. Więc zadaję ostatnie

pchnięcie:

- Walczymy na erotyki.

Czoło pod lwia grzywą zmarszczyło się. A ja z zimną krwią ordynuję sobie trzeci kieliszek. Leo wyrwał czystą kartkę z kalendarza. Wypiłem. Trzeci maluch dołączył do pary starszych braciszków. Poczulem spokój w głowie.

Leo z zegarkiem w ręku uderzeniem noża w butelkę odmierzał kolejne minuty. Naczelny stękał nad kartką papieru. Myślałem o Marilyn, o wytartych dzinsach Julienne-Anne, myślałem o Sophie z ulicy Chmielnej. Słowa jakby same spływały mi na papier.

- Dziesięć - obwieścił Leo.

Lwia grzywa naczelnego zafalowała nad głowami stałych bywalców Klubu Dziennikarza. Przybrał pozę Whitmana i przeczytał:

Źródło wypite do dna przez konie.

Kołyska oceanu.

Drzemiące okręty.

Z rozkoszą uderzam w pysk hipopotama

Który już ust twoich liść kładł na język.

Las wycięty do pnia przez drwali.

Ciała okrętów bez żagli.

Nikt nie ma pretensji.

Nóż wbijam w szakala

Który już brał twoje piersi.

Szkoda konwalii.

Gardło zaciskam mu szalem

Niebo przez bezbożników

Wypatroszone z aniołów.

Lepsze są pod tym względem gęsi.

Z obrazkiem dziewczyny

Żyję jak dorsz w niewoli wielorybów

Rzuconym przez księżyc cieniem.

Wymuszone oklaski. Naczelny opada na krzesło. Oczy wszystkich skierowane na mnie. Wolno wstaję.

- Kilkanaście przez samo życie zapisanych linijek o narodzinach i trwaniu

nieszczęśliwej miłości - zaczynam skromnie. W prawej ręce ściskam kartkę. Lewej pozwalam zwisać romantycznie u boku.

Leo opróżnia za mnie czwarty kieliszek. Ja czytam:

W każdym twoim oddechu
Żar i mróz na przemian.
Żarem lędźwie rozpalasz,
Mrozem ścinasz serce.
Ręki mi nie wstrzymujesz,
gdy po śpiących udach
na stracenie mnie wiedzie,
bo w większej ud ręce
mnie zostawiasz,
gdy hojnie obdarzywszy ciałem,
drogę twardo zamykasz
przed serca udziałem.

Pewnie myślisz: kulą w głowę
uciszy swe smutki.
Za cholere, najdroższa!
Pójdę napić się wódki!

Naczelnemu krew buchnęła do głowy. Wyrwało mu się oskarżenie o częstochowskie rymy. Słabnącym głosem - a szum na sali potężniał! - wykpiwał anachronizm zaprezentowanej „pseudoliryki”. Mamrotał o mieliznach tekstu, o łatwiznie, że niby ślizgam się po temacie, jakbym gołym tyłkiem szorował po zwirowanej alejce. Nikt go nie słuchał.

Tymczasem bowiem Leo Tyrmand wskoczył na stolik między talerze z wołowym stekiem i machając rękami jak dyrygent, zaśpiewał swingująco:

Pewnie myślisz: kulą w głowę
uciszy swe smutki.
Za cholere, najdroższa!
Pójdę napić się wódki!

Prawie dwa tuziny gardeł podchwyciło czterowersz. Śpiewali nierówno, za to głośno. Patrzyłem na podrygujące indycze wola, na gęby poczerwieniałe od zbiorowego wysiłku. Widok gałek ocznych nabiegłych ideą buntu przywodził na myśl niezbyt miłe skojarzenia. Ha, wmawiałem sobie, bądź co bądź demokracja zwyciężyła. Tak przynajmniej się pocieszałem.

Naczelny wymknął się, nie zapłaciwszy rachunku.

- Kelner! - zawołałem. - Kolejka dla wszystkich.

26.

Duet kelnerów od dwóch godzin peregrynował po sali, zbierając i realizując zamówienia. Bez wielkiego uszczerbku dla zawartości portfela (uroki czarnego rynku!) zamieniałem skromne walutowe zasoby na płynne walory. Na stoliki wędrowała brandy, koniaki, wysokoprocentowa wódka. My - Leo i ja - bohaterowie wieczoru, markowaliśmy konsumpcję. Goście nie przepuścili żadnej kolejki. Kelnerzy popijali w ukryciu. Arkadia i dekadencja. Po sali swobodnie cyrkulowały opinie i poglądy. Ścierały się szkoły filozoficzne i odmienne techniki picia.

Jak zwykle w takich przypadkach, do głosu dochodziła i prawda.

- Leoś - deklarował co rusz któryś z gości, skoro tylko zameldował się na miękkich nogach przy naszym stoliku - ja ciebie zawsze, bracie, uważałem. Inni psy na tobie wieszają, a ja takiego od razu w mordę. Kurwa twoja mać, mówię, to ty człowieka sztuki nie potrafisz rozpoznać?

- Na miły Bóg! - zaklinał się inny - Kijowski odszczeka tego Balzaka dla ubogich. Będzie ci jeszcze dupę lizał.

- Nie chcą ci wydać tej książki? Olej te kutwy z PIW-u! Bierz rękopis i wal do mnie. A co! Będę ci puszczał w odcinkach. Wierchuszkę, Leoś, biorę na siebie. Zobaczysz, za dwa miesiące wydawcy będą się w kolejce ustawiali.

- Tyrmand, chłopcze, ty myślałeś, że pozwolimy ci zgnoić? Ja za ciebie całą swoją karierą gwarantuję! A ten film, co wtedy chciałeś, też zrobimy. Chcesz pojechać do Cannes? Pojedziesz. Wolisz czystą czy kolorową? No to za naszą przyszłość...

Zajęcie męczące, nie powiem. Zlatywali się jak muchy do krowiego łajna. Tyrmand nieźle się trzymał jak na *quasi* abstynenta, w którego wmuszono bodaj pięć kieliszków. Dyplomatyczny talent, gdyby mnie ktoś pytał. Do każdego zagadał, pozwalał się klepać po

ramieniu. Sam nalewał wódkę.

Jednak widzę, że minę ma nietęgą.

- Leo - mówię - głowa do góry. Jeśli nie wszystkich, to sporą część masz po swojej stronie.

Spojrzał na mnie smutno i wałnął sobie setę.

- Gównu wiesz o Polsce, Al. Pryncypialność i bohaterstwo wyparują z nich najpóźniej jutro razem z wódką.

Wymknęliśmy się cichaczem. Po bibce u Aristowa nie pozostało śladu. Na tablicy przed Domem Kultury Radzieckiej dopisana czyjąś ręką jedna litera wprowadziła zmiany semantyczne: „Pokaz mody radzieckiej” uległ transformacji w „Pokaz mordy radzieckiej”.

- Jedna litera, a cieszy - podsumował Tyrmand przez zęby.

Odkoczyliśmy w lewo, żeby uniknąć zderzenia z parą, która wytoczyła się z lokalu nocnego Kameralna. Trzy metry dalej dyżurowała pojedyncza dziwka w wieku balzakowskim. Dach zdezelowanej warszawy okupowały dwa podejrzanie wyglądające bezdomne koty. Wiatr ucichł. Na Foksal w ramach pierwszomajowych zobowiązań świeciły się wszystkie latarnie. Zza zaciemnionych okien zamkniętego klubu architektów dobiegały jednoznaczne chichy.

Przyspieszyłem kroku, by nadążyć za Tyrmandem. Właśnie mijaliśmy ciemną jak noc siedzibę Państwowego Instytutu Wydawniczego. Gdzieś tam pod stosem papierzyk zalegających redakcyjne biurka, albo gorzej, w czeluściach rzadko wietrzonych piwnic, dogorywał maszynopis *Życia towarzyskiego i uczuciowego* Leopolda Tyrmanda.

- Ach, życie! - Splunął na chodnik. I jakby to pomogło, wyprostował przygarbione plecy.

Podsunałem mu wrigleyówkę. W zgodnym duecie żuliśmy, zwolnieni z obowiązku prowadzenia rozmowy. U wylotu Nowego Świata spoglądał ku nam z przerośniętego plakatu chuchrak w robociarskim drelichu: kask prosto z magazynu, optymizmem tchnące wymizerowane oblicze, skierowany przed siebie wzrok zapowiadał nieuchronnie jeszcze lepszą przyszłość.

- Wiosna - rzucił Tyrmand mściwie. - Po wiosnie przyjdzie lato, po lecie jesień, po jesieni zima. A po zimie - znowu wiosna. Nie masz pojęcia, jak mnie to cieszy. W sprawie pół roku nawet Komitet Centralny nie ma nic do gadania.

Zawieszeni między stałością pół roku a plakatowym marszem ku lepszej przyszłości, weszliśmy na pusty o tej porze Nowy Świat. Zrobiliśmy trzy, może cztery kroki, już byliśmy na jezdni, wokół ziało pustką; przez tę pustkę w bądź co bądź centralnym punkcie miasta

zrobiło się nam dosyć nieprzyjemnie. Ale rozterki precz, bo raptem z owej rzekomej pustki wypada czerwona rakietka, rakietka albo diabeł na rozżarzonej do czerwoności piecu, pędzi prosto na nas i rośnie w oczach. Śmierć zwała się nam na głowę, konkludujemy bynajmniej niepokodzeni ze stratą, gdy tymczasem czerwona bestia z piskiem opon i zgrzytem hamulców zwalnia, hamuje, hamuje, ruchem poślizgowym wciąż sunąc na nas - dwie banalnie kruche kupki atomów jednorazowego użytku. Wreszcie - kilka metrów przed nami! - zatrzymuje się ostatecznie.

Tyrmand stoi jak wryty. Ja stoję jak wryty.

Otwierają się drzwiczki i wysiada jasny gabardynowy garnitur. Zamiast twarzy księżyc w pełni, całość wieńczy elegancki kapelusz.

- To są hamulce, co?

Do premiera dołącza Bruce. Przedstawiam Bruce'a Tyrmandowi. Cyrano cieszy się jak dziecko, bo znowu udało mu się wyrwać obstawie na wieczorną przejażdżkę. Tyrmand jest speszony sytuacją, Cyrano przeciwnie. Proponuje nam obu podwiezienie. Nie czekając na odpowiedź, pakuje nas do samochodu.

Przed Hotelem Central mimo woli stałem się świadkiem takiej sceny: Bruce wyciąga rękę do pożegnania, kiedy raptem wyprowadza prosty cios lewą. Sifu Cyrano ratuje się zręcznym zwodem, ręka napastnika z impetem mija o pięć, sześć centymetrów okrytą kapeluszem solidną głowę premiera, gdy ten ze świeżo nabytą wprawą knykcie prawej pięści wbija Bruce'owi w spłot słoneczny. Bruce z trudem prostuje wysportowaną sylwetkę. Ma powody do zadowolenia. Cyrano jest w siódmym niebie. Wskakuje do jaguara, czas odwieźć Tyrmanda do pisarskiego gniazdka przy Mariensztacie.

Długo przyciskamy dzwonek u wejścia. Głos za drzwiami nie szczędzi przekleństw. Na nasz widok Dederko łagodnieje. Trąc zaropiałe od snu oczy, wpuszcza nas do środka. Literatura, wzdycham zrezygnowany, gdy w windzie Bruce z kwaśną miną wciąga nosem powietrze przesycone mieszanką polskiej czystej i importowanej brandy.

27.

Pora zwyczajowo przeznaczona na śniadanie dawno minęła, a ja nadal polegiwałem w hotelowym łóżku. Kompresem i łykami zimnej wody próbowałem uciszyć dokazujące konie, których tętent odbijał mi się w mózgu zwielokrotnionym echem.

- Kac - orzekł Bruce bez współczucia. Zasmrodził pokój zapachem jajecznic, zaraz

potem służbowym samochodem pozwolił się zawieźć w wiadomym celu na Aleję Róż.

Zwlokłem się z łóżka, otworzyłem okno jak najszerzej. Przesunąłem fotel pod sam parapet, usiadłem i - owiewany strugą świeżego powietrza, dla odwrócenia uwagi od wydarzeń wczorajszego dnia - jąłem przeglądać gazetę, którą sprezentował mi Tyrmand.

Setki prac konkursowych wpłynęło na konkurs dla dzieci i młodzieży „Lenin i Jego Idea”

Telefoniczna łączność Mars-Ziemia jest możliwa. Czołowy radziecki specjalista w dziedzinie radiotechniki A. Pistol Kors jest zdania, że można utrzymywać łączność telefoniczną z kosmonautą, gdy wyląduje na Marsie.

„DOWCIPNIŚ” ZA KRATKAMI. PRZECINAŁ ŻYLETKĄ OKRYCIA PRZECHODNIÓW, WPADŁ W RĘCE PATROLU MO

Rusza budowa rotundy gmachu PKO przy zbiegu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej. Kubatura budynku wyniesie 20 tys. metrów sześciennych

Drzewko, które kilka lat temu zasadził Nikita Chruszczów, już dzisiaj jest ozdobą sadu śliwkowego w Domanikowie koło Kutna.

Brytyjski następca tronu 15-letni książę Karol przychwycony na picciu cherry brandy w barze. Zgodnie z przepisami college'u Gordonstoun, w którym książę się uczy, grozi mu publiczna chłosta na dziedzińcu szkoły.

Ostatnią wiadomość przeczytałem dwukrotnie, za każdym razem z satysfakcją. Szczeniakowi dobrze zrobi kilkanaście batów na goły tyłek. Należy mu się: za Marię Stuart, Masakrę Bostońską i inne grzechy Korony.

U Dederki zamówiłem jajka po wiedeńsku. Czekać na śniadanie, wziąłem prysznic, potem spędziłem w łazience przed lustrem dobre pięć minut. Wbiłem się w pożyczoną od Bruce'a niebieską koszulę, zawiązałem krawat i godzinę później stałem przed drzwiami mieszkania na Dynasach.

Nie było dzwonka. Zapukałem. Ściskając w garści dziesięć czerwonych tulipanów, ponowiłem pukanie. Po drugiej stronie cisza. Zastukałem głośniej, przyłożyłem ucho do drzwi i zacząłem nasłuchiwać.

- Pan szanowny do kogo?

Jak na swoją wagę i wzrost mężczyzna poruszał się prawie bezszelestnie. Spod podwiniętych rękawów flanelowej koszuli wyłaniały się grube, żylaste, osypane piegami przedramiona. Stał przy balustradzie schodów i patrzył na mnie wsparty o grube drzewce szczotki. Miał z pięćdziesiąt lat, czerwone od niewyspania oczy i najwyraźniej lubił swoją pracę.

Grzecznie wyjaśniłem, do kogo przychodzę. I przestałem się nim interesować, dopóki nie usłyszałem:

- Nikt taki tu nie mieszka.

Podsunałem mu pod nos kartkę z adresem.

- No mówię przecież, że taka tu nie mieszka!

Nie musiał podnosić głosu, żeby zaalarmować całą kamienicę. Drzwi sąsiedniego mieszkania otworzyły się i zadbana staruszka w kwiecistym szlafroku przyszła dozorcy w sukurs:

- A pan tu co?

- Węszy! Znam takich!

Zignorowałem go.

- Ja w odwiedziny do pani Morawskiej. Byłem umówiony.

- Rżnie głupka!

- Nie znam żadnej Morawskiej.

- To samo i ja mówiłem!

Przez moment dopuściłem absurdalną myśl, że może pomyliłem się, zapisując adres.

Postanowiłem szerzej zarzucić sieć:

- Młoda, ładna, ma białego pudła.

- To czysty dom. Kundli nikt tu nie trzyma.

Poczułem się w obowiązku stanąć w obronie Puni.

- Kundel? To pudel czystej krwi - stara wkurzyła mnie, więc nie namyślając się, palnąłem: - Za takiego z europejskim rodowodem musiałyby pani zapłacić ze cztery tysiące.

Z drugiego piętra zeszła para w średnim wieku. Zapachniało tanim winem.

- Gonić obcych, panie Zygmuncie - wsparli dozorcę. - Przyjdzie taki, nafajda i polizie.

- Albo coś ukradnie!

- Elegancik z Pragi!

Pan Zygmunt stanął na wprost mnie. Dzielili nas tylko postawiona na sztorc miotła.

- Pójdiesz pan po dobroci, czy mam wołać milicję?

Tandem z drugiego piętra dołączył do dozorczy.

- Lepiej go spisać, a potem puścić.

Byłem już na schodach, ale zawróciłem i wręczyłem kwiaty starej. Następna taka gratka trafi jej się na własnym pogrzebie.

Na ulicy zgmiotłem kartkę z adresem i już miałem wyrzucić, ale zmieniłem zamiar i schowałem ją do kieszeni marynarki. Gdy natrafiłem ręką na złożoną gazetę, przyszedł mi do głowy pomysł.

Wdrapałem się po schodach na skarpe, usiadłem na ławce, plecami do półkolistego budynku górującego nad Dynasami niczym mur obronny, i zacząłem studiować repertuar stołecznych kin: *Wojna i pokój*, *Dziecko wojny*, *Jak zdobyć męża*, *Witaj smutku*. Podsumowując: ojczyzna, obowiązek, rodzina. Wykaz tytułów korespondował z moim stanem ducha po niedoszłej randce.

Z obowiązku czytałem dalej. W *Skarpie* na seansie specjalnym pokazywali film *Nasz wspólny przyjaciel*. Dickens zawsze działał na mnie jak aspiryna na ból głowy. Długo się nie zastanawiałem. Przecież w niedzielę Łatki w wiadomym miejscu i tak nie złapię. A przed kolejnym kafkowskim seansem z dyrektorem Utangiem powinienem najpierw oczyścić organizm z resztek alkoholu i literatury. Nową dawkę toksyn nieprędko przelknę.

Zszedłem do Tamki, ruszyłem pod górę i nim minął kwadrans, zająłem miejsce w fotelu na pięć minut przed seansem.

Mimo że była to niedziela, sala kinowa świeciła pustkami. W tylnych rzędach umościły się cztery młodociane pary. Światło przygasło i spiker kroniki filmowej zaczął uzasadniać konieczność podwyżek cen energii elektrycznej. Kolejne zakłady pracy podejmowały zobowiązania w ramach czynu pierwszomajowego. Naukowcy wykazali doświadczalnie, że pomalowanie ścian kuchni na żółty kolor poprawia nastrój pani domu i sprawia, że praca wydaje jej się lżejsza. Centrala handlowa Coopexim przystąpiła do eksportu strojów kowbojskich do Stanów Zjednoczonych. Dużym powodzeniem w obu Amerykach cieszyły się także polskie pióropusze indiańskie z piór indycznych i gęsich.

W końcu zaczyna się film. Od pierwszych chwil nabieram podejrzeń, że zaszła pomyłka. Na ekranie nieczytelne bohomyzy, jakie, domyślam się, pradziadek Nietschey ujrział był podczas chłopięcej eskapady do carskiej Warszawy. „Nasz obszczij drug” - obwieszcza głos spoza ekranu, „Nasz wspólny przyjaciel” - tłumaczy polski napis. Sceneria: kołchoz w Kubaniu. Bohater: sekretarz kołchoźnianego komitetu partyjnego grany przez niejakiego Wiktora Awdiuszkę. Dla całego kołchozu sekretarz jest wzorem członka partii i ojca rodziny. Aż tu rozkochuje go w sobie pozbawiona partyjnych skrupułów młoda urodziwa dziewczyna.

Odtąd sekretarz miota się między partyjną moralnością a miłosnym popędem. Dziewczyna - aktorka Natasza Fatiejewa, całkiem ładna - kusi zasłużonego aktywistę bezpruderyjnym ciałem. W powietrzu latają fluidy i części garderoby. Kołchoźnik stawia opór. Partię, plan produkcyjny, rodzinę stawia na pierwszym miejscu. Kiedy słabe ciało sekretarza wreszcie ulega, morale biedaka przeżywa katusze, partyjna odpowiedzialność podtruwa go jadem rozterek. Zostawiam sekretarza w chwili, kiedy scenariusz popycha go nieuchronnie ku dramatycznemu wyborowi: partia albo libido. Sekretarz cierpi, diabliska zarzuca coraz gęstsze sieci, pary w tylnych rzędach przystępują do gry wstępnej, ja wdaję się w burzliwą rozmowę z bileterką, której nie uśmiecha się otwierać drzwi przed końcem seansu. Zdołałem ją przekonać. Chowa moje pięć złotych, przekręca klucz w zamku. Wychodzę na plac na tyłach kina.

Uciekałem od Awdiuszki, a prawie napatoczyłem się na Draczenkę. Wiaczesław Draczenko, prawa ręka ambasadora Aristowa, sekretarz do spraw prasowych ambasady radzieckiej, mija mnie w odległości pięciu kroków. Szybki krok, gorąca głowa, w rozdrażnieniu potrząsa kopcem pszenicznych włosów, pochłonięty głośną rozmową z kompanem ani spojrzysz w bok. A ja smyk! Lata doświadczeń i szósty zmysł zawodowca każą mi szukać osłony za szklaną gablotą z fotosami. Bo oto ramię w ramię z towarzyszem Draczenką kroczy amerykański gównojad z Krakowskiego Przedmieścia. Wychylam głowę, sprawdzam, czy nie uległem złudzeniu. Mr. Eat Shit we własnej osobie! Fryzura na jeża, sylwetka szachisty. Rozmawiają po rosyjsku. Język obcy, nie rozgryzę. Ale głos gównojada poliglota poznaję! Nietaktownym „eat shit” na środku warszawskiej ulicy wbił mi się w pamięć jak drzazga za paznokieć. Ręce mnie świerzbią, ale nerwy trzymam na wodzy. Przepuszczam grupkę niedzielnych spacerowiczów i - kryjąc się za dokazującą gromadką - podążam tropem rosyjsko-amerykańskiego duetu. Doprowadzili mnie do krańca ulicy Foksal. Draczenko spojrział w górę, poślinił palec i wycelował w niebo, jakby sprawdzał kierunek wiatru. Zagadnął do swojego towarzysza, obaj niemal jednocześnie spojrzeli na zegarki, po czym głównym wejściem zapuścili się w czeluście znanego mi już białego budynku, w którym rozgościła się kultura radziecka. Schowany w bramie najbliższej kamienicy, dobre trzydzieści metrów od punktu zero, prowadzę obserwację. Nikt nie wszedł, nikt nie wyszedł. Po pół godzinie zrezygnowałem.

Pojechałem do dyrektora Utanga.

Niedonosek nie chciał otworzyć. W niedzielę, upierał się, wizyt osób postronnych nie ma. Krzyczałem, próbowałem przekupić pieniędzmi. Ugiął się dopiero pod groźbą skargi u pryncypała.

Utanga znalazłem w ogrodzie na tyłach zakładu. Krążył ze zwieszoną głową między kwietnymi rabatkami. Podszedłem. Przywitał mnie niepewnym uściskiem dłoni. W jego brązowych oczach wypatrzyłem charakterystyczną dwoistość doznań, którą tylko zadufany laik mógłby wziąć za objaw bogatego życia wewnętrznego. W okratowanych oknach willi tkwiły nieruchomo, jak wbite na pał, głowy kuracjuszy; w jednym z okien, byłbym przysiągł, bielily się siwe włosy towarzyszkii Zajcewej. Niedonosek szpiegował, schowany za krzakiem jałowca. W ślad za dyrektorem przykucnąłem, poruszając się na czworakach - ja niepewnie, Utang z naturalną łatwością - jałem obwąchiwać kwiatki i grudki zroszonej wiosennym deszczem ziemi. Utang tarzał się wśród zieleni i szłochał. Wreszcie dźwignął się na nogi. Z pomrukiem, wciągając nosem wiosenne powietrze, podniósł średniej wielkości kamień, prawie nie mierząc, jakby od niechcienia, cisnął go z taką siłą, że odłupał płat kory z pnia drzewa oddalonego o czterdzieści kroków. Głowę wtulił w ramiona i nie oglądając się na mnie poczłapał do budynku. Otrzepawszy ręce i ubranie z ziemi, podążyłem jego śladem.

Butelka gruzińskiego, okryta warstwą dwudniowego kurzu, tkwiła w rogu biurka, pośród piramidy wyschłych skórek od mandarynek. Utang pochwycił moje spojrzenie. Zmarkotniał. Odkręcił koniak, przytknął szyjkę do warg, krzywiąc się upił łyżek. Uśmiechnął się przepaszająco, ale butelkę odstawił. Poglaskałem go po skudlonych włosach.

Dyrektor chlipał, ja tuląc jego głowę do piersi zastanawiałem się nad kolejnym krokiem. Popeliłem błąd metodyczny. Od tej pory, uznałem, powinienem postępować elastycznie. Nie rezygnując z Kafki i butelki, muszę się podeprzeć techniką behawioryzmu społecznego sprzężoną z głośnym w pewnych kręgach eksperymentem, który pierwszy raz zastosowano w Jardin des Plantes we wczesnych latach trzydziestych. To postanowiwszy, zakręciłem butelkę gruzińskiego i umówiłem się z Utangiem, że zajadę po niego wieczorem.

29.

Tyrmand wyskoczył zza kierownicy opla, z demonstracyjną elegancją otworzył drzwi po stronie pasażera i dyrektor Utang wygramolił się na świeżo skropiony wieczornym deszczem chodnik przed Kameralną. Głowę Utanga okrywał elegancki, dużych rozmiarów czarny kapelusz, spod nieskazitelnie wyprasowanej stalowoszarej marynarki wyglądała

obcisła kamizelka turkusowego koloru, nogawki przydługich czarnych spodni kładły się dwiema fałdami na wściekle czerwone półbuty, na tyle duże, by pomieścić dyrektorskie stopy szefa Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych.

- Do inwalidów - zarządził Tyrmand, szerokim gestem pokazując spowite dyskretnym mrokiem drzwi Kameralnej. Idąc tropem historycznych asocjacji zachodziłem w głowę, co wspólnego ma ulica Foksal z paryskim Domem Inwalidów, kiedy Tyrmand już w następnym zdaniu sprowadził mnie na warszawski grunt. Spółdzielnia Inwalidów, wyjaśnił, prowadzi w Warszawie sześć zakładów gastronomicznych, między innymi restaurację Kameralna i znany mi już pobliski lokal w Stowarzyszeniu Dziennikarzy.

Podążyłem za Utangiem i wyelegantowanym Tyrmandem. Czulem się nieswojo w znoszonej kalifornijskiej marynarce (sklep z wyprzedazą Five Cents World w Santa Monica, rozmiar uniwersalny, rocznik 1957). Wykidajło na widok Utanga zrobił wielkie oczy. Krzyknął na szatniarza, szatniarz wybiegł z za lady, zajrzał w głąb sali restauracyjnej i zagwizdał na palcach. W tym czasie wykidajło, krzywiąc w uśmiechu zbójceją gębę, już uchylał przed nami drzwi. Weszliśmy: Tyrmand, Utang, ja zamykałem pochód.

- Zaszczyt dla nas, panie dyrektorze! - powitał wyfraczony kelner z nazistowskim wąsikiem.

Przyniósł ze sobą zapach wypoconych nadgodzin i wysokogatunkowego alkoholu. Utang, widząc, zmarszczył nos. Z krótkim warknięciem odepchnął kelnera i wydmuchał nos w chusteczkę.

- Panie Heńku, stolik dla trzech osób - zarządził Tyrmand.

Przecisnęliśmy się gęsiego przez zatłoczoną, ciemną od dymu salę. Kobięcy głos śpiewał o czarnym Ali Babie, który z niewiadomych przyczyn woli spać niż tańczyć twista. Z plakatu na ścianie spoglądała na gości powabna czterdziestolatka o hiszpańskiej urodzie. Napis głosił: „ŚWIATOWA GWIAZDA PIOSENKI GLORIA LASSO W WARSZAWIE”. Gloria Lasso sąsiadowała z urodziwą blondynką, która sadowiąc w wannie okryte letnią sukienką filigranowe wdzięki, filmowe spojrzenie kierowała ku górze fotosu; dokładnie tam, gdzie jednozdaniowa laurka informowała z patriotycznym zadęciem, że Ania Kucharska jest typowana na polską Marilyn Monroe. Usiedliśmy przy pospiesznie zwolnionym narożnym stoliku. Za plecami miałem nierzucającą się w oczy czarno-białą przestrożę „NIKOTYNA WROGIEM MŁODOŚCI I URODY”; w przeciwnym krańcu sali, tam gdzie kończył się taneczny podest i zaczynała estrada, wyrastała okazała tablica z afiszem anonsującym wieczorny program artystyczny *Fogg and rock*. Na afiszu wokół podstarzałego dżentelmena w smokingu i białej muszce ustawiło się dziewięć młodych niewiast.

Pomocnik kelnera błyskawicznie uprzątnął naczynia. Heniek zarzucił na blat czysty obrus.

- Co do picia?

- Trzy razy podwójny koniak - zaordynował Tyrmand.

- Całą butelkę. I dzbanek soku pomarańczowego - skorygowałem.

Rozmowy na sali ucichły. Dyrektor wiadomego Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych przykuwał powszechną uwagę. Utang tymczasem bawił się sztuczkami, jakby się nad czymś zastanawiał.

Odwróciłem głowę na hałas przewracanego krzesła. Zdążyłem zobaczyć, jak od stolika przy estradzie podrywa się ciemnoszary garnitur i w pojedynkę przemyka ku wyjściu.

- Szemrana postać - zaseplenił Heniek pochylony nad Tyrmandem, spoconą twarzą zwrócony ku Utangowi, pewną ręką napełniając koniakówki, podczas gdy szczoteczka czarnego wąsika wykrzywiała się w uśmiechu. - Co poradzić, demokracja. Do lokalu każdy łachudra może wejść. Ale my redaktora Kijowskiego nigdy nie uważaliśmy.

- *Prosit!* - Trąciłem się z Utangiem. Dla przykładu upiłem koniaku, zakąsiłem sokiem pomarańczowym.

Utang niechętnie poszedł w moje ślady.

- Czerwony Piotruś - przytomnie parafrazowałem Kafkę, sam napełniając dyrektorowi kieliszek. - Pierwszym nakazem, jaki sobie postawił, było zaniechanie wszelkiego oporu.

Prosit!

- Zdrowie! - Tyrmand, idąc mi w sukurs, wzniosł toast.

Utang ściągnął kapelusz. Miał spojrzenie topielca, który ostatni raz uczepia się wzrokiem niknącego brzegu. Odchylił głowę, zacisnął powieki i jednym haustem opróżnił kieliszek.

- Brawo! - zawołałem. - Brawo! Klatka się otwiera!

Rozdarty między radością a współczuciem, po minie Utanga konstatuję, że plan ma szansę powodzenia. Pochylony nad stołem, obwąchuje pusty kieliszek. Chwycił butelkę i dolewając, zrobił plamę na obrusie. Trącił się z Tyrmandem. Wypili.

Ledwo zagrała muzyka, przy naszym stoliku wyrósł łysiejący pięćdziesięciolatek w chłopięcym garniturku. Fogg wdrapuje się na estradę, a łysy gnom zaczyna kajać się przed Tyrmandem. Niedopatrzenie, zapewnia, urzędnicza pomyłka, wszystko zostanie naprawione. Leo trąca się ze mną i Utangiem, gnoma ignoruje, z kamienną twarzą opróżnia kieliszek. Staruszek z dziewczętami śpiewa o jesieni i pierwszym siwym włosie. Paszport załatwiony, zaklina się gnom, teraz tylko czekać decyzji Komitetu, pewnie z tydzień jeszcze zejdzie.

Tyrmand mruga na Utanga, ten napelnia koniakówki, gnom przestępuje z nogi na nogę, wznosimy toast. Utang prostuje się, podbródkiem prawie mierzy w sufit. Milczy, ale coś w nim wzbiera. Jeszcze milczkowato rozgląda się po sali, lustruje ściany i twarze. Nagle zrywa się z krzesła i woła ludzkim głosem:

- Halo!

Podbiegł Heniek z tacą.

- Co podać?

Jednym szarpnięciem ściągnąłem ze stołu obrus z zawartością.

- Nowy obrus!

Wyszperałem w kieszeni marynarki owinięty w celofan węgiel do rysowania. Jardin des Plantes, myślę z nadzieją, przywołując ów słynny przed wojną paryski eksperyment.

Utang oparł łokieć o krawędź stolika, rękę niemrawo zawiesił nad obrusem. Szpikulec czarnego jak freudowskie sny węgla drzewnego wycelował w sam środek śnieżnobiałego czworoboku. Stoliki poderwały się na nogi, szyje wyciągają w naszą stronę. Co śmielsi podchodzą na palcach.

Utang spojrzał na mnie. Serce mi waliło. Tak musiał się czuć Joe DiMaggio, kiedy dotarło do niego, że kij baseballowy i Marilyn Monroe to dwa odrębne wszechświaty.

Węgiel przesunął się po obrusie, znacząc swą drogę czarną grubą kreską. Obok powstała następna, po niej trzecia, czwarta, piąta, szósta wreszcie. Hurra! Oto Jardin des Plantes eksperymentalnie dowiedzione! - triumfowałem, kiedy Utang z rozmysłem prowadząc rękę, przekreślał równoległe kreski pionowymi, aż powstały metaforyczne kraty. Metafora Utangowego losu, za kratami zaś owłosiony owal, czyli dyrektorska głowa.

- Co za głębia! - ryknął mi ktoś nad uchem.

Odsunąłem się instynktownie.

- Głębia spojrzenia! - zaryczało ponownie.

- Podsekretarz w Ministerstwie Kultury - Tyrmand objaśnił szeptem bez sympatii.

- Talent! - ekscytował się podsekretarz.

Fogg i żeński kwartet Karaty śpiewali o deszczu gwiazd nad Alabamą, a łzy Utanga skapywały mi z rękawa na obrus w więzienną kratę. Urzędnik z ministerstwa - sangwinik średniego wzrostu, bez śladów urody - biorąc z trudem zakręty słów liczących więcej niż dwie sylaby, komplementował i rzucał stuzłotowe banknoty na stół. Wyrysowany węglem majstersztyk, uparł się, istne cudo sztuki przedstawiającej, winien trafić do ministerialnej kolekcji.

Stoliki wstrzymały oddech. Utang zebrał banknoty. Podsekretarz zwinął obrus i

podniósł jak relikwię. Fogg śpiewał o ostatniej niedzieli, palce Tyrmanda wybijały na nagim blacie jazzowe synkopy - a Utang jednym ruchem przedarł gruby plik stuzłotówek.

Jęki i oklaski. Przy wtórze ochów i achów podążyliśmy ku wyjściu. Z obu stron napierały na nas wyciągnięte do uścisków ręce i otwarte legitymacje partyjne. Pod ciemnym od nikotynowego dymu sufitem zderzały się ze sobą nazwiska, funkcje, zaszczyty, koneksje i osiągnięcia. Utang niezobowiązująco kiwał głową, Tyrmand udawał, że notuje.

Kierownik sali giął się w ukłonach. Odprowadzani przez kelnerów, wkroczyliśmy do holu. Szatniarz za kontuarem truł się papierosem. Wykidajło dłubał wykałaczką w zębach, wolnym ramieniem zagradzając drogę nocnemu gościowi:

- Won!

- Ty do mnie? Do mnie tak?

Z nawyku obrzuciłem intruza lustrującym spojrzeniem. Typ wyjściowy, garnitur elegancki, choć po przejściach, włosy czernione. W oczach fantazja, ale mowa bełkotliwa. Trącał dyrektorskim stanowiskiem niższego szczebla.

- Pijków nie wpuszczamy.

- Tak? Ale małpę wpuściliście!

- A ty mendo kurewska! Niedoczekanie!

- Trzymaj łajzę! - ryknął szatniarz. Wypluł papierosa i na czworakach pokonał kontuar.

Szatniarz i wykidajło podzielili się pracą: pierwszy unieruchomił czernionego chwytem dzu dzitsu, drugi bez pośpiechu bił. Wyszliśmy na oświetloną półksiężycem ulicę. Tyrmand usiadł za kierownicą, ja obok, Utang ułożył się w tyle opla. Ruszyliśmy. Koła samochodu stawiały opór dziurom w jezdni. Utang zaczął pochrapywać. Tyrmand zastanawiał się głośno nad wyborem najkrótszej trasy. Miałem właśnie zamiar poprosić go o odwiezienie Utanga, kiedy nagle zmieniłem zdanie.

Rzecz w tym, że w wolno mijającym nas samochodzie rozpoznałem pszeniczne kołtuny Wiaczesława Draczenki. Siedzenie dla pasażera zajmował Mr. Eat Shit z Krakowskiego Przedmieścia.

Fortuna próbowała mi coś powiedzieć. Choćby to, że sekretarz prasowy ambasady radzieckiej i amerykański gównojad trzymają ze sobą.

- Zatrzymaj!

Utang chrapał alarmująco. Musieliśmy go obudzić. Na zgaszonych światłach ruszyliśmy za wołgą Draczenki. Zahamowała na wysokości Domu Kultury Radzieckiej. Obaj wysiedli. Draczenko kluczem otworzył frontowe drzwi i zniknęli w budynku.

Na jedyńce mijamy wołgę. Mijamy zaparkowaną furgonetkę „Przedsiębiorstwa Budownictwa Mieszkaniowego «Śródmieście»”. Przy adwentystach zawracamy i przyczajamy się. Tyrmand o nic nie pyta. Częstuję go historyjką o chamowatym Amerykaninie z Krakowskiego Przedmieścia. Słucha, nie komentuje. Wzorem rasowego pisarza nie lubi zachwaszczać literatury zbiegami okoliczności. Mija pięć minut i rosyjsko-amerykański tandem znów się pojawia. Dźwigają podłużny pakunek. Wsuwają pakunek do furgonetki i smyk do budynku.

Wykonywali ten manewr trzykrotnie. Zamknęli budynek i furgonetką skręcili w Kopernika. My za nimi. Z Kopernika w Świętokrzyską, stamtąd w Marszałkowską. Na ulicach pustki. Od Pałacu Kultury niósł się stukot młotów - trwały ostatnie prace przy budowie trybuny pierwszomajowej. Draczenko, mimo że ulica prawie pusta, gazu nie dodaje. Po co rzucać się w oczy. My pięćdziesiąt metrów za nim.

Wreszcie furgonetka „Przedsiębiorstwa Budownictwa Mieszkaniowego «Śródmieście»” staje. Cicho hamujemy.

- Ściana Wschodnia w budowie - informuje Tyrmand.

Mówiąć dokładnie, centralny punkt olbrzymiego placu budowy w centrum stolicy, gdzie z inicjatywy warszawskiej organizacji partyjnej i staraniem warszawskich robotników powstaje budynek w kształcie rotundy, przyszła siedziba gmachu PKO. Draczenko wyskakuje, otwiera bramę, z powrotem do szoferki - i furgonetka znika za wysokim ogrodzeniem.

Utang zrozumiał mnie w pół słowa. Ścisła mi rękę. Zostawia kapelusz, po czym mimo przyciasnych spodni jednym susem pokonuje ogrodzenie.

„Urodzony talent” - myślałem nie bez zazdrości, kiedy wspinał się zwinnie po stalowych żebrach dźwigu. Turkusowa plama kamizelki znieruchomiła piętnaście metrów nad ziemią.

- W takim momencie porucznik Dziarski by zaraportował: redaktorze Kolanko, zanosi się na wielki dziennikarski temat - przerwałem milczenie, gdy dziesięć minut później Draczenkowa furgonetka zjechała z placu budowy i dotelepawszy się do Świętokrzyskiej, zniknęła za zakrętem.

Tyrmand przełknął komplement z uśmiechem. Jak na amatora miał nerwy ze stali.

- Oby tylko nie maczał w tym palców prezes Merynos - spuentował bez chryпки w głosie.

Przeskoczyliśmy ogrodzenie. Utang już czekał. Poprowadził nas do głębokiego wykopu i czubkiem wściekle czerwonego półbuta wskazał miejsce pośród stalowych prętów

zbrojeń. Nic szczególnego: szalunek, ziemia, niedopałki, kapsle od butelek. Podniosłem deskę i zacząłem kopać. Jest! Utang przyświecił mi zapalniczką. Sporych kształtów przedmiot spowijała gruba cerata. Poczulem pismo nosem. Wziąłem od Tyrmanda scyzoryk i z wyczuciem naciąłem. Zobaczyłem parę męskich półbutów, rozmiar dziewięć. Reszta w zgodzie z porządkiem natury: nogi (w jasnych spodniach), korpus (w jasnej marynarce). Jak na posiadacza butów numer dziewięć delikwent odznaczał się podejrzanie niskim wzrostem. Podobnie jak jego obaj towarzysze - co stwierdziłem kilka minut później. Pakunków nie rozcinałem do końca. Domyślałem się, co mógłbym zobaczyć w miejscu zwyczajowo przeznaczonym na krawat. Zasypaliśmy całą trójkę z powrotem ziemią. Jeśli choć trochę znałem się na budownictwie, jutro dostaną solidny nagrobek z betonu.

30.

W poniedziałek rano obudziłem się z żołądkiem jak kamień. Zegar wskazywał dopiero siódmą, ale nie zamierzałem wracać do snu, w którym kazano mi dopasowywać kilkanaście zbywających głów do trzech korpusów. Ledwo zdążyłem się umyć i ogarnąć, wparadował Bruce - wyelegantowany, świeży i wypoczęty. Cyrano - obwieścił, krążąc podekscytowany po pokoju - robi ogromne postępy. Pokolenie z przedwojennego materiału. Przyszedł czas na ćwiczenia z górnej półki. Cios wibrującej ręki - siła i koncentracja plus chirurgiczna precyzja.

Usta mu się nie zamykały. Na szczęście zaterkotał telefon. Odebrałem.

Dzwoniła właścicielka Puni. Ton głosu nie wróżył nic dobrego. Urażona duma w parze z urodą to u kobiet wybuchowa mieszanka.

- Jednak jesteś! Byłam pewna, że wyjechałeś.

- Nie załatwiłem wszystkich spraw.

- Musisz być bardzo zapracowany!

Nie rozumiałem, do czego zmierza. W końcu to mnie wystawiono do wiatru.

- Nie lubię narzekać, ale znam lepsze sposoby na spędzenie niedzieli niż sterczenie pod zamkniętymi drzwiami.

- O czym ty mówisz?

- Przyszedłem punktualnie o trzynastej. Mogłaś mnie uprzedzić.

- Nie stać cię na lepszą bajeczkę?

- Pukałem dobre pięć minut. Aż sąsiedzi powychodzili. I wiesz co? Dowiedziałem się, że nikt taki tam nie mieszka.

- Alek?

- Słucham?

- Byliśmy umówieni o dwunastej.

Powiedziała to - i niemal słyszałem, jak z hukiem opadają z niej napięcie i złość. Znow była miłą, dobrze wychowaną dziewczyną o niebanalnej urodzie, która pamięta, komu Punia zawdzięcza ocalenie.

- Alek, głuptasku, pomyliłeś godziny. Nie doczekałam się ciebie i wyszłam.

Nie obstawałem przy swoim. Ładnym kobietom wybacza się drobne potknięcia. A sąsiedzi? Feralnego dnia opowiedziała im o napadzie kidnaperów psów, więc najwyraźniej wzięli mnie za jednego z nich i postanowili przepędzić.

Czy mam dziś czas? Nie znam mężczyzny, który na takie pytanie odpowiedziałby przecząco. Choćby po to, by potem nie robić sobie wyrzutów. Męska próżność, fakt, ale na niej świat zbudował rodzinę, giełdy i system zakładów penitencjarnych. Kalkulowałem szybko w myślach, ale wychodziło na to, że trzynasta mi odpowiada. Zdążę spotkać się z Łatką, a jeśli szczęście mi dopisze, dopadnę autora znamienych słów o bandzie Kolesnika. Umówiłem się z Ireną Morawską punkt trzynasta przed Centralnym Domem Towarowym.

31.

Czas mnie gonił, więc o pustym żołądku pofatygowałem się do Łatki na Krakowskie Przedmieście. Ledwo znalazłem się w holu Polskiej Akademii Nauk, drogę zagroził mi portier.

- Przepustka?

- Ja do doktoranta Łatki.

Zajrzał do wyświechtanego zeszytu.

- Towarzysz doktorant Łatka - wydukał wodząc palcem po drukowanych literach. - Wasze nazwisko?

Nim minęły trzy minuty, wpadłem w Łatkowe objęcia. Szeroka twarz ekscentryka promieniowała szczęściem człowieka, który po latach lawirowania bezpiecznie osiadł na mieliźnie. Po obustronnych uprzejmościach pokazałem mu dwie kartki z trzema zarzniętymi kogutami.

- Znam - oznajmił, przebiegłszy oczami tekst w ekspresowym tempie. - Lew Sławin, *Spadkobierca*, powieść wydały Iskry w 1962 roku w nakładzie dziesięciu tysięcy

egzemplarzy.

Miałem przed sobą profesjonalistę. Byle go nie urazić nieprzemyślanym pytaniem.

- Były z książką problemy? - zacząłem oględnie.

- Natury politycznej? Najmniejszych. Człowiek nowych czasów. Poprawny od pierwszej do ostatniej strony.

- Można to gdzieś zdobyć?

Zapisał coś na kartce wyrwanej z notesu. Zrobiłem wielkie oczy.

- Strzelnica w lunaparku!?

- Tam dostanie pan najpewniej. Nawet jak pan prokurator ustrzeli powietrze, po trzech seriach dają jako nagrodę pocieszenia.

- A księgarnie?

- Chciałem panu ułatwić! W takim razie dobrze. Księgarnia „Upominek”, Nowy Świat numer 61.

Wybrałem się do księgarni „Upominek”.

- Przepraszam - próbowałem sprostować, kiedy ekspedientka przydzwigła naręcze książek - pytałem o *Spadkobiercę* Sławina.

Spojrzeniem dała mi odczuć, jak przepastna dzieli nas różnica.

- Słyszałam! Kupi pan pięć tytułów z oferty specjalnej, to w nagrodę wylosuje Sławina.

Na chybił trafił wybrałem pięć książek: Maciej Patkowski, *Sobótki* - środowisko kolejarskie na Ziemiach Zachodnich w pierwszych latach po wyzwoleniu; Zbigniew Kubikowski, *Prorok i ministranci* - dzień z życia członków konspiracyjnego plutonu w latach okupacji; Jan Bolesław Ożóg, *Odstępca* - opowiadania o ludziach wsi; Zbigniew Nienacki, *Podniesienie* - jest rok 1945, dwóch aktywistów przyjeżdża na zapadłą wieś, by pomagać dzielić między chłopów dworską ziemię; Jan Pierzchała, *Legenda Zagłębia* - o ludziach, życiu, historii i problemach Zagłębia Dąbrowskiego. Zapłaciłem i w nagrodę dostałem *Spadkobiercę* Lwa Sławina ze stemplem na okładce: „Loteria książkowa «Domu Książki»”. Na stronach 203 i 204 znalazłem bandę Kolesnika uganiającą się za kurami. Przeczytałem, jak z worka wypadają zarekwirowane chłopom trzy ukraińskie koguty, z których Stiepiwow przyrządzi risotto i ragout. Pokiwawszy z odrazą głową nad bydlakiem Stiepiwowem (marzy mu się zarzyniecie cielątek!), poszedłem na skróty do baru Praha, po drodze mijając architektonicznie kontrrewolucyjną bryłę Centralnego Domu Towarowego, udekorowaną towarami pierwszej potrzeby i pierwszomajową czerwienią.

W poniedziałek, dekretowo dzień bezmięsny, z okazji Pierwszomajowego Świąta

wyjątkowo karmiono mięsem. W barze Praha prym w obiadowym jadłospisie wiodły cienki schabowy i mielone. Była przedobiadowa pora, więc zamówiłem naleśniki z serem polane śmietaną. Schroniłem się w rogu sali i dziobiąc widelcem trzy naleśnikowe placki nie pierwszej młodości, zagłębiłem się w burzliwy życiorys osiemnastolatka Siergieja Mikołajewicza Iwanowa, o którego w 1916 roku upomniała się armia carska prowadząca trzeci rok z rzędu wielką wojnę europejską, co - jak celnie sugerowały pierwsze rozdziały - przyspieszyło polityczne i seksualne dojrzewanie młodzieńca. Popiłem łykowate naleśniki kompotem rabarbarowym i przeniósłem się z moim Sieriożą do pobliskiej kawiarni Micado na Marszałkowskiej. Dla zachowania sprawności umysłu piłem kawę za kawą, Sierioża tymczasem wyzbywał się młodzieńczych pryszczy, marzył o tak zwanej prawdziwej miłości i rwał się na burżuazyjną wojnę. Zanim jednak przywdział mundur i żrąc chude ukraińskie koguty, dojrzał do rewolucji, dał się wodzić po bezdrożach socjaldemokracji, kartami, bilardem i wódką tłamsił w sobie społeczną wrażliwość, wreszcie na kanapie Tamary Pawłowny zaznał sprzedajnej miłości, pozbywając się cnoty i stu rubli. Ja tymczasem, wyposażony w instrumentarium prywatnego detektywa, uparcie deptałem Sieriożę po piętach. Szukałem haka. Ale poza epizodem z Tamarą Pawłowną i chybioną próbą samobójstwa niczego nie znalazłem. Lew Sławin i Siergiej Mikołajewicz Iwanow byli wolni od grzechu burżuazyjnej nieokreśloności. W ekspresowym tempie doszedłem do końcowej sceny, w której zagrzmiały armaty, z kremłowskiego muru posypały się cegły i Sierioża wpadł na dziedziniec Kremla, swoim przykładem pociągając czerwonogwardzistów. Zamknąłem książkę z uczuciem, że Sławin nie przybliżył mnie nawet o pół kroku do rozwiązania zagadki trzech murzyńskich głów.

Spojrzałem na zegarek: dwunasta czterdzieści. Za dwadzieścia złotych zapewniłem sobie pierwsze miejsce w ogonku do budki telefonicznej i wybrałem wiadomy numer telefonu.

- Kto mówi? - obcesowo przerwał mi obcy żeński głos, kiedy poprosiłem o rozmowę z towarzyszem Wiesławem. Przedstawiłem się. Dokładałem starań, by brzmieć grzecznie choć stanowczo. Kończąc zażądałem:

- Proszę przekazać, że w sprawie trzech wiadomych towarzyszowi kogutów nastąpił przełom.

Kazała czekać. Po siedmiu długich minutach usłyszałem zziąjanego Halloweena-Pipkowa.

- Osiemnasta, kino letnie Jutrzenka - umówił mnie nim w dwóch zdaniach zdążyłem przedstawić jądro sprawy.

Ze Sławinem w kieszeni marynarki, puściłem się biegiem do rogu Kruczej i Alei Jerozolimskich. Wyczekawszy zielonego światła, popłynąłem z tłumem przechodniów na drugą stronę ulicy i punktualnie o trzynastej stanąłem na wprost wyrastającego na sześć pięter Centralnego Domu Towarowego, który warszawiacy nazywają „Cedetem”.

Irena pierwsza mnie wypatrzyła i pomachała ręką. Wbita w błękitny dwuczęściowy kostium eksponujący modelową figurę, stała plecami do wystawy, na której trykotażowe bluzeczki wisiały obok plakatów zachęcających naród do utrwalania sojuszu robotniczo-chłopskiego.

32.

- Awaria? - spytałem domyślnie. Wąskimi, jedynie z nazwy ruchomymi schodami gramoliliśmy się na górę.

- Czasem się psują.

Stawiałem kroki bez szemrania. Irena w obcisłym żakiecie wspinała się tuż przede mną, i był to widok o niebo lepszy niż panorama Warszawy z trzydziestego piętra Pałacu Kultury.

Wzięła sobie wolne i zamierzała spędzić ze mną resztę dnia. Rzecz jasna, na jej warunkach. Zrobiliśmy przystanek na drugim piętrze: galanteria i bielizna damska, opalacze, chińskie parasolki, indyjskie szaliki, motorowery Ryś i Komar. Ruszyliśmy prosto do stoiska z opalaczami. Mnie wydawały się odpowiednio kuse, ale Irena kręciła nosem. Nie nalegałem. Ruszyliśmy dalej. Zostawiliśmy za sobą szorty męskie i kurtki ze świńskiej skóry (trzecie piętro), walizki, pantofle, lekkie koszyczki dla pańienek (czwarte), krótko zabawiliśmy przy ręcznikach chińskich i popelinie węgierskiej (piąte) i znaleźliśmy się w Salonie Mody na szóstym.

Sklepowy radiowęzeł przerywał przeboje Paula Anki ostrzeżeniami przed plagą kieszonkowców. I.M. poruszała się między stoiskami z wdziękiem cheerleaderki. Przymierzyła letni bawełniany płaszcz „Orlica”, zatrzymała się na dłużej przy kurteczkach ze strzyżonej anilany z kapturem. Po namyśle zdecydowała się na dwuczęściowy kostium plażowy. Pociągnęła mnie za sobą do przebieralni. Czułem, że sprawy nabierają tempa. Tak czy inaczej nie zamierzałem do niczego przykładać ręki. Będzie co ma być. Najważniejsze, myślałem, że I. M. tak się ma do Julienne-Anne, jak Kerouac do literatury.

Stałem cierpliwie, w przyzwoitej odległości od przymierzalni. Zza zasłony dochodził

szelest materiału.

- Alek? - dobiegł mnie głos Ireny.

- Tak?

- Możesz mi doradzić?

Przebieralnia pozostawała szczelnie zasłonięta. Zbliżyłem się i zapukałem w drewniane obramowanie.

- Można?

- Pewnie, głuptasku. Przecież jestem ubrana.

Była wystarczająco rozebrana, bym bez wysilania wyobraźni zobaczył resztę.

- I jak?

Zapatrzyłem się. Błędnie odczytała moje milczenie, bo zaciągnęła zasłonę i usłyszałem:

- Chyba masz rację. Powinam przymierzyć tamten biały w niebieskie paski. Mógłbyś z łaski swojej przynieść?

Ekspedientka miała około czterdziestki i z jakiegoś powodu nie darzyła mężczyzną sympatią.

- Kostium? - powtórzyła, przyglądając mi się spod ściennego napisu PROSTOTA - UMIAR - ELEGANCIA. - Kobięcy kostium?

Irytujące pytanie. Innych tu nie sprzedawano.

- Linia żakietu surowa, prawie męska - zrobiła przerwę - czy raczej żakiet podkreślający biust i z podniesieniem stanu?

Wyjaśniłem nieporozumienie. Czując na plecach wzrok jędzy, szybko oddaliłem się z biało-niebieskim kostiumem plażowym. Bez pukania uchyliłem zasłonę przebieralni. Zobaczyłem parę zadbanych piersi i młodą, nawet ładną, choć zupełnie obcą twarz. Świat jakby przyspieszył. Krzyk kobiety jeszcze dźwięczał mi w uszach, kiedy jak spod ziemi wyrosła trójka w niebieskich mundurach. Milicyjne czapki mieli zapięte na paski pod brody. Zanim zdążył zebrać się tłum, zakuli mnie w kajdanki, towarową windą zwieźli na dół i zapakowali do niebieskiej warszawy z napisem MO. Ruszyła z piskiem opon.

Przez całą drogę milczeli. Nie odczytali przysługujących mi praw. Rozpoznawałem okolice. Na sygnale minęliśmy pomnik Dzierżyńskiego i dwie minuty później siedziałem na niewygodnym krześle na wprost solidnego biurka, nad którym wisiał ściśnięty ramkami i czerwienią biały orzeł.

- Obywatelu kapitanie, dostarczyliśmy aresztanta.

Kapitan miał wąską, chłopięcą twarz z przetrąconym po bokszersku nosem. Na mój

widok nie wykrzesał z siebie entuzjazmu. Biurokrata, który przestał wierzyć, że życie ma jasne strony. Stukał w maszynę do pisania. Wreszcie przerwał. Spojrzał na ścienny zegar. Trzynasta trzydzieści pięć.

- No i?

- Zaszło nieporozumienie, kapitanie. Nie jestem podglądaczem.

- Mamy mocne dowody. Ile na tych kradzionych psach zarabialiście?

Zaniemówiłem. Analizowałem w myślach to, co usłyszałem. Im dłużej nad tym myślałem, tym w jaśniejszych barwach widziałem swoje położenie. Zaszła pomyłka, która prędzej czy później się wyjaśni.

Kapitan wybrał numer telefonu, ścisząc głos powiedział coś do słuchawki. Otworzyły się drzwi i naraz serce zabiło mi żywiej, bo do pokoju weszła Irena Morawska w znajomym błękitnym zakiecie i obcisłej spódniczce. Odetchnąłem. Sprawa zmierzała ku fortunemu zakończeniu.

- Dobrze by było - powiedział kapitan poprawiając guziki munduru - gdyby przesłuchanie od początku odbywało się w obecności pani porucznik.

33.

Pocierałem pręgi po kajdankach. Kapitan Dołężny poza niechęcią do świata miał ochotę na szybki awans. Nadzieję na awans pokładał we mnie. Ponieważ nie zamierzałem mu tego ułatwiać, dzieliła nas klasyczna sprzeczność interesów.

Do tego byłem w mniejszości. Przebrawszy się w milicyjny mundur, porucznik Irmina Surmacz prezentowała dowody i zonglowała prawdą.

- Zdjęcia operacyjne - zapowiedziała twardym głosem, wysypując zawartość koperty na biurko.

- Schwytany na gorącym uczynku, hm? - skwitował kapitan i odwrócił fotografie w moją stronę.

Jakość pierwszego zdjęcia pozostawiała nieco do życzenia, ale mogłem się rozpoznać. Biegłem między parkowymi drzewami i, mówiąc szczerze, na twarzy miałem obcą mojej naturze zawziętość. Na drugim ujęciu trzymałem w ramionach wrywającą się Punię.

- Żądam kontaktu z ambasadą amerykańską.

- Wszystko w swoim czasie.

Kapitan miał głos wyzuty z emocji, co dobrze nie wróżyło. Najgorsze, co mogłem

zrobić, to milczeć.

- O co jestem oskarżony?

Pierwszy raz spojrział na mnie jak na człowieka.

- Wystarczy, że pan się przyzna. Resztę bierzemy na siebie.

Miałem w głowie zamęt. Docierało do mnie jedynie, że sprawy zmierzają w złym kierunku. Spojrzałem na dwulicową właścicielkę Puni.

- Chcę się widzieć z przedstawicielem ambasady - powtórzyłem.

- Obywatelu kapitanie, proponuję potrzymać go na dołku - zwróciła się do Dołęznego.

- Oczywiście. Czas nas nie goni - przywołał dyżurnego milicjanta. - Zaprowadźcie aresztanta do celi.

- Zaobrączkować?

Przysiągłbym, że kapitan się uśmiechnął.

- Nie trzeba. Dajcie go do celi Faflika.

34.

Stałem plecami do zamkniętych drzwi, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności. Coś zaszurało i na wysokości oczu zobaczyłem błyszczący guzik koszuli. Ktokolwiek to był, zasługiwał na wyższą celę.

- Co tu robisz?

Miał ochryply głos. Co wcale nie znaczy, że z miejsca postanowiłem spisać go na straty.

Postarałem się być miły:

- Zamknęli mnie.

- Nie znoszę towarzystwa.

- Rozumiem. Ale spróbujemy ten problem jakoś wspólnie rozwiązać, w porządku?

Widziałem tylko zarys jego twarzy. Naraz wzbilem się w powietrze, poleciałem głową w dół i plecami rąbnąłem o podłogę. Zwalił się na mnie nieludzki ciężar. Facet ważył ze sto pięćdziesiąt kilogramów.

- *Get off me, you son of a biitch...*

Tyle zdążyłem powiedzieć. Powietrze szybko ze mnie uchodziło.

Naraz poczułem, że znowu mogę oddychać.

- Amerykanin?

Potwierdziłem bełkotliwie. Podniósł mnie i troskliwie złożył na czymś miękkim.

- Faflik ze Szmulek.

Wytrzymałem uścisk jego ręki.

- Al Niczyj, Oakland, Kalifornia.

- Dla przyjaciół Markus.

- Dlaczego tak?

Milczał. Cisza przeciągała się. Odburknął:

- Cholera, nie wiem.

To powinno mnie czegoś nauczyć. Tymczasem nieopatrznie drażyłem temat:

- Przez „c” czy przez „k”?

- Co to, kurwa, za różnica?

Szybko się denerwował. Na szczęście odpowiedź przyszła mi do głowy w samą porę:

- Przez „c” byłoby po amerykańsku.

- No to przez „c”.

Faflik dosiadł się do mnie.

- Przeszmuglowałeś może trochę bajury?

Poprosiłem o powtórzenie. Tym razem szybko się zreflektował.

- Pytałem o wódkę.

- Zabrali mi nawet gumę do żucia.

- Tak tylko pytam.

Wraz z wolnością i wrigleyówką pozbawiono mnie paszportu, podróbki legitymacji dziennikarskiej, krawata, sznurowadeł i Sławina. Została mi tylko kupka atomów, do których zdążyłem się przywiązać.

- Mamusia - podjął Faflik - chciała wykierować mnie na człowieka. W czterdziestym piątym dostaliśmy unrowską paczkę z Ameryki. Miałem piętnaście lat i był już ze mnie niezły dryblas. W paczce był pierwszorzędny materiał na ubranie. Starczyło w sam raz na garnitur. Jak szedłem do spóźnionej Pierwszej Komunii, to wyglądałem jak człowiek.

- Mamusia miała rację - podjąłem ostrożnie.

- Umarła. Miała paskudne żyłaki na nogach. Kolejki ją dobiły.

- Nieludzki system - wyrwało mi się.

- Ciszej! - Położył mi dłoń na ustach. - Twoje szczęście, żeś trafił na kryminalistę.

Inny tylko by czekał, żeby wsypać. Za co cię zapuszkowali?

Dobre pytanie. Kto zawiązał psi spiszek, żeby mnie dopaść? Może partyjni wrogowie Towy? Sam Towa dla jemu tylko wiadomych powodów? Albo ci, którzy maczali palce w

zniknięciu Muraszewej? Albo Kuba Rozpruwacz Draczenko wyniuchał, że jestem na jego tropie?

A jeśli to Dederko jest w zмовie z milicją? W takim razie mogli śledzić każdy mój krok.

Ktokolwiek na mnie nastawał, tkwiłem między młotem a sierpem i nie miałem możliwości manewru.

- No, za co siedzisz? - ponaglił Faflik.

- Przez kobiety - odparłem, żeby zbytnio nie mijać się z prawdą. - A ty?

- Z winy charakteru. Przetrąciłem jednego takiego.

- Na amen?

- Wykaraska się. Potraktowałem go jak człowieka, bo byłem na bani. Na trzeźwo bym nie darował.

- Pierwszy raz?

- Recydywa. Nie odpuszczam. Taki mam charakter.

Wierzyłem mu. Spytałem:

- Co ci grozi?

- Wariatkowo.

- Może to i lepiej - skomentowałem ostrożnie. - Podlecą i wypuszczą.

- Podlecą? Niby co?

- Charakter.

- Chcą mnie wsadzić do czubków przez Alcatraz.

- Nie chwytam.

- Jak teraz mnie dupnęli, to zacząłem się domagać odsiadki w Alcatraz. - Zaszeleściło w ciemności. - Masz, przeczytaj.

- Z trudem widzę własne palce.

- Nie szkodzi, znam to na pamięć: „Cele w Alcatraz mają 40-centymetrowe mury z betonu i stali. Nie ma lepszego schronu przeciwoatomowego. Zaraz po przybyciu dyrektor Alcatraz prowadzi nas do swego gabinetu i wyjaśnia, że jeden więzień kosztował 13 dolarów dziennie.” Kapujesz, Al? Trzynaście dolców na jeden dzień? U nas to prawie miesięczna pensja! Nareszcie posiedziałbym jak człowiek.

Są sprawy z zakresu więziennictwa, o których nawet Marcus Faflik nie ma zielonego pojęcia.

- Gdzieś to wyczytał?

- W sraczu. W pociętych gazetach był kawałek o Alcatraz.

W Fafliku miałem jaskrawy dowód na to, że niedobór papieru toaletowego nieodwracalnie deformuje stan wiedzy społeczeństwa. Jak bezboleśnie sprowadzić Faflika na ziemię?

- Marcus?

- No?

- Chyba nie widziałeś całego kawałka. Pod koniec marca decyzją władz federalnych Alcatraz zamknięto.

Żle to przyjął. Widziałem, jak się kiwa. Wreszcie mruknął:

- Nie wierzę.

- To fakty, Marcus.

- Nie wierzę, że w Ameryce nie ma innych więzień.

Odetchnąłem.

- Słowo honoru, Marcus, jeśli o to chodzi, miałbyś w czym wybierać.

Westchnął dwa razy i niemal zaraz usłyszałem jego chrapanie. Straciłem rachubę czasu. Oszukany ciemnością organizm przestawił się na czas kalifornijski; dołączyłem do Faflika.

35.

Siedziałem w drewnianej ławce sztywno jak uczeń. Nade mną sterczał Kerouac i w duecie z Julienne-Anne wymieniał kąśliwe uwagi. Wystarczyło, że wyszedłem z literą za linię w zeszycie i bez ostrzeżenia dostawałem w kark zwiniętym namoczonym ręcznikiem. Robiłem błąd za błędem, więc plecy miałem jak jeden wielki siniak. Szajbus! W kaflowym piecu w kącie klasy buzował ogień - i tam go posyłałem. Wsadzałem pismaka za metalowe drzwiczki, niech się spopieli. W sumie to nie najgorsze rozwiązanie dla gościa, który pije już nawet atrament.

Tę względną równowagę między winą a zasłużoną karą zakłócił przeciągły metaliczny zgrzyt. Oho!, pomyślałem sądząc, że piec się otwiera, jest jednak sprawiedliwość. Zerwałem się na równe nogi. Oprzytomniałem na głos Faflika:

- Chyba po ciebie, Al!

W prześwicie pomiędzy uchylonymi drzwiami majaczyła umundurowana męska sylwetka.

Milicjant zajrzał do celi. Pasek czapki miał zapięty pod brodą, rękę trzymał na

otwartej kaburze.

- Siedziałeś na kiblu? - rzucił w moją stronę.
- Niedobrze - szepnął Faflik - będą cię cisnąć.

Znalazłem się w tym samym pokoju co przedtem. Zegar wskazywał, że od ostatniego spotkania z Dołężnym upłynęły niespełna trzy godziny. Kapitan na swoim miejscu za biurkiem przeglądał zawartość kilku biurowych teczek. Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Odniosłem wrażenie, że po moim rendez-vous z Faflikiem spodziewał się dużo więcej.

Posterunkowy, który eskortował mnie z celi, ustawił się pod ścianą, twarzą do mnie. Czulem na sobie jego spojrzenie.

Porucznik Surmacz przejęła inicjatywę:

- Al Niczyj, obywatel Stanów Zjednoczonych? - zawiesiła pytająco głos, udając, że czyta z kartki.

- Do tego gotów jestem się przyznać.
- Nie jesteśmy w nastroju do żartów.
- Tym bardziej ja. Czy ambasada już...
- Obywatelu Niczyj - przerwała mi - chyba nie rozumiecie powagi swojego położenia.
- Punkt dla pani porucznik. Nie mam zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.
- Przyznanie się do winy oznacza łagodniejszy wyrok.
- Mandat? Niech będzie, dla świętego spokoju zapłacę.

Patrzyłem jej w oczy, próbując dojrzeć tam cokolwiek, co by przypominało kobietę, jaką przelotnie znałem. W mundurze było jej do twarzy i najpewniej zdawała sobie z tego sprawę.

- Dziesięć lat - wyrecytowała dobitnie, choć nie podnosząc głosu. - Zapewniam was, że nie wyjdziecie nawet godzinę wcześniej. - Niespodziewanie walnęła otwartą dłonią w blat biurka, aż drgnąłem.

Dołężny pokręcił głową z dezaprobatą. Wiedziałem, co dalej się wydarzy: będą się bawić w dobrego i złego policjanta. Ograne sztuczki.

Mylilem się.

- Towarzyszko porucznik - Dołężny położył jej dłoń na ramieniu - prędzej kojfnie, niż wyjdzie. Znacie mój pogląd na te sprawy.

Zadzwoił po dwie dubeltowe herbaty i bez pośpiechu zapalił papierosa. Wypuszczając pod sufit kółka dymu, przeglądał zawartość kolejnej biurowej teczki. Może nadrabiał zaległości. Surmaczowa notowała w dużym notesie, jakby mnie ignorując. Wyszła.

Po powrocie nadal nie zwracała na mnie uwagi.

Złamałem się i pierwszy przerwałem milczenie:

- Nic na mnie nie macie.

- Bez obawy - Dołęzny oderwał się od papierów. - Mamy winnego, to i wina się znajdzie.

- Są dowody - zawtórowała mu pani porucznik.

- Psia afera? Kto w tę farsę uwierzy?

- Zapominacie o zdjęciach.

- Gdzie na nich jest napisane, że jestem gangsterem od psów? To zakrawa na...

- Dowodów mamy całkiem sporo - przerwał mi kapitan.

- Pograżyły was zeznania naocznych świadków.

- Sfabrykowane!

Wykrzyczałem mu to w oczy, ale chłopięcej twarzy kapitana nie przecięła nawet jedna zmarszczka. Wyjął z teczki dwie złączone kartki formatu A4.

- Dostyc uprzejmości! W ostatnią niedzielę węszyłeś na Dynasach. Cztery osoby niezależnie potwierdzają, że rozpytywałeś o rasowe psy. „Łaził po piętrach i niuchał, kto w kamienicy trzyma drogie rasowe pieski. Znał się na rasach, wiedział, jaki pies ile kosztuje. A najwięcej, mówił, można zarobić, szmuglując kundla do Europy”. - I co, dalej będziesz się wypierał?

Zamiast Dołęznemu odpowiedzieć, wbiłem wzrok w fałszywą Irenę Morawską. Pani porucznik wytrzymała moje spojrzenie bez drgnienia powieki. Przyniesiono dwie szklanki czarnej jak smoła herbaty. Kapitan wsypał trzy łyżeczki cukru, wymieszał i spróbował. Zapalił nowego papierosa.

- To prowokacja - odważyłem się. - Jedno wielkie kłamstwo.

- A kto podawał się za dziennikarza z Łodzi? - Surmaczowa bawiła się moim paszportem.

- Taka sama prawda jak to, że przyjechał z Ameryki zwiedzać Warszawę.

- Będę mówił tylko w obecności mojego adwokata!

- Można, pani porucznik? - Nie czekając na odpowiedź, kapitan osłodził Surmaczowej herbatę.

Miałem wrażenie, że siedzę w kinie i oglądam niemy film bez napisów. Choćbym wylazł ze skóry, ni w ząb nie rozumiem scenariusza. Wdepnąłem w inny wymiar rzeczywistości. Na nikogo nie mogę liczyć. Cabot? Dla ratowania pospolitego kryminalisty, o którym oficjalnie nigdy nie słyszał, nie będzie ryzykował naruszenia delikatnego *status quo* -

na pewno nie teraz, nie po hecy w Zatoce Świń, która o mały włos nie zakończyła się ogólnoswiatowym fajerwerkiem. Towa? Cyrano? Wyprą się znajomości ze mną. Będą ratować własną skórę. O ile oczywiście to nie któryś z nich wysmażył cały ten pasztet.

Porucznik i kapitan popijali służbową herbatę. Wskazówki zegara posuwały się do przodu. Przez zaciągnięte zasłony w oknach prześwitywały kraty. Wiedziałem, że wszystko, absolutnie wszystko może się zdarzyć. Byłem zdany tylko na siebie.

Przez pancerz milicjantki Surmacz gdzieś zdawało się przebijać jej poprzednie kobiece wcielenie. Dałem się zmylić.

- Pani porucznik - odezwałem się prosząco - pani najlepiej wie, że to kompletna bzdura. O co tak naprawdę chodzi?

- Dobre pytanie - podchwycił kapitan. Przerwał mu telefon; kapitan podniósł słuchawkę i odwrócony plecami do mnie, słuchał rozmówcy.

- To czubek góry lodowej.

- Słucham?

Porucznik Surmacz nie od razu odpowiedziała. Poprawiła się na krześle i obciągnęła zafasowaną z milicyjnego magazynu mundurową spódnicę, spod której wystawały warte głębszej refleksji nogi.

- Psi interes - kontynuowała, patrząc mi twardo w oczy - to tylko kamuflaż. Dobrze wiemy.

- Proszę dalej. Chętnie posłucham.

- Handel żywym towarem. Jak uczy milicyjna praktyka, od porywania psów do handlu ludźmi jest tylko jeden krok.

Nerwy mi puściły. Zaśmiałem się głośno. Dołączny odwrócił głowę i nie odrywając się od słuchawki, zmierzył mnie ostro.

- Co, też macie na mnie zdjęcia? - pozwoliłem sobie na ironię widząc, że porucznik otworzyła album ze zdjęciami.

- Oraz pierwsze poszkodowane. - Stuknęła palcem w jedną z legitymacyjnych fotografii wypełniających album. - Seks za pieniądze. Mamisz dziewczynę dolarami i zanim taka się spostrzeże, ląduje w zachodniemieckim burdelu.

Z niedużej fotki spoglądała na mnie Sophie. W pierwszej chwili poczułem ulgę. Odtworzyłem w pamięci scenę, jak kurewka z Chmielnej przetrząsa mi kieszenie marynarki i zrozumiałem, w jaki sposób Dołączny i spółka wzięli mnie pod lupę. Stałem się przypadkową ofiarą. Polowali na cudzoziemców. Pytanie tylko, po co?

Dołączny odłożył słuchawkę na widełki. Nie miał zadowolonej miny.

- Poczucie bezkarności, to gubi takich jak wy - ciągnęła porucznik. - Urządzać polowania nawet w damskich przebieralniach?

Dołączny szybko dopił herbatę.

- I co, wciąż domagamy się adwokata? - sarknął. - Adwokat nie pomoże ci się wykaraskać. Będziesz siedział do usranej śmierci!

- Za coś, czego nie zrobiłem?

- Liczą się dowody, Niczyj.

Dowody? Żalodne, infantylne śmiecie. Nie znam sądu, który dałby się nabrać na podobny bełkot.

Problem w tym, że o wielu rzeczach nie miałem dotychczas pojęcia.

- Rozejrzyj się - poradził Dołączny.

Rozejrzałem się.

- Zapalisz? - spytał prawie życzliwie.

Pokręciłem głową.

- Herbaty?

- Chyba jednak nie.

- No więc - zaciągnął się papierosem - widzisz tu jeszcze kogoś?

Jedno z niewielu pytań, na które mogłem odpowiedzieć bez łamania sobie głowy.

- Chcesz posłuchać rady? Jeśli zamierzasz się z tego szamba wygrzebać, tylko na nas możesz liczyć.

- Konkretniej?

- Może wiesz coś, co nas zainteresuje?

- Nie sądzę.

- Wystarczy, że będziesz miał oczy i uszy otwarte.

- Mam szpiclować?

- Uhm.

- To szantaż.

- U was tak się to nazywa. Dla nas to handel wymienny.

- Nisko mnie pan ceni, kapitanie.

- Nisko? Kupujesz sobie wolność. Może nawet życie.

Spojrzałem na panią porucznik. W końcu to jej zawdzięczałem, że próbują łamać mi sumienie. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć. Jeśli oczekiwałem podpowiedzi, to spotkał mnie zawód. Sądząc po minie milicjantki, było jej obojętne, czy spędzę resztę życia w celi, czy dla ratowania skóry zostanę konfidentem.

- Rozumiem - skwitował Dołęzny. Odniosłem wrażenie, że traci do mnie zainteresowanie. - Wolisz zastanowić się w celi.

Od odpowiedzi uwolniło mnie pojawienie się gościa. Wszedł jak do siebie. Wyglądał jak brat bliźniak Seana Connery, tyle że jeszcze szykowniej się ubierał. Pocałował w dłoń panią porucznik, zdawkowo przywitał się z kapitanem i obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

- To ten?

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

- Zabieram.

Dołęzny uśmiechnął się nieszczerze.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Plutonowy! Eskortujcie aresztanta.

- Kajdanki - przypomniał pułkownik, kiedy milicjant prowadził mnie ku drzwiom.

Ciasne kajdanki zacisnęły mi się na nadgarstkach. Ogarnęło mnie przemożne poczucie opuszczenia.

Pułkownik zatrzymał się w progu.

- Kapitanie.

- Tak jest!

- Wykonaliście kawał dobrej socjalistycznej roboty.

Wsadzili mnie na tylne siedzenie czarnej przestronnej limuzyny. Wcisnąłem się w kąt. Plutonowy zatrzasnął drzwi samochodu i zasalutował pułkownikowi. Ten obszedł limuzynę i zajął miejsce za kierownicą. Ruszyliśmy.

- Dokąd jedziemy? - zapytał pułkownik, nie odwracając głowy.

- Kino letnie Jutrzenka - dobiegł mnie z lewej znajomy głos.

Nie wierzyłem własnym oczom. Po raz pierwszy gotów byłbym Garotę wyściskać.

- Dałeś dupy - warknął.

- Dałem.

- Detektyw od siedmiu boleści!

Gorączkowo szukałem rozsądnej odpowiedzi. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

- Wszystko przez dziwki - zaryzykowałem. Bądź co bądź mówiąc tak, niezbyt mijałem się z prawdą.

Mogłem się mylić, ale chyba się uśmiechnął.

- Przy Pierwszym ani słowa o dziwkach - zastrzegł. - Wykopałby cię na zbity pysk. Mam nadzieję, że nie blefowałeś?

- Z czym?

- „Przełom w sprawie trzech kogutów” - przypomniał.

- Jezu! - jęknąłem. - Moje rzeczy.

- Depozyt! - rzucił Garota.

Pułkownik nie odwracając się, podał mu przewiązany szpagatem worek. Garota kluczykiem otworzył mi kajdanki.

Sprawdziłem zawartość worka i odetchnąłem. Schowałem paszport i wrigleyówki, wsadziłem sznurowadła do dziurek w butach i zawiązałem, Sławina zamknąłem w kieszeni. Skręciliśmy w parkową aleję i po kilkudziesięciu metrach limuzyna zatrzymała się. Wysiadłem za Garotą. Pułkownik odjechał.

- Nie zgub się. Ktoś po ciebie przyjdzie - zapowiedział Garota i zniknął za bramą kina.

36.

Jak nietrudno odgadnąć, kino letnie Jutrzenka rozlokowało się pod gołym niebem. Mówiąc dokładniej pod tym fragmentem bezkresnego nieba, które patronuje Centralnemu Parkowi Kultury i Wypoczynku przy ulicy Rozbrat. Z respektu dla praw natury obiekt przez większą część roku pozostawał zamknięty, a z nadejściem Pierwszomajowego Święta wieczorami udostępniał twarde drewniane ławki amatorom X Muzy i ciepłego piwa w butelkach.

W głowie miałem uzasadniony niepokój, w kieszeni Sławina. Od świeżo bielonego parkanu odbijały kolorowe litery filmowego plakatu. By na moment oderwać się od niewesołych myśli, przeczytałem: „CO ZA RADOŚĆ ŻYĆ. Godz. : 20:30. W roli głównej Barbara Kwiatkowska-Lass”. W sąsiedztwie aktorki Kwiatkowskiej-Lass wisiał przypominający obwieszczenie afisz z apelem następującej treści:

NIE NISZCZ i NIE PAL

własnych złotych!

Makulaturę, szmaty i odpady tworzyw sztucznych

SKUPUJĄ:

Zbiornice Surowców Wtórnych

Wokół parkanu snuły się wiewiórki i panowie w służbowych garniturach. Halloween-Pipkow osobiście pofatygował się do bramy, by mnie odebrać.

- Pełny sukces - oznajmiłem, machając Sławinem.

Obszukał mnie i kazał ruszać przodem.

- Gdyby to ode mnie zależało, nie kiwnąłbym nawet palcem, żeby cię wyciągnąć. Ale Pierwszy wciąż w ciebie wierzy.

- Jestem o krok od rozwiązania. Teraz to już kwestia czasu.

- Dwa dni, Niczyj - przypomniał. - Idę o zakład, że dasz dupy.

- *Don't bet on this* - odpowiedziałem. - Nie zawalę. *I am not going to blow the job. Man, I am not going to blow the job* - powtórzyłem dwukrotnie, by wbić kościotrupowi do głowy kolejną jednostkę gramatyczno-leksykalną. Wszystko z myślą o językowej niespodziance, którą zamierzałem mu odpłacić za wymuszoną znajomość z lufą jednego z czterech Pipkowych pistoletów.

Szedłem pierwszy, Halloween za mną na długość ramienia, mamrocząc pod nosem przykłady połączeń słów „blow” i „job”.

- Mam! - dobiegł mnie znajomy głos.

Na tle dziewiczego ekranu Jutrzenki pląsał towarzysz Wiesław. Ubrany w biały strój safari i afrykański kapelusz, jakie widuje się na filmach przyrodniczych, prawą rękę uzbroił w siatkę na motyle. Lekki wiaterek dał prosto w uwolnione od okularów oczy. Dwa kroki za Wiesławem dreptał zziąjany Kanciasty w słomkowym kapeluszu.

- Okaz! - pochwalił się Towa, gdy Garota domyślnie podstawiał przezroczysty szklany pojemnik.

- *Danaus plexipus* - zdecydował Kanciasty.

Byłem już na miejscu zbrodni, ale żaden - Gomułka ani Kanciasty - nie zwracali na mnie uwagi.

- Zwykły bielinek - strzeliłem na chybił trafił - danaidy występują na kontynencie północnoamerykańskim.

- Może zwykły, za to nasz! - odparował Towa. Założył okulary i zapatrzony na motyla, który w szklanym słoiku dożywał swych ostatnich chwil, powiedział: - Polować, Niczyj, a upolować, to dwie różne rzeczy.

- Skoro o tym mowa... - Zgodnie z planem w połowie zdania urwałem, by wydobyć na światło dzienne lekko już sfatygowanego Lwa Sławina.

- *Ki czort?*

- Strona 203 - podpowiedziałem.

Towa wyszarpnął zakładkę i otworzył książkę w miejscu, gdzie zaczynały się nieśmiertelne Sławinowe słowa o maruderach podbierających chłopom kartofle i kradnących

kury.

- I co? - rzucił Putramentowi w twarz.

- Szukałem - wykrztusił literat. - Zrozumcie, to jak szukanie igły w stogu siana...

- Spec od literatury!

- Ale bo też jaki z niego pisarz! Literacki wykolejeniec - ratował się Kanciasty, na dowód pokazując istotnie dość kabaretową okładkę (wydekoltowana młoda dama w buduarze, buduar i pozycja damy wcale jednoznaczne, całości patronował odbezpieczony i nabity rewolwer, narzędzie, wiadomo i bez Freuda, o zdecydowanie dwuznacznej konotacji).

Zamiast Kanciastemu odpowiedzieć, towarzyszy Wiesław odczytał kilka zdań ze skrzydełka okładki:

- „Lew Sławin urodził się w 1896 roku w Odessie, od 1918 do 1920 roku służył w Armii Czerwonej, w czasie drugiej wojny światowej brał udział w walkach o wyzwolenie Warszawy”.

Zamknął książkę z hukiem.

- Wykolejeniec, tak?

Odwrócił się do Kanciastego plecami, objął mnie przyjacielsko ramieniem i odciągnął na bok.

- Co ty, na Boga, wyrabiasz? - syknął mi w ucho.

- Padłem ofiarą prowokacji, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Byłem czysty. W końcu musieliby mnie puścić.

- Co ty wiesz o życiu!

- We wiadomej sprawie nie pisałem słowa.

- Wiem. Inaczej by cię tu nie było - osuszył chusteczką czoło i przetarł okulary. -

Znalazłeś ją?

- Rozwiązanie jest w zasięgu ręki. Chociaż, nie ukrywam, niejedno jeszcze może się wydarzyć.

- Mów - zażądał tonem straceńca - choćby najgorszą prawdę.

- Dopiero co Sławina dopadłem - odparłem, miną sugerując, że wiem więcej, niż mogę powiedzieć. - Od początku prawidłowo zakładałem, że chodzi o szyfr na bazie eklipsy Offenbacha. Mówiąc jak najczytelniej dla laika: numeracja stron jako logarytm postępujący, logarytm strony podnosimy do drugiej potęgi, to dzielimy przez liczbę słów w każdym pierwszym akapicie, co daje kunktator deszyfrujący w kategoriach nośnika peryferalnego informującego o przeskoku tekstowym na danej stronie, czyli o wyborze słów do odczytania, które składają się na ostateczne rozwiązanie.

Ucał mnie za łokieć.

- Zdasz, chłopcze?

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu - łąłem, bo każdy na moim miejscu by łął dla ratowania głowy - najpóźniej za dwa dni osobiście dostarczę wam Anastazję Muraszewą Koropotkinę.

Gratulowałem sobie właśnie przytomności umysłu, kiedy Towa wyjął z kieszeni słoik ze sfatygowanymi zwłokami domniemanego bielinka.

- Ot, życie, życie! - westchnął dwuznacznie, wytrząsając bielinkowe truchło na prawie majową trawę.

37.

Szedłem ze wzrokiem wbitym w ziemię, wypatrując kłód rzucanych przez życie pod nogi. Daleki byłem od upajania się wolnością. Nie patrzyłem w górę, tam gdzie arytmetyka nieba wyznaczała chwilę mego bliskiego już upadku. Kiedy wyda się szwindel z Offenbachem, Pierwszy rozkwasi mnie jak muchę, co bezpowrotnie zmieni moje kalifornijskie tweedy wraz z całą resztą w swobodnie krążące atomy, uniwersalną esencję ostatecznego *exitus*, do którego za cholere nie czułem mięty.

Ze Sławinem w kieszeni wlokłem się krok za krokiem do Hotelu Central. Opuszczałem Towę i Jutrzenkę zadowolony, że przynajmniej przez najbliższe dwa dni ponoszę jeszcze głowę na karku. Słońce zachodziło, ale urodzony optymista w każdej sytuacji wypatrzy jasny punkt. Był 29 kwietnia, zatem - w porę sobie przypomniałem - święto suwaka Sundbacka. Ta koincydencja dobrze wróżyła mojej przygodzie ze Sławinem. Równie przed półwieczem Gideon Sundback opatentował w New Jersey udoskonalony zamek błyskawiczny, praktyczny i humanitarny wynalazek, jeden z tych pozornych drobiazgów, które niosą ludzkości postęp. Patron 29 dnia kwietnia ułatwia życie milionom ludzi, od firm pogrzebowych poczynając, na animatorach boomu demograficznego kończąc.

W takim stanie nerwów wróciłem do hotelowego pokoju. Czekał na mnie wyelegantowany Bruce, by złożyć mi propozycję, którą po krótkim namyśle postanowiłem przyjąć.

38.

Półtorej godziny później:

- A gdyby tak - zagaił Awierusza, nie wiedzieć czemu gapiąc się akurat na mnie - gdyby w tej chwili stanął między nami Lenin?

- Boże uchowaj! - wyrwało się Johnowi. - Śmierć cholernie człowieka zmienia. Było nie było, to już prawie czterdzieści lat.

- A widzisz! - huknął triumfalnie Awierusza Aristow. - Czterdzieści lat, a on jakby od śniadania wstał!

- Za naukę radziecką! - wznosił toast Draczenko.

Wypiliśmy.

Siedzieliśmy w siedmiu przy dużym stole w opustoszałej już sali recepcyjnej Domu Partii: Bruce - oficjalnie w charakterze przedstawiciela biura prasowego ambasady amerykańskiej, ambasador Awierkij Aristow z Wiaczesławem Draczenką, sekretarzem do spraw prasowych, ambasador John Cabot, towarzysz Wiesław, premier. Wreszcie ja - w roli zaufanego korespondenta z Ameryki. Między nami krążyła gościnnie „Stolicznaja” - prezent od ambasadora Aristowa. W kieszeni Towy spoczywała koperta z depeszą, jaką Aristow uroczysto przekazał w imieniu pryncypała, a której zatwierdzone tłumaczenie, właśnie spływające z maszyn drukarskich w całym kraju, w jutrzejszych gazetach miało przyjąć taką oto postać:

N. Chruszczów

dziękuje za życzenia

urodzinowe

Do

I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

tow.

WŁADYSŁAWA GOMUŁKI

Do

Prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

tow.

JÓZEFA CYRANKIEWICZA

Drodzy towarzysze!

Proszę przyjąć moje serdeczne podziękowanie za najlepsze życzenia i gratulacje z okazji rocznicy moich urodzin.

Korzystam z okazji, by życzyć Wam dobrego zdrowia oraz sukcesów w Waszej

owocnej działalności dla dobra bratniego narodu polskiego i na rzecz umocnienia pokoju na świecie.

N. CHRUSZCZÓW

Moskwa-Kreml, 29 kwietnia 1963r.

- Towarzysze... - podjął Awierusza Aristow, lecz po tym wstępie urwał na nazbyt długo.

- Nowa jakość - odpowiedział mu po polsku Draczenko.

- Właśnie - podjął Aristow - gdyby w tej chwili stanął między nami Lenin, to - wiercie mi, towarzysze - powiedziałby tak: towarzyszu Aristow, towarzyszu Cabot, wspólnym trudem budujemy nową jakość.

- O czym ta gadka? - spytał mnie szeptem Bruce.

- Wspominają wspólnych znajomych - uspokoiłem go.

Z racji oficjalnej funkcji silił się na udawanie, że zna polski.

- Nowa? - powtórzył ambasador Cabot, daremnie próbując zajrzeć w małe oczy Aristowa, które ślizgały się po prawie pustej butelce. - Jakość?

- Czas razem budować przyszłość. Czwartą Międzynarodówkę. Tak by nam powiedział wizjoner Lenin.

Umysł ambasadora Cabota zatrzymał się nad Międzynarodówką jak objuczony muł nad przepaścią. Przyszedłem mu w sukurs:

- *International Fourth* - przetłumaczyłem bostończykowi prosto do ucha.

- A Trocki? - wypalił Cabot, dając dowód, że na kursach historii w Georgetown University przykładał się do nauki. - Myślałem, że czwarta już była. Czy to nie Trocki powołał do życia czwartą?

- Zdradził, *swolocz!*

- Zdradził - zawtórował mu nostalgicznie towarzysz Wiesław.

- Trzecią zbudował Lenin - przypomniał Aristow. Westchnął. - Na trzeciej, niestety, świat się zatrzymał.

Na jego znak Draczenko dobył z przepastnej kieszeni marynarki nową butelkę „Stolicznej”.

- Za czwartą - odpowiedział szeptem.

- Wypijmy za czwartą - zaproponował Aristow.

Wypiliśmy.

Cabot otrząsnął się, jakby wyszedł spod rynny. Spojrzał na mnie wzrokiem

rozgrywającego, któremu odebrano piłkę.

- *What the hell is it all about?*

Wzruszyłem ramionami.

- Rosyjska dusza - bąknąłem po angielsku. Pilnowałem się, by nie wdepnąć w strużkę alkoholu, która rosła przy moich nogach z każdym toastem.

- Trzeba... - Aristow spojrzał pytająco na swego sekretarza prasowego.

- Trzeba przeciąć tę pępowinę.

- Pępowinę? - powtórzył bezradnie Cabot.

- Skostniały układ - Gomułka pospieszył z pomocą.

- No, podziały - dopowiedział Aristow.

Draczenko:

- Idą nowe czasy.

Aristow wyjaśnił, ocierając rękawem marynarki zwilżone alkoholem usta:

- Razem, towarzysze, wykuwać przyszłość. Razem. Premier zabębnił palcami po stole.

Towarzysz Wiesław zamarł z kieliszkiem przy ustach.

- Razem - wydukał - chociaż, naturalnie, niezależnie. Twardo to zabrzmiało. Towa powiedział, co powiedział, i z miną kaskadera jał spoconą dłonią luzować wiązanie krawata. Bruce z niepokojem obserwował palce premiera wędrujące po stole.

Wąskie wargi Aristowa rozciągnęły się w uśmiechu.

- Oj, Wiesław, Wiesław! My Słowianie, wy Słowianie. Toż my waszej niezależności jak swojej pilnujemy!

- Obcym nie oddamy - zapewnił Draczenko.

- Nie oddamy. Wypijmy.

Wypiliśmy. Widzę, że Cabot za moim przykładem tylko moczy wargi, dyskretnie zrasza alkoholem podłogę.

- Czyli co? - rzuca pytanie jak kartę na stół. Skrycie mruga do mnie okiem. Bostończyk z dziada pradziada.

- Takie czasy nastały. Pora grać razem - Aristow na to. - Jak to mówią: dla pokoju światowego.

- A konkretnie?

- No, boisko jest duże. Wy na swojej połowie, my na swojej.

- Aha.

Łebski facet. Znam masę dobrych Amerykanów pokroju Cabota. Całym sercem kochają amerykański futbol, baseball, colę i orzeszki. Dobrze wiedzą, że nic tak nie odwraca

uwagi od polityki jak piłka na boisku.

- No to zagrajmy.

Aristow i jego pomagier nie tego się spodziewali. Łypią na Cabota. Metaforycznie mówi czy aluzyjnie?

- A w co? - odważa się wreszcie Aristow.

- W futbol.

- Nasz?

- Nasz. Amerykański.

Awierusza Aristow odsapnął.

- Ot, żartowniś.

- Reguły u was skomplikowane. Diabeł się nie rozezna - dorzuca od siebie Draczenko.

- A sprzęt? Stadion? - włączam się retorycznie.

- Prawda - wzdycha Cabot. - Stadionu nie ma.

Pierwszy sekretarz ożywił się.

- Za to w dupnika można grać od ręki.

- Dupnik, towarzysze - Cyrano na to z uśmiechem - to zabawa niekolektywna.

Proponuję w dwa ognie.

- *Nielzja* - Draczenko szepnął Aristowowowi.

- A, gry wojenne... - Aristow zrobił kwaśną minę. - Nam jakoś nie wypada...

Cyrano:

- My zbijamy waszych, wy zbijacie naszych. Czysta dżentelmeńska rozrywka.

- Gra edukacyjna! To co innego.

- Czym zbijamy? - pyta przytomnie Cabot.

- Piłką.

- Piłka jest? - docieka Aristow.

- Ja na chwileczkę - mruczy Towa i bieży truchcikiem do drzwi. Wszedł na korytarz, wrócił, a po jakichś trzech minutach przychodzi Garota ze szkolnym globusem pod pachą.

- Nada się?

Oczy Aristowa z podejrzliwością zawodowca omiotły kontury kontynentów i wyblakłe kolory wypełniających je państw.

- Nada - zadecydował.

- Pęknie! - przestrzegłem.

- Nie tak szybko - uspokoił mnie premier. - Rzemieślnicza robota, nie taśmowa.

- No - ucieszył się Towa - to jazda na dół.

- Za zwycięstwo - zarządził Aristow.

Wypiliśmy. Zjechawszy windą na parter, gromadą wytoczyliśmy się na wewnętrzny dziedziniec. Tam dołączyli do nas Garota, Halloween i Bezkostny. Z polecenia Towy zapalono wszystkie lampy na dziedzińcu. Cyrano przystępnie wyjaśniał reguły gry, a ja, gapiąc się na kwadrat rozgwieżdżonego nieba nad głową, oczami wyobraźni zobaczyłem świętego Chucka, jak pod płachtą „Los Angeles Timesa” śpi na plaży w Santa Monica, by nie przegapić chwili, kiedy Jezus wynurzy się z oceanu.

Po krótkiej naradzie jednogłośnie postanowiliśmy oddać inicjatywę dyplomacji: jedną drużynę poprowadzi ambasador Cabot, drugą - ambasador Aristow. Halloween i Bezkostny będą liczyć punkty.

- No to co? Dobieramy - ponaglił Cyrano.

Cabot dobierał pierwszy. Patriota o konserwatywnych poglądach - wybrał mnie. Aristow miał chętkę na żyłaste, wysportowane ciało Bruce'a. Ostatecznie poszedł po linii narodowo-partyjnej:

- Draczenko, *sjuda*.

Cabot złowił Bruce'a. Ekscelencja Aristow przywołał do siebie Gomułkę; jakby nie było, pierwszy sekretarz. Zostali premier i Garota. Kogo weźmie mój bostończyk? - myślałem nie bez obaw. Odetchnąłem: prawem starszeństwa wskazał na premiera. Teraz wiadomo, że Garota vel Samojed zasili drużynę radziecką. Ściągnęliśmy marynarki, złożyliśmy je pod murem. Draczenko się wyłamał; zapiął marynarkę na wszystkie guziki i nosa zadziera. Wzmocniłem się wrigleyówką. Aristow spocony. Wiatru jak na lekarstwo. Draczenko fałszywie pogwizdywał. Na niebie wisiał księżyc wchodzący w trzecią kwartę. Towa dopalił papierosa, przedmuchał lufkę. Zaległa cisza. Nad nami unosił się duch sportowej rywalizacji, w żyłach żywiej krążyła krew z domieszką radzieckiego alkoholu. Czekaliśmy na rzut Aristowa. Świat jakby zatrzymał się w miejscu. Po drugiej stronie murów toczyło się życie.

Przejechał tramwaj i zastukały ciężkie, źle podkute buty. To robotnicy przodujących zakładów stolicy udawali się na nocną zmianę.

Aristow zamachnął się i rzucił. Mierzył w Bruce'a, nie trafił. Zanim globus dotarł do rąk Cabota, odbił się o kamienne płyty. Wytrzymał - solidna robota, produkt sektora prywatnego.

Cabot odchylił do tyłu swoją długą sylwetkę, nabrał powietrza i cisnął globusem jak Satchel Paige piłką za swych najlepszych lat.

- Boli! - wrzasnął Gomułka.

- *Sorry!* - odkrzyknął Cabot. - To tylko gra.

- Schodzimy z boiska, towarzyszu pierwszy sekretarzu - przypomniał Halloween-Pipkow.

- Raz się nie liczy - oponował Towa, masując lewe ramię.

- Trafiony, zatopiony - powiedziałem.

- *Watch out!* - usłyszeliśmy wrzask Cabota. Za późno. Aristow babskim rzutem upolował Bruce'a.

- *Fucking game!* - warknął Bruce. Chłopak nie lubi przegrywać.

- To było za Alaskę! - skwitował Aristow.

- Okej. - Cabot zamachnął się. - A to za Gary'ego Powersa. - Mierzył w Draczenkę, trafił Garotę.

- Powers? - spytał mnie szeptem Cyrano.

- Pilot amerykańskiego U-2 zestrzelony przez Ruskich.

Zdażyłem się uchylić. Cyrano był wolniejszy. Globus skasował go północnym biegunem.

Aristow szczyrzy nierówne zęby i cedzi:

- Poprawka za Zatokę Świń!

Zostałem ja i Draczenko. Globus śmigał w powietrzu, Kuba, Berlin Zachodni, Wietnam i narody Trzeciego Świata ścierały się ze sobą. Nawet laik by pojął, że sytuacja międzynarodowa z rzutu na rzut komplikuje się. Splunąłem w dłonie i przechwyciłem rzut Aristowa. Teraz szybki półobrót i kontynentalne Chiny rozbiły się na czole Draczenki.

- Za Kerouaca!

- Nieregulaminowy rzut! Tak nie wolno! - chlpał Draczenko, masując załazek guza.

- Wolno - zripostowałem. - Towarzyszu Pipkow?

- Przepisy pozwalają - przyznał Halloween.

- *Good job*, Pipkow - pochwaliłem.

- Czyli wygraliśmy. - Premier starannie otrzepał marynarkę, zanim ją założył.

- *Nu, ładna* - wycedził Aristow, półbutem dobijając naruszony globus. - A ten, jak mu tam, Keruak - to wasz szpieg czy nasz?

39.

Tkwiałem na przydomowej ławce. Zajęty tym, czym najczęściej: czekaniem. Na nasłonecznionych płytach chodnika wygrzewały się muchy. Garota z nudów czubkiem buta

kopał trawę, przyglądając mi się spode łba. Wiatr od Wisły łagodnie wzdymał okienne zasłony w prywatnym mieszkaniu towarzysza Wiesława na Saskiej Kępie. Żulem wrigleyówkę, liczyłem godziny do krytycznego pierwszego maja, jednym uchem słuchając oratorskiego popisu Towy docierającego z okna na parterze:

- Drodzy towarzysze i obywatele! W 1961 roku sprzedaliśmy za granicę półtora miliarda jaj. Zajęliśmy drugie miejsce w światowej tabeli eksporterów. Wpływy ze sprzedaży jaj wyniosły około 35 milionów dolarów. W roku ubiegłym koniunktura na jaja nieco się pogorszyła, ale wiosną zwiększony popyt na rynku jajczarskim znów poprawił wskaźnik opłacalności eksportu. Nasze jajka, towarzysze i obywatele, są wysoko cenione na rynku światowym. Już w 1958 roku wydaliśmy specjalną uchwałę o popieraniu hodowli drobiu. Od tego czasu produkcja jaj wzrosła u nas z 4,5 miliardów do 6 miliardów sztuk. Ale jest i druga strona medalu: czas zdać sobie sprawę, że kury zjadają u nas przeszło milion ton ziarna rocznie, z czego pół miliona ton to deficytowa pszenica, którą musimy importować. Obecnie więc chodzi o to, by podnosząc nadal hodowlę drobiu, karmić nasze kury bardziej racjonalnie...

Urwał, a potem usłyszałem:

- To nie ten tekst, Pipkow!

Cisza nie utrzymała się długo. Znowu zaskrzypiała podłoga pod nogami Towy i jego niedopasowana szczeka zaczęła się na powrót zmagać ze spółgłoskami szczelinowymi:

- Drodzy towarzysze i obywatele! Ludu Warszawy i całej Polski! W dniu Święta Pracy Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przesyła wam gorące pozdrowienia! Od lat 18 każdoroczne pierwszomajowe święto dokumentuje doniosłe zmiany zachodzące w naszym kraju. Klasa robotnicza, wszyscy ludzie pracy, cały nasz naród, wcielając w życie szlachetne ideały socjalizmu, manifestują w dniu Święta Pracy swoje sukcesy i osiągnięcia...

Pipkow wychylił się przez okno.

- Zajęty. Dzisiaj was nie przyjmie! - fuknął.

Miał gębę w płamach. Wyobraziłem sobie jego wrzody na żołądku.

- Nie szkodzi - odparłem. - Przekażcie do rąk własnych.

Wręczyłem mu zaklejoną kopertę. Na pojedynczej kartce wyrwanej z zeszytu zapisałem drukowanymi literami: „Kunktator deszyfrujący w apokryfie Sławina obliczony. Wszystko na dobrej drodze. Kluczem Tamara Pawłowna i melon za dwanaście kopiejek nabyty z winy prowokatora Gurewicza. Identyfikacja melona i rzeczonoego Gurewicza kwestią godzin”.

- *Do me a favor*, Pipkow - powiedziałem.

- Łot?

- *Try not to blow this job*.

- Kis maj es.

- Brawo, Pipkow. *A damned good blow*. Popracujcie jeszcze nad akcentem.

Wróciłem do hotelu. W moim pokoju zastałem Bruce'a. Siedział przed włączonym telewizorem i z tępą miną gapił się w ekran z napisem „Przerwa”.

- Dzisiaj nici z treningu. Zawalony robotą - burknął niepytany. - Pracuje nad ważnym dokumentem.

Dochodziła czwarta. Wyłączyłem telewizor, włączyłem radio.

- W przeddzień majowego święta w trosce o poprawę jakości pracy i lepsze gospodarowanie czasem - mówił spiker bez uczucia - premier Cyrankiewicz wydał okólnik do instytucji i urzędów w całym kraju zalecający ograniczenie liczby narad i konferencji oraz wskazujący zasady lepszej i sprawniejszej ich organizacji. W szczególności konferencje z udziałem delegatów z terenu winny być organizowane tylko wtedy, gdy chodzi o sprawy, których nie można załatwić w drodze korespondencyjnej. Nie powinno się bez uzasadnionej potrzeby...

- Okej - powiedziałem. - Zwiedzimy Warszawę.

Postanowiłem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Ruszyliśmy Alejami Jerozolimskimi w kierunku centrum. Tę część stolicy miałem w małym palcu, więc z wprawą przewodnika pociągnąłem Bruce'a za sobą. Zatrzymaliśmy się przed sklepem z kolorową wystawą: egzotyczne makatki ze słomy, miniaturowe chińskie obrazy i ozdobne pantofelki damskie sąsiadowały z wazonikami z laki i kuferkami z drzewa kamforowego. Wszedłem z Bruce'em do środka i już w progu zrozumiałem swój błąd. Bruce był bardziej chiński niż cały sklepowy asortyment zebrany do kupy. Dwie ekspedientki za ladą zrobiły wielkie oczy. Młodsza migiem schowała się na zapleczu i słyszałem, jak nerwowo wykręca numer telefonu. Starsza tylko na moment straciła głowę. Nie odrywając od nas spojrzenia, chwyciła kartkę z napisem PRZYJĘCIE TOWARU i w dwóch susach była przy drzwiach. Powiesiła kartkę i otworzyła drzwi wyprasającym gestem.

- *Izwinicje* - powtarzała pokazując na przemian kartkę, zegarek na przegubie dłoni i otwarte na oścież drzwi - *mnoga raboty*.

Wyszliśmy na ulicę.

- Przerwa obiadowa - zablafowałem, zanim Bruce otworzył usta.

Rozglądałem się i zbierałem myśli. Co teraz? Podarek dla Zajcewej!, przypomniałem

sobie. Nie dając Bruce'owi czasu do namysłu, ruszyłem z nim do oddalonego kilkanaście kroków od „Chinki” sklepu z wyrobami radzieckimi pod szyldem „Nataszy”. Tutaj obyło się bez przygód. Zastanawiałem się, co wybrać: tradycję czy nowoczesność? Postawiłem na nowoczesność. Podziękowawszy za matryoski, położyłem na ladę 300 złotych i kazałem zapakować sputnik z pozytywką, która po nakręceniu grała melodię *Szyroka strana maja radnaja*. Komunizm, przekonywałem sam siebie, to postęp, więc towarzyszka Zajcewa mimo zaawansowanego wieku jest kobietą na wskroś nowoczesną. Co jak co, ale pierwszomajowy prezent ze sputnika przyjmie wdzięcznym sercem.

Upchałem sputnika w bocznej kieszeni marynarki. Spojrzałem dyskretnie na zegarek: upłynęło zaledwie pół godziny, a ja zdążyłem wystrzelać się z pomysłów. Na szczęście w tej chwili mój wzrok padł na szyld sklepu „1001 drobiazgów”. Długo się nie namyślając, zaproponowałem Bruce'owi poznanie architektonicznych różności stolicy. Minę miał kwaśną, ale nie oponował.

Zdażyłem mu pokazać Centralny Dom Towarowy, bar Praha i mającące za Domem Partii Muzeum Narodowe, kiedy zza załomu gmaszyska banku przy rondzie wynurzył się Tyrmand. Zaoferował się za przewodnika. Co chcemy zobaczyć?

Bruce po przygodzie w „Chince” popadł w sentymentalizm. Uparł się, że chce zwiedzić warszawskie Chinatown. Nie od razu uwierzył, że Polska i pod tym względem jest w tyle za Ameryką. Po długich pertraktacjach przystał na pomysł zastępczy: bazar.

- Jaki macie w Warszawie największy?

- Różyckiego - odparł Tyrmand bez entuzjazmu. - Nieciekawe miejsce. Zwłaszcza dla obcokrajowców. Coś jak wasz Harlem.

Ale Bruce nie z tych, co łatwo rezygnują. Upór odziedziczył po przodkach. Dzięki takim jak Bruce i laskom dynamitu zbudowaliśmy kolej żelazną.

- No, trudno. Trzymajcie się blisko mnie - zarządził Tyrmand kręcąc głową. Zapakował nas w tramwaj i w ścisku przekroczyliśmy rzekę.

40.

Przedwieczorne słońce nad kwartałem Targowa-Brzeska świeciło nam w oczy. Przeciskaliśmy się pojedynczo przez gęsty tłum. Dla dodania sobie animuszu żułem wrigleyówkę. Serce waliło mi jak przed szesnastu laty, kiedy pierwszy raz trafiłem do latynoskiej dzielnicy Los Angeles. Tyrmand otwierał pochód. Głowa chodziła mi na

wszystkie strony. Patrzyłem pod nogi, żeby się nie wyłożyć na dziurach w chodniku. Zerkalem w górę, bo odłazący tynk albo część balkonu mogły w każdej chwili zwalić mi się na głowę.

Przyklejały się do nas spojrzenia tubylców. Szacowali szerokość naszych barków i zawartość portfeli.

Tyrmand jakby wyczuł mój nastrój.

- Zaraz będziemy - krzyknął przez ramię.

Skręcił w prawo. Podążając za nim wąskim przejściem, weszliśmy na zatłoczony plac - między budy, kramy i przykryte gazetami drewniane skrzynki udające stragany. Pięciosobowa orkiestra cygańska grała wiązanekę popularnych melodii podwórkowych. Pod szyldem „Horoskopy” nieogolona dama wróżyła przyszłość z kształtu uszu. Dwa stragany dalej sprzedawano nieprzemakalne marynarki i zegarki na licencji szwajcarskiej. Kram z galanterią męską (ewentualne poprawki od ręki) rozdzielał dwa konkurencyjne stoiska z płytami pocztówkowymi. Minęliśmy stoiki z domowymi marynatami i flaki na gorąco, zostawiliśmy po lewej stoisko z pokarmem dla ryb i płynem na muchy „PRESTO - K”. Zapatrzyłem się na pełnoletnią, naturalną brunetkę, która ze wzruszającą nieporadnością reklamowała na sobie krajowe i zagraniczne biustonosze. Raptem ktoś zaśpiewał mi nad uchem:

- Rasowe doborowe. Łachudra przebiera, dżentelmen wybiera.

Spojrzałem kątem oka. Dragal w czapce z daszkiem handlował gołębiami. Pokręciłem głową.

- Pan jest laik w temacie gołębi, trudno. Ale pana szanowny kolega musowo zna się na gołębiach. Fachowca po minie poznam. - Gapi się na Bruce'a i rwie się otwierać klatkę. - Wyszwanca, krymki, fajfry. Lepszych pan nie znajdziesz. Nie? To może chociaż pocztowego?

- Za chude - mówi Bruce, a ja tłumaczę na polski.

- Jak to: „za chude”?

- Rosołu z nich nie będzie.

- Co? Wyszwanca na rosół?

- *Shit!* - przerywa mi nagle Bruce, macając się po kieszeni w tyle spodni. - Mój portfel!

- Tam! W czerwonej cyklistówce! - ryknął Tyrmand.

Całą trójką puściliśmy się za uciekającą Cyklistówką. Problem w tym, że czerwonych cyklistówek przybywało. Jakby cała ulica podzielila się na dwie współpracujące ze sobą

armie: uciekinierów i tych, którzy próbują zmylić pogoń.

Tyrmand Leo Warszawski z nas trzech radził sobie najlepiej.

- Wbiegł do knajpy! - wysapał, wyprzedziwszy nas o pięć kroków. Pokazywał ceglana rudere. Nad odrapanym szyldem „Oaza” trzepotała jak morowa flaga pierwszomajowa czerwień.

Dobiegliśmy. Przeczytałem: „Lokal drugiej kategorii. Otwarty codziennie w godz. 8:00-22:00”.

- No to go mamy - orzekł Tyrmand bez entuzjazmu. - Dużo tego było?

- Forse i paszport noszę tutaj. - Bruce klepnął się w kieszonkę na piersiach. - W portfelu trzymałem pamiątkowe zdjęcie od sifu Cyrano.

- Całe szczęście. - Nadrabiając miną zająłem do środka przez ciemną od dymu szybę. - Trudno, przepadło. Da ci inne.

- *Are you kidding?* - przerwał mi, kładąc rękę na klamce. - Pamiątka jedyna w swoim rodzaju. Unikat. - Nacisnął klamkę i przekroczył próg praskiej knajpy „Oaza”. Tyrmand wsunął się za nim. Obejrzałem się. Tłum tubylców na chodniku lustrował mnie fachowo. Opadło mnie wspomnienie pradziadka pod Solferino i pośpiesznie dołączyłem do Bruce’a i Tyrmanda.

Wypinając pierś pod tweedem popatrzyłem spod zmrużonych powiek. Światło nagich żarówek odbijało się od kufli, butelek i słoików z ogórkami. Przy stolikach gęsto było od znoszonych twarzy i zmiętych marynarek w kratę. Na wiekowych obrusach napoczęte półlitrowki kadziły się w dymie podłych papierosów.

Tyrmand czuwał przy drzwiach, Bruce na palcach lustrował salę. Nabrałem powietrza i podszedłem do baru.

- Szukam gościa w czerwonej czapce.

- Każdy ma jakieś hobby.

- Widziałem, jak tu wchodził.

- Krasnoludki są na świecie.

Spojrzałem na barmana ostro.

- Gdzie jest tylne wyjście?

- Wyjdź tym, którym wszedłeś.

Nie licząc goryla za kontuarem, w knajpie siedziało ze dwudziestu znających życie gości. Nie przypadliśmy im do gustu. *Who cares?* Miałem u boku Bruce’a.

Wsadziłem rękę do pustej kieszeni.

- Posłuchaj, koleś. Palant w czerwonej czapce oskubał mi kumpla. Zabierzemy, co

nasze, i zwijamy się. Nikomu nic się nie stanie.

- Bujaj się.
- Póki mówię po dobroci. Wołaj kierownika.
- Szukasz guza?
- Jeżeli tak wabi się kierownik tej nory.

Gość cierpiał na przerost mięśni. Mdłe światło żarówek oświetlało nisko sklepioną czaszkę i kwadratową szczękę boksera. Jego sto dwadzieścia kilogramów rwało się do czynu.

Z tyłu dobiegł mnie dyszkant Tyrmanda:

- Cholernie tego nie lubię, ale nie mam innego wyjścia. Dzwonię. Milicja zrobi tu porządek.

Towarzystwo przy stolikach zaniosło się śmiechem.

- Pilnuj wyjścia - poleciłem Tyrmandowi.

Oparłem się łokciami o kontuar. Patrzyłem barmanowi w oczy. Górował nade mną wagą i nieskomplikowanym światopoglądem, ale w konfrontacji z takimi jak on zazwyczaj wychodziłem na plus. Tyle że w podobnych chwilach wspomagałem się wynalazkiem duetu Smith i Wesson.

Od stolików doszło nas chóralne:

- Z byka go, Rychu!

- Bez urazy - podjąłem, z premedytacją kłując barmana w oczy amerykańską gumą do żucia - ale kawa na ławę. Jesteś chodzącym dowodem, że szanowna mamusia urodziła się za późno i nie miała szczęścia poznać Pincusa.

Dzielił nas kontuar i słój kiszonych ogórków. Marszczył czoło, nie mogąc się zdecydować, czy zabić mnie od razu, czy najpierw zaspokoić ciekawość. Ciekawość zwyciężyła.

- Co to za jeden ten Pienkus?

- Pincus. Ojciec doustnej pigułki antykoncepcyjnej.

Faktycznie wolno myślał. Marszczył czoło, patrząc na mnie spod naściennego plakatu z napisem: „BIMBER PRZYCZYNA ŚLEPOTY”. W końcu któraś z obłuzowanych śrubek w głowie wskoczyła mu na właściwe miejsce. Byłem przygotowany. Słój z ogórkami domowej roboty wylądował pośrodku jego wyrazistego krawata w kolorze odsmażanych buraczków.

Z wprawą wycofałem się, ustępując miejsca Bruce'owi. Barman przyspieszył. Zamiast obejść kontuar, postanowił zapórę przeskoczyć. Błąd. Koszące kopnięcie Bruce'a - i sto dwadzieścia kilogramów rąbnęło plecami o podłogę, kończąc jazdę u podstawy kontuaru.

Kolektyw poderwał się od stolików.

- Bić Mongoła!

Obejrzałem się na Tyrmanda: krawat zdjął i wsunął do kieszeni marynarki, ręce zacisnął w pięści i blady jak kreda przywarł plecami do drzwi.

- Nie daj żadnemu wyjść! - huknąłem. Psychologia.

Chwyciłem najbliższe krzesło i wycofałem się pod kontuar, żeby nie psuć Bruce'owi zabawy. Jak dla mnie poruszał się zbyt szybko. Zdążyłem policzyć dwie strzaskane rzepki, uraz twarzy i pękniętą kość przedramienia, zanim straciłem rachubę. Przyjęcie nie trwało długo. Bruce pozwolił niedobitkom wczłgać się pod stoliki. Podeszedł do barmana i z wprawą sanitariusza przewrócił go na brzuch. Usiadł na nim okrakiem, założył mu dźwignię na łokieć.

Przysiadłem na krześle twarzą do barmana.

- Gdzie schował się krasnoludek?

- Pierdol się!

Bruce zwiększył ucisk. Zabolalo.

- W sraczu!

Zostawiłem barmana pod opieką Bruce'a i wszedłem do toalety dla personelu na zapleczu knajpy. Śmierdziało chlorem i starością. Drzwi jedynej kabiny były zamknięte od środka. Zapukałem. Cisza. Otworzyłem je kopniakiem i ściągnąłem gościa z muszli na posadzkę.

- Portfel! - zażądałem.

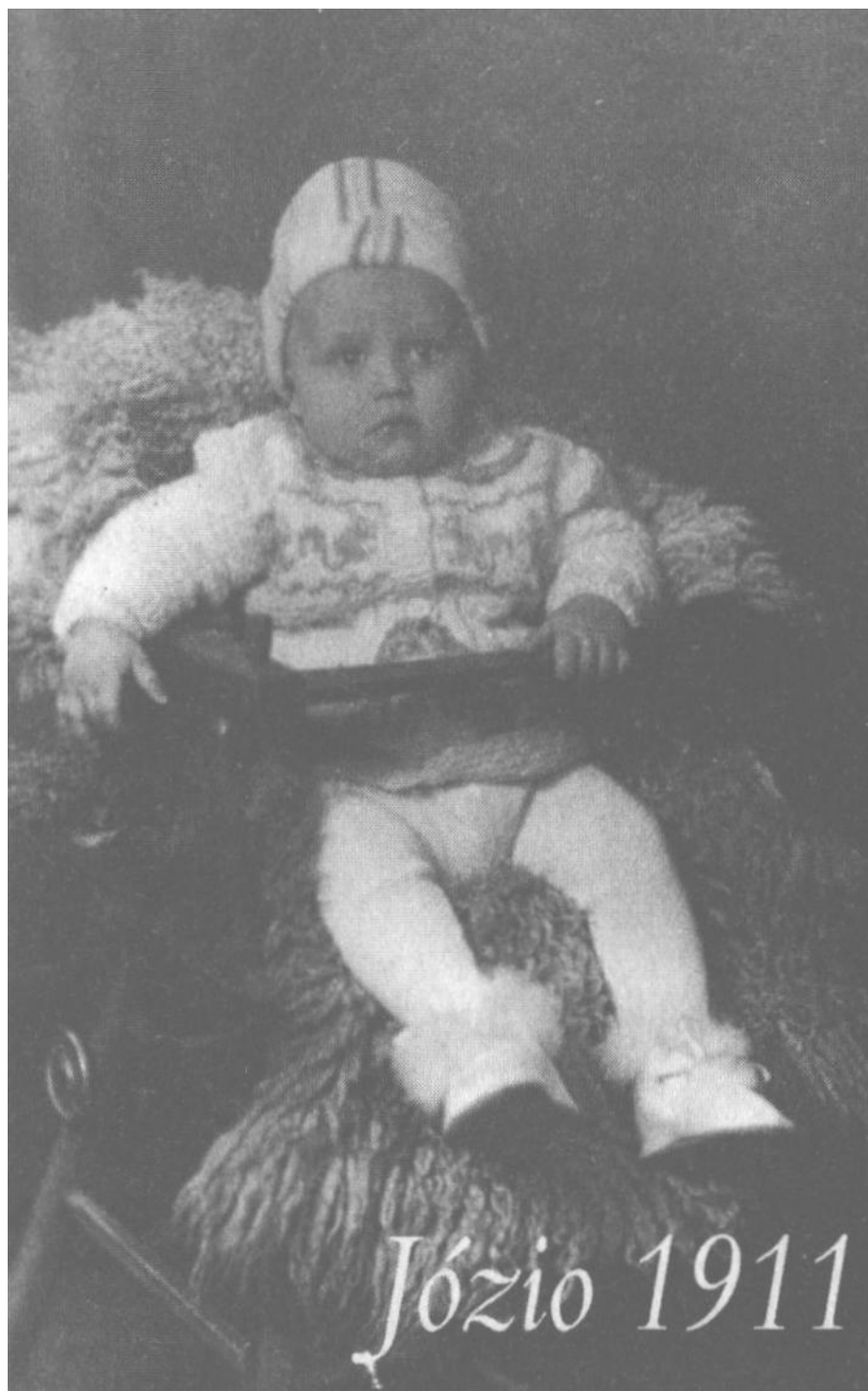
Poleciałem złodziejskiej gadzinie wyskakiwać z ubrania. Policzyłem do dziesięciu, wrzuciłem ciuchy krasnoludka do muszli i spuściłem wodę. Zapchało się. Dla pewności sprawdziłem zawartość portfela. Zobaczyłem wyrwany z gazety reportaż o turnieju karate w Oakland. Znalazłem też pamiątkową fotografię. Zdjęcie, na widok którego moje polsko-amerykańskie serce w austro-węgierskiej formalinie zaczęło w wariackim tempie pompować krew.

Zostawiwszy krasnalą, jak go Pan Bóg stworzył, w nostalgicznym nastroju wyszedłem na salę. Przerzedziło się. Barman, pomagając sobie przekleństwami i zdrową ręką, dźwigał się z podłogi.

Z miną niewiniątka podeszedłem do Bruce'a.

- Niczego nie brakuje?

Otworzył portfel i przytaknął z ulgą. Wyszliśmy na oświetloną zachodzącym słońcem ulicę. Przed „Oazą” zebrał się tłum. Utworzyli szpaler, żeby nas przepuścić. Drepcemy jak owce pędzone do rzeźni. Dojrzałem kilka znajomych gęb z knajpianego kolektywu.



- Wcale mi się to nie...

Tyle zdążyłem powiedzieć. Wzięli nas metodą „na piramidę”. Sposób stary jak świat, patent dzierzą Latynosi i dzieciaki z Harlemu. Praktyczne wynalazki bez trudu przekraczają granice krajów. Bruce nie miał nic do gadania. Pchnęli na niego dwóch najbardziej mikrych i błyskawicznie opadli go kolektywem jak banda Kolesnika rozkułaczonych chłopów. Znikł pod piramidą ciało. Próbowałem dać nogę, ale sam zostałem pogrzebany. Frustrujące uczucie. Walczyłem o łyk powietrza. Pora się żegnać, zrozumiałem. Każdy prędzej czy później spotka

swoje Solferino. Podświadomie gotowałem się na spotkanie z pradziadkiem Nietzscheym, kiedy nagle poczułem, jakby ktoś zdjął mi ciężar z piersi. Leżałem, mrugając powiekami, nade mną w oprawie cumulusów materializował się różowy skrawek wieczornego nieba. Usiadłem na chodniku. Kości miałem całe, ale sputnika z „Nataszy” diabli wzięli. Tyrmand na czworakach szukał okularów. Bruce tkwił w przyjaznych objęciach kolosa w workowatej marynarce. Imponujący wzrost i tusza, pod którą wyczuwało się masyw mięśni. Wciąż trzymając Bruce’a pod ramię, odwrócił się twarzą do mnie. Zobaczyłem habsburskie bokobrody i w tejże chwili pamięć powiodła mnie na stronę 96 Tyrmandowego *Złego*. Mówiąc precyzyjnie - scena w autobusie linii 100 na przystanku przy Nowym Świecie.

- Panie redaktorze! - huknął kolos z wyrzutem - co pan, dziecko jesteś? Z cudzoziemcem wypuszczać się wieczorem na Pragę!

Wrzuciłem szczątki sputnika do kosza na śmieci i podszedłem z wyciągniętą ręką do naszego *deus ex machina*.

- Fryderyk Kompot, zgadza się?

Otrzepał Bruce’a z kurzu i uściśnął mi dłoń.

- A, pan o tej książce! Kazimierz Bogucki. Tamto to wierutna lipa. Fryderyka Kompota wymyślił redaktor Tyrmand.

- Na Pradze - włączył się Leo, wycierając chusteczką okulary - Kazik ma ksywę Felek Szuflada.

- Szuflada? - powróciłem do tematu; było to już wtedy, gdy spacerowym krokiem szliśmy w czterech prawie pustym chodnikiem do przystanku tramwajowego obok pomnika, na którym żołnierze radzieccy obiecywali Polsce, że nigdy jej nie opuszczą. - Dlaczego?

- Z powodu wyćwiczonej zręczności rąk - odparł enigmatycznie Kompot-Bogucki-Szuflada.

- Faktycznie, sam widziałem.

- Nie w tym rzecz - wszedł mi w słowo Tyrmand. - Ma dobrą rękę do kontrabandy. Jakby chciał, to słonia przemyci. Samorodny talent.

- Z całym szacunkiem, panie redaktorze, a o kartach pan zapomniał? Nikt tak nie potrafi tasować i rozdawać - pochwalił się Szuflada, marszcząc w uśmiechu cesarskie bokobrody, zanim zatrzasnął za nami drzwi tramwaju, który zgodnie z trasą wytyczoną torowiskiem z żelazną konsekwencją ekspediował nas na drugą stronę Wisły.

Tam zaś, rozpostarte na frontonie wypucowanego Domu Partii, powitały nas dwie ikony z komunistycznego chowu świętych. Zredukowani do głów Marks i Lenin patrzyli martwym wzrokiem na uprzątnięte ze śmieci rondo, pod nimi na soczyście czerwonym tle bielił się napis: NIECH ŻYJE 1 MAJA - DZIEŃ MIĘDZYNARODOWEJ SOLIDARNOŚCI LUDZI PRACY.

Tyrmand dyskretnie splunął na podłogę wagonu.

- Chrzań to, Leo - doradziłem z fałszywym optymizmem. - Szkoda życia. Fortuna kołem się toczy.

Tramwaj nieuchronnie sunął po torach. Bruce, masując obolały obojczyk, pojękiwał na drewnianym siedzeniu. Zagrzmiało i zaczął siąpić deszcz. Polewaczka wytrwale skraplała wodą Aleje Jerozolimskie. Tyrmand skrzywił się na moją uwagę.

- Gówno - skontrował markotnie, delikatnymi palcami gniewnie miętosząc jaskrawy krawat - tutaj, w Polsce, mówimy z innym rozkładem akcentów: życie jest jak gówno na kole - raz jest w górze, raz jest w dole.

Zaoferował się odprowadzić nas do hotelu. W bramach okolicznych kamienic lokowały się pierwsze czujki nocnej zmiany, mocno wiekowe już panienki, zgodnie z niepisanym internacjonalistycznym kodeksem wiek oraz niedostatki urody skrywające pod osłoną ciemności.

- Kurwy w wieku trolejbusowym - poinformował beznamiętnie Tyrmand Warszawski. Zamieniłem się w znak zapytania.

- Poetyka liczb - dopowiedział, zegnając się uściskiem ręki. - Numery warszawskich trolejbusów zaczynają się od pięćdziesiątki.

Hotelowy neon zgotował mi miłą niespodzianką. W „HOTEL CENTRAL” z przepisowych dwunastu halogenowych apostołów dziesięciu zrobiło sobie wolne i znad frontonu mrugało do mnie swojskie „AL”. Dobry znak przed jutrzejszym dniem - uznałem, pakując się z Bruce'em do windy.

Bruce zamiast pójść do swojego pokoju, kazał się prowadzić do mnie. Zwalił się na fotel z miną wisielca. Bolały go kości i urażone *ego*. Posmarowałem mu obojczyk którymś z jego śmierdzących chińskich specyfików i pozwoliłem zasnąć w moim łóżku.

Punktualnie o północy podniosłem słuchawkę telefonu i wykręciłem pięciocyfrowy numer.

- Duński - usłyszałem prawie natychmiast męski głos. - Bernardo?

- Ten sam.

- Bardzo akuratnie stawiacie się na czas, panie Bernardo.

- Tylko co była dwunasta.

Na tym krótkim cytacie skończyliśmy wyciskanie ustalonej treści z trupa Wilusia ze Stratfordu.

- W porządku - podsumował anonimowy Duński. - Jutro - o, właściwie to już dzisiaj! - bądź pan o dziewiątej rano pod gladiatorem.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłem „gladiatora” zlokalizować. Przykładając się w fotelu do snu, łamałem sobie głowę nad nową zagadką. Zapytam z samego rana Dederkę! - postanowiłem. Próbowałem zasnąć. Odpędzałem od siebie obrazy, które mogły podrażnić żołądek i sumienie. Kafkowskie rozdwojenie doktora Utanga, smukłe nogi M.M. tudzież Józio C. i jego szczęśliwe galicyjskie dzieciństwo - wszystko to na tle politycznie niespełnionej miłości towarzyszkii Zajcewej - wciskały mi się pod zaciśnięte powieki. Jałem przysypiać, ukołysany równym pochrapywaniem Bruce'a. Półprzytomnie łykałem strzępy nocnych wiadomości sączących się z rogu pokoju, gdzie mrugało zielone oczko radioodbiornika „Diora”. Proszę, proszę - mrugnęło - mieszkający w Nowym Jorku światowej sławy kompozytor Igor Strawiński swoją najnowszą kompozycję zadedykował premierowi Chruszczowowi. A *Krzyżacy* są kinowym przebojem od Budapesztu po Ghanę. Amerykański weterynarz doktor Bebeny twierdzi, że krowom można przedłużyć życie przez zastąpienie ich naturalnych zębów sztucznymi. W przededniu majowego święta twórców radzieckich atomowych okrętów podwodnych odznaczono orderami Bohatera Pracy Socjalistycznej...

42.

Więc z czystości przegubów można snuć pewne wnioski... Przyplątało się do mnie to zdanie w ową pierwszomajową środę we wczesnych godzinach rannych - jedna z tych przekraczających umysłowe horyzonty sentencji, którymi karmiła mnie Julienne-Anne w czasach, gdy doktor Strasser gmerający krowom w zadkach nie dostąpił jeszcze zaszczytu substytuowania Kerouaca, mnie z moim literackim uwrażliwieniem skazując na banicję.

Przemyłem ręce, oczy i zjechałem windą do inżyniera Dederki.

- Gladiator? Pierwsze słyszę.

- Restauracja, kawiarnia? - podpowiadałem.

Pokręcił trupią głową.

Dochodziła siódma. Czas uciekał. Zasięgnąłem rady u Tyrmanda. Ziewał demonstracyjnie, psioczył na telefon o tak wczesnej porze; nie, o żadnym gladiatorze nie

słyszał. W desperacji zadzwoniłem do Cabota. W dyplomatycznym świecie rautów, bankietów i przyjęć kawiarniana geografia jest chlebem powszednim.

- Posłuchaj, chłopcze - wypalił, kiedy po wydukaniu przeprosin przeszedłem do sedna - przywykłem do telefonów o różnych porach. Ale nawet sekretarz Rusk, ba, nawet Kennedy, nie wydzwania z samego rana. A już na pewno nie po to, żeby zapytać o adres knajpy. Gladiator? Pierwsze słyszę. Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Restauracji nie znam, ale w Parku Ujazdowskim jest pomnik, to jakieś sto metrów od ambasady. Jedyny na całą Warszawę rzymski gladiator. Bardzo popularny wśród amerykańskich turystów z aparatami fotograficznymi.

Bostończyk. Mogłem mu zaufać. Dzięki takim jak Cabot wybiliśmy bizony i daliśmy łupnia Koronie Brytyjskiej.

Bez żalu napocząłem ostatnią paczkę płatków Quaker Oats. Starczyło i dla Bruce'a. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa dni w Oakland będę mógł sobie kupić cały wagon Quaker Oats. Zostawiwszy Bruce'a, by pod flanelowym kocem trawił w fotelu śniadanie i wczorajszą klęskę, zjechałem windą na dół.

- Na pochod? - upewnił się inżynier Dederko. Kończył serdelka na ciepło z musztardą.

- Obowiązkowo. Okazja raz w roku.

- A ja - huknął mizerną pięścią w kontuar recepcji - nawet w taki dzień na posterunku!

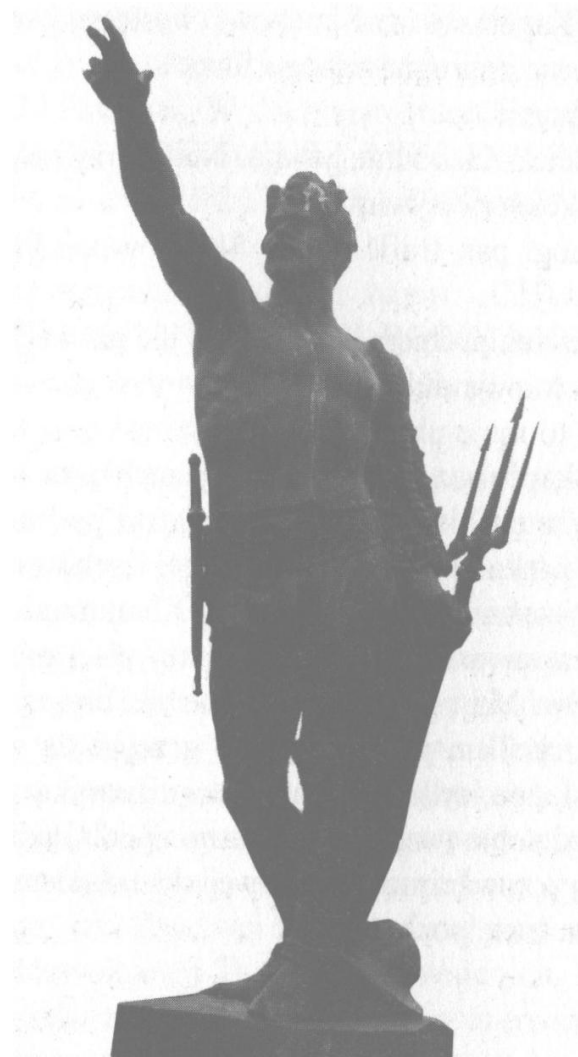
Zostawiłem rozżalonego Dederkę z serdelkiem i plakatowym Leninem w pierwszomajowej aureoli. Wysunąłem ostrożnie głowę na tętniące tego dnia życiem Aleje Jerozolimskie. Oho, na komunikację miejską to ty dzisiaj nie licz! Jezdnią i chodnikami nieprzerwanym potokiem płynęły na miejsca zbiórki pierwsze grupy manifestantów. Przebiłem się przez robotników WSK-Okęcie, na Marszałkowskiej wtopiłem się w delegację Zakładów im. Róży Luksemburg i tak dobiłem do Placu Konstytucji.

Na wysokości budki milicyjnej zobaczyłem porucznik Surmacz. Twarz kryła pod białą czapką z daszkiem, opatrzoną napisem WSS SPOŁEM. Miała na sobie długi biały fartuch, pod nim ze dwie poduszki zniekształcające figurę, ale to była ona! Handlowała watą cukrową. Do wózka udekorowanego parą papierowych chorągiewek ustawiła się kolejka dzieci i rodziców. Odbiłem szybko w lewo i znalazłem kryjówkę za narożnym stoiskiem z czerwonymi goździkami.

Wyczekawszy luki w pochodzie załóg zakładów im. Nowotki i 15 Grudnia, prześlizgnąłem się na Piękną. Przy zbiegu Pięknej i Alei Ujazdowskich przyblokowała mnie delegacja Komitetu Warszawskiego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Z megafonów płynęła Warszawianka, furkotały flagi, biało-czerwona młodzież niosła własnej roboty

transparent z zobowiązaniem, że w ramach czynu pierwszomajowego warszawski ZMS oczyści plażę miejską nad Wisłą i przygotuje nadwiślańskie tereny do letniego sezonu. Przebiegłem Ujazdowskie, wyplułem przeżutą wrigleyówkę do kosza i zgodnie ze wskazówkami Cabota wszedłem do parku od ulicy Pięknej.

Ledwo przekroczyłem bramę, zobaczyłem na cokole oddalonego o kilkadziesiąt metrów żeliwnego pseudorzzymskiego gladiatora.



Szybkim krokiem skręciłem w boczną alejkę, rozglądając się dyskretnie. Nikogo. Usiadłem na ławce w sąsiedztwie parkowej wagi. Za dwie dziewiąta. Odczekałem pięć minut, w spacerowym tempie ruszyłem wzdłuż ogrodzenia. Zmierzalem do ławki przy pomniku, kiedy zza cokołu wyłonił się i zagroził mi drogę mężczyzna w kapeluszu.

Przyłożył palec do ronda.

- Widzę, że pana uwagę zwrócił mój kapelusz.

Miał twarz trudną do podrobienia i nosił ją w sposób dający gwarancję, że nie sposób jej zapamiętać.

- Nie gustuję. - Błąd. Kapelusze ze Skoczowa występują w ponad stu fasonach i są z impregnowanego filcu.

- Wolę borsalino.

- Borsalino? Zachodnie gówno. Nie wytrzyma próby wody.

- Mam konserwatywny gust.

- Nie mógł pan trafić lepiej. Skoczowskie kupują nawet Anglicy.

- Jest pewien problem. - Wolałem nie patrzeć mu w oczy. - Wszystko kupuję dubeltowo.

- Debel to moje ulubione słowo.

Uchylił kapelusza, pozwalając, by niebieska koperta zsunęła mu się z czubka głowy i spłynęła mi pod nogi. Oddalił się w głąb parku. Podniosłem kopertę i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Książę Khan musi spać na forsie, skoro za zawartość cienkiej koperty płaci mi dziesięć tysięcy dolarów. Nie oglądając się za siebie, bramą wydostałem się na Piękną. Tam przystanąłem i grzejąc się w porannym majowym słońcu, tylko z zawodowego nawyku próbowałem przypomnieć sobie twarz indywiduum spod Gladiatora.

Z myślą o towarzysze Zajcewej skierowałem się bez entuzjazmu na trasę pochodu.

43.

Żułem wrigleyówkę z ostatniej paczki i wyczekiwałem okazji. Mała wskazówka na moim zegarku wskazywała liczbę „10”. Nad głowami tłumu falowały tysiące kwiatów i proporce. Z gęsto rozmieszczonych głośników płynęły skoczne melodie przerywane głosem spikera. Rozglądałem się w wiadomym mi celu. Obok weteranów ruchu rewolucyjnego dreptała w miejscu młodzież, dzierżąc szkolną tablicę z wypisanym białą kredą hasłem: „DZISIAJ UCZNIEM - JUTRO GAGARINEM”. Gmach PKO okupowały wielkie portrety Gomułki i Cyrankiewicza. Żywy Gomułka i Cyrankiewicz zainstalowali się na trybunie honorowej w otoczeniu członków kierownictwa partii, rządu i Rady Państwa. W czerwieni transparentów łopotąły zgodnie „NIECH ŻYJE SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI” i „NIECH ŻYJE BRATERSKA PRZYJAŹŃ POLSKO-RADZIECKA”.

Zdażyłem ogarnąć wzrokiem napis: „CHWAŁA POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ”, kiedy orkiestra zagrała hymn narodowy, a zaraz potem w burzy oklasków w mikrofon chuchnął Towa.

- Drodzy towarzysze i obywatele! Ludu Warszawy i całej Polski! W dniu Święta Pracy Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przesyła wam gorące, serdeczne pozdrowienia! Od lat osiemnastu każdoroczne Święto Pierwszomajowe dokumentuje doniosłe zmiany zachodzące w naszym kraju. Klasa robotnicza, wszyscy ludzie pracy, cały nasz naród, wcielając w życie szlachetne ideały socjalizmu, manifestują w dniu Święta Pracy swoje sukcesy i osiągnięcia w historycznym dziele wszechstronnego przeobrażania...

Hasło „wszechstronne przeobrażanie” przypomniało mi o losie towarzyszki Zajcewej i o podwójnej misji w Zakładzie Badawczo-Rozwojowym Technik Sadowniczych. Czas naglił. Spojrzałem przez ramię: na opakowanej w czerwień ciężarówce stały na sztorc portrety Lenina osadzone na drzewcach. Towa kierował serdeczne pierwszomajowe pozdrowienia do chłopów, robotników rolnych, spółdzielców i wszystkich pracowników rolnictwa, ja tymczasem chwyciłem najbliższego z wolnych Leninów i nie zatrzymywany przez nikogo, przebiłem się przez tłum na wolną przestrzeń.

Doszedłem z Leninem do Świętokrzyskiej, daremnie rozglądając się za taksówką. Włodzimierz Iljicz łypał na mnie podejrzliwie.

Przy skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Marchlewskiego dostrzegłem warszawę z charakterystycznym paskiem szachownicy. Stała na czerwonym świetle. Dobiegłem.

- Nie jeżdżę. Święto.

- To co pan robi?

- Odstawiam brykę do domu.

- Dobrze się składa - wyjąłem z portfela stuzłotówkę i otworzyłem tylne drzwi - ja też na Wilanów.

Nie bez trudu wsunąłem Włodzimierza Iljicza na siedzenie.

- Nie zafajdaj pan! - syknął taksówkarz.

Przeprosiłem. Ustawiłem portret za fotelem i wgramoliłem się do środka. Podałem adres placówki doktora Utanga.

- W drodze wyjątku - zgodził się taksówkarz i wcisnął pedał gazu.

Zerknął na mnie raz i drugi, potem zlustrował wystający znad oparcia portret. Włączył radio tranzystorowe „Czar” na tablicy rozdzielczej.

- ...na którego sztandarach łopocących nad światem od przeszło siedemdziesięciu lat wypisano na czołowym miejscu hasła pokoju i braterstwa między narodami!

- Dać głośniej? - zapytał podejrzanie uprzejmie.

Towa przeraźliwie ciamkał. Źle dopasowaną szczękę usłyszę na odległość.

- Daj pan. - Wtuliłem się w oparciu siedzenia. Gomułka życzył z trybuny długich lat życia socjalizmowi, pierwszomajowemu świętu, pokojowi i przyjaźni między narodami. Ja zaś patrząc na zafrasowane oblicze Włodzimierza, poniewczasie zastanawiałem się, czy pierwszomajowa relikwia przypadnie towarzysze Zajcewej do gustu.

Ledwo wykaraskałem się z taksówki, dostrzegłem ją w jednym z okien willi. Wypatrywała mnie z twarzą przyciśniętą do szyby. Ściskając Lenina pod pachą, dobiełem niespiesznie do furtki. Kafka, Kennedy, Koropotkina kotłowali mi się pod czaszką, nieprzyjemne ssanie w żołądku kazało pamiętać o przemijaniu. Dla przeciwwagi pomyślałem o Strasserze i w takim stanie ducha uruchomiłem przycisk dzwonka.

44.

- Prawdziwy? - zakwiliła Zajcewa.

Tłem do jej płaczącego dzisiaj nastroju były płynące z radioodbiornika „Stolica” dźwięki pierwszomajowej transmisji. Czerwone od płaczu oczy patrzyły na mnie w napięciu spod krótko przyciętej grzywki siwych włosów, w tyle szesanych i spiętych gumką recepturką. W długiej szarej sukience, ściągniętej czarnym plastikowym paskiem, przypominała mniszkę po dwutygodniowym poście. Od szarzyzny znoszonej sukienki odbijała się wielka czerwona gwiazda okolona wianuszkiem orderów, medali i resortowych odznaczeń.

Wiedziałem, że pod zgrzebnym habitem z Centralnego Domu Towarowego żyło serce bijące nadzieją, której nie wolno mi zawieść.

- Prawdziwy? - przynagliła. - Gadajże, chłopcze!

Niedonosek szpiegował nas przez szparę w nieomkniętych drzwiach. Podgłośliłem radioodbiornik i zatrzasnąłem drzwi.

- Najprawdziwszy - zapewniłem. - Stał rzut beretem od trybuny honorowej.

Wytrzymałem spojrzenie pary podkrążonych oczu. Bolało.

- Wierzę. - Odkasznęła.

Ujęła Lenina w zylaste, pokryte nagniotkami dłonie i poniosła przez pokój tam, gdzie w rogu, nad pokrytym czerwoną kapą łóżkiem, na słomianej macie ścienne podobizny Włodzimierza żyły w symbiozie z pięcioramienną gwiazdą krwistej barwy.

Wstrzymałem oddech. Chwila, powiedziałby Chuck, była szczególnej urody. Zajcewa modliła się przed domowym ołtarzykiem, z jej cienkich zsiniałych warg słowa sypały się jak

czyny produkcyjne przed pierwszomajowym świętem.

Zajcewej nie żalowano papieru, świecowych kredek i miękkiego ołówka. Od mojej ostatniej wizyty kolekcja świętych powiększyła się. Uwagę przykuwały dwie udane scenki rodzajowe: „Kazanie Lenina do marynarzy z «Aurory»” i „Gagarin melduje Leninowi wykonanie zadania”.

- A Stalin? - słyszę nagle. Na twarzy gospodyni malował się paniczny przestach.

- Ani jednego - zapewniłem. - Nawet tyciutkiego zdjęcia. Kaput.

- No i dobrze skurczybykowi. Mało nie rozwalił rewolucji.

- A Lenin żyje.

Zajcewej oczy zaszkliły się od łez.

- Mój ty Boże! Na odległość, bez osobistej adoracji, to nie to samo. Jakby cukierek lizać przez szybę! - Przewiązała drzewce portretu czerwoną wstążką i przysiadłszy na skraju łóżka, zapatrzyła się na zafrasowane oblicze Włodzimierza Iljicza. - Da Bóg, w następnym roku i ja znowu pójdę w pochodzie...

Wysunąłem głowę na korytarz. Niedonosek wyparował. Obejrzałem się przez ramię. Zajcewa nie zwracała na mnie uwagi: kontemplując nieśmiertelne łyse czoło, za którego pergaminowym pancerzem od lat dzień i noc tli się płomień rewolucji, palcami kręciła młynka.

Ścigany spojrzeniem azjatyckich oczu, wyszedłem. Z radia „Stolica” płynął głos spikera:

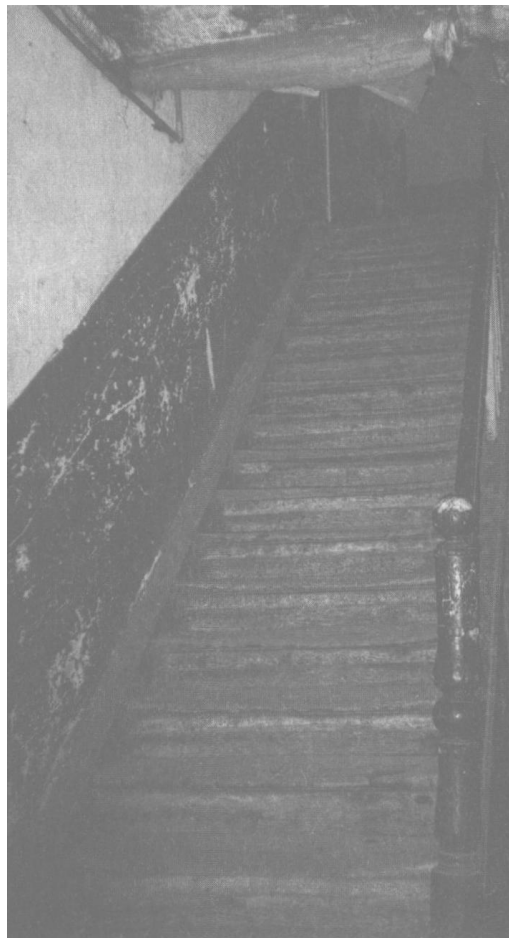
- ...od ulicy Królewskiej wyrasta wielobarwna ściana sztandarów, szturmówek i transparentów. To idzie czerwona Wola, serce robotniczej Warszawy. Idą załogi słynnej fabryki imienia Karola Świerczewskiego, zakładów imienia Kasprzaka, Róży Luksemburg oraz nazwane niedawno imieniem Juliana Grimau Zakłady Materiałów Lampowych. Do głównej trybuny zbliżają się delegacje robotników z naręczami kwiatów. Raz po raz robią się kwietne zatory. Każdy z uczestników manifestacji rad by znaleźć się jak najbliżej trybuny, by osobiście pozdrowić Władysława Gomułkę i innych gości honorowych... Zamknąłem drzwi i na palcach skierowałem się w głąb pustego korytarza. W kieszeni marynarki wymacałem klucz od Utanga. U końca korytarza skręciłem w lewo. I oto miałem przed sobą niepozorne piwniczne drzwiczki, opatrzone solidnym zamkiem, do którego - jeśli Utang nie mijał się z prawdą - klucz pasował. Nasłuchiwałem. Z zamkniętych pokoi pensjonariuszy na parterze i piętrze dobiegały niewzbudzające podejrzeń odgłosy: gdzieś śpiewał chór Czejanda, ktoś nierytmicznie walił łyżką w metalową miskę, na jakąś muszlę w mierzonych odstępach czasu spadała klozetowa deska; Niedonosek w którymś z górnych pomieszczeń przeprowadzał

musztrę wojskową, podczas gdy radiowy spiker przybliżał słuchaczom obraz pochodu: kroczący całą szerokością ulicy barwny korowód chłopców i dziewcząt w łowickich pasiakach i kurpiowskich zapaskach, pod których świąteczną fasadą kryli się przodujący pracownicy Państwowych Gospodarstw Rolnych, traktorzyści i chłopi indywidualni. Przybyli oni do Warszawy, by wspólnie z robotnikami i inteligencją zmanifestować niewzruszony sojusz wsi i miasta.

Przyłożyłem ucho do drzwiczek piwnicy. Ani mru-mru. Włożyłem klucz do zamka, przekręciłem. Nacisnąłem klamkę. Drzwiczki ustąpiły.

Zobaczyłem lepką ciemność. Wiadomo, piwnica. Zakręciło mi się w nosie. Kichnąłem.

Wyteżam wzrok - ciemno. Macam ręką po ścianie. Gdzieś musi być przełącznik. Wciąż trzymając się ściany, robię pół kroczku do przodu. I raptem stało się. Straciłem grunt pod nogami i przekoziółkowałem w dół. Chwilę leżałem bez ruchu, próbując rozeznać się w sytuacji. Obmacałem się od pasa w górę, potem od pasa w dół. Kości miałem całe. Pomagając sobie łokciami, uniosłem się i ujrzałem spowite półmrokiem, wysłużone, dalekie od lirycznych skojarzeń.



Nie na oglądanie schodów tu przyszedłem! Nie miałem czasu do stracenia. Naraz poczułem, jak czyjaś ręka przesuwa się delikatnie po mojej obtłuczonej głowie, zaraz potem pstryknęła zapalniczka i spoza butanowej aureoli dobiegł mnie znajomy głos:

- *My God, he's bleeding!*

Krwawiłem? Warto było! Zobaczyłem bowiem gładkie, wymodelowane nogi, które aż do dzisiaj widywałem jedynie na kinowym ekranie.

- Nic wielkiego! - wydukałem po angielsku.

Dałem się zaprowadzić za rękę do odgradzonego parawanem, oświetlonego gołą żarówką kąta. Wysiedziana kanapa, stolik, szafka z szufladkami, łazienkowe lustro na zagrzebionej ścianie. Toaletka z zestawem kosmetyków. Mokre rajstopy na sznurku. Kącik do higieny intymnej, z ręcznikiem frote i wałkami do włosów.

Wodą z dzbanka polała chusteczkę. Przymknąłem powieki. Chusteczką ścierała mi kurz i krew, nucąc pod nosem. Włosy i pieprzyk można podrobić, analizowałem. Ale nie ten głos. Był niepodrabialny jak coca cola.

Do głowy cisnęły mi się pytania. Zbyt wiele pytań. Gdy tak pólleżałem na sfatygowanej kanapie pachnącej markowymi perfumami, doszedłem do wniosku, że pewny mogę być trzech rzeczy: był pierwszy maja, Marilyn żyła i mogła liczyć tylko na mnie.

Podniosłem się z kanapy.

- Okej - powiedziałem. - Wracamy do domu. Pakuj rzeczy.

Potulnie zabrała się do pakowania. Ani chybi faszcerowali ją jakimś świństwem. Pomogłem jej wrzucić do plastikowej torby zawartość szuflad szafki i pociągnąłem ku wyjściu.

- Waruj! - zmroził mnie głos ze szczytu schodów.

Niedonosek.

Marilyn padła plackiem na ziemię.

- Amerykaniec! - ryknął. - Ty też!

Pstryknęło światło. Niedonosek schodził ociężale po schodach.

- A to sukinsyn! - z przejęcia aż się jąkał. - Na kolana!

- Wyjaśnijmy coś sobie, dobrze?

Próbowałem grać na zwłokę. Ale to Niedonosek trzymał w ręku pistolet.

- Amerykańska wesz! - Stał cztery kroki ode mnie. - Od początku czułem, że coś tu śmierdzi.

- Byłeś do mnie uprzedzony.

- I tak już będzie do samego końca.

Nawet jak dla mnie wszystko działo się o wiele za szybko. Ledwo zdążyłem uskoczyć. Sto kilkanaście kilogramów Niedonoska rypnęło między mnie a M.M.

- W samą porę, doktorze!

Utang zeskoczył z pleców Niedonoska. Razem zaciągnęliśmy gada za parawan, skrepowaliśmy mu ręce i nogi mokrymi rajstopami. Wziąłem Marilyn za rękę i podążając za Utangiem, przedostaliśmy się na wewnętrzny dziedziniec ośrodka.

- Samochód - zamruczał Utang. Otworzył nam drzwi furgonetki opatrzonej rysunkiem koniczynki, którą zgrabnym kręgiem obiegały czerwone litery układające się w napis „Zakład Badawczo-Rozwojowy Technik Sadowniczych”. Pokazał na zegarek, zapowiedział zdawkowo: „minutka” i pobiegł do budynku. Pomogłem Marilyn wsiąść. Pensjonariusze w oknach pokazywali nas sobie palcami. Zdążyłem tylko pomyśleć, czy towarzysza Zajcewa doczeka kolejnego pierwszomajowego święta, gdy nagle ktoś lub coś pozbawiło mnie przytomności i - jak to w takich przypadkach bywa - los Zajcewej, autorytet Stalina i konował Strasser przestali mnie zajmować.

45.

Ocknąłem się z nosem wciśniętym w oparcie fotela samochodu. Na rękach miałem kajdanki. Draczenko siedział za kierownicą furgonetki. Obok mnie Aristow. Marilyn posadzili w tyle. Nuciała piosenkę o brylantach, fałszując z uczuciem. Wzrok miała nieprzytomny. Bolał mnie kark i we łbie huczało, jakby ktoś przetaczał tam kamienie.

- Czemu to tak, Awieriusza?

Aristow dziabnął mnie lufą pistoletu pod żebro. Nie odezwał się słowem.

- Stul pysk - warknął Draczenko. Wcisnął pedał gazu i furgonetka jednym skokiem pokonała bramę wjazdową.

Przed oczami mignął mi gipsowy sierp z młotem. Strażnik z pepeszą zsalutował. Flaga Sojuza na budynku furkotała zwycięsko. Marilyn kaleczyła piosenkę. Z lusterka wstecznego patrzyła na mnie gęba Draczenki. Przecieliśmy podjazd, objechaliśmy kompleks budynków. Wyrosła przed nami betonowa ściana. I nagle zapadliśmy się w tunel, jak nóż wchodzi w tortowe ciasto. Aristow wolną ręką wytarł twarz chusteczką. Draczenko wcisnął hamulec. Wysiadł z samochodu.

- Koniec jazdy, Mister Niczyj. To się nazywa mieć pecha, co?

- To jeszcze nic - odpowiadam dla zyskania na czasie, bo nic mądrzejszego nie chce

mi przyjść do głowy - o prawdziwym pechu to mógłby mówić pewien pasażer japońskiej kolei państwowej.

Draczenko nie podchwytuje tematu. Za to Aristow, komunistyczny kosmopolita, ożywia się.

- Bo co? - pyta.

- Jechał sobie pociągiem ekspresowym relacji Jokohama - Ofumo. Właśnie konsumował kolację w wagonie restauracyjnym, kiedy z pociągu jadącego z przeciwka wyskoczył w celach samobójczych pasażer. Samobójca dostał się pod ekspres, stracił życie i nogę. Kończyna, odrzucona z wielką siłą, rozbiła szybę wagonu restauracyjnego i zabiła na miejscu niespodziewającego się niczego gościa, kiedy zabierał się właśnie do sałatki z krewetek.

Aristow skrzywił się.

- Jak można lubić krewetki!

- Wysiadka! - przynaglił mnie rykiem Draczenko.

Wygramoliłem się za Aristowem. Draczenko włączył światła furgonetki. Pchnął mnie, aż się zatoczyłem.

- Pod ścianę.

Zignorowałem pismaka.

- Awieriusza - zwracam się do Aristowa. Hierarchia obowiązuje. - Dlaczego mielibyśmy sobie czegoś nie wyjaśnić...

Aristow minę ma niepewną, za to Draczenko na mnie z mordą:

- Stul pysk!

Zrobiło się nieprzyjemnie. Byłem po niewłaściwej stronie lufy.

- Nie szarżuj, Niczyj - zajazgotał Aristow. - Pamiętaj, że mam pistolet wycelowany prosto w twoje serce.

- To u mnie najmniej czułe miejsce.

Jakby się zawahał. No więc ja mały kroczek do przodu.

A Aristow jak nie huknie:

- Jeszcze krok, a cię zastrzelę!

- W takich okolicznościach, usiądę.

- *A job twaju mać!* - Opuścił pistolet. Wzrok mu się rozmarzył. - Czy to nie z *Casablanki*?

- *Z Casablanki.*

- Widziałem ze sto razy.

- Ingrid Bergman?

Awierusza zawahał się.

- To też. - Zapatrzył się przed siebie, nieuzbrojoną ręką wodził po zmarszczonym czole. - Bogart, to dopiero był gość!

- Klasa. Zwłaszcza jako Sam Spade. Albo Rick Blaine. - Zacytowałem z pamięci: - „Właśnie straciłem dwadzieścia tysięcy. Chciałbym je odzyskać”.

Na co Awierusza jak z nut:

- „Powiedzmy, że dziesięć. Jestem tylko biednym skorumpowanym urzędnikiem”. - Zakończył kwestię kapitana Renault i stuknął mnie przyjaźnie w plecy. - Niech mnie, Niczyj! Gadasz jak z kartki.

- Znam na pamięć wszystkie kwestie.

- Renault, Rick, Strasser, lisa?

- Dla mnie bułka z masłem. Laszlo, Sasza, Berger i cała reszta obsady. Pytaj, Awierusza, o kogo chcesz, mam ich wszystkich w małym palcu.

- Wybudź mnie w środku nocy, Alosza, a każdą rolę wyrecytuję od dowolnego miejsca.

„Alosza”? Brzmiało zachęcająco.

- „Louis - zacytowałem Ricka Blaine’a - coś mi się zdaje, że to może być początek pięknej przyjaźni”.

Przyjaźń przyjaźnią, ale wiele bym teraz dał, by znaleźć się na powrót w zamkniętej celi komisariatu milicji, pod fachową opieką Dołęznego i porucznik Surmacz.

Aristow rozczulił się:

- Dorosły chłop jestem, a ile razy oglądam, zawsze ryczę.

Rozdzieliła nas facjata Draczenki.

- Nie uchodzi, towarzyszu ambasadorze. Amerykański film wychwalać...

- Film z czterdziestego drugiego! Antywojenna wymowa. W czterdziestym drugim, towarzyszu Draczenko, biliśmy faszystów razem z Amerykanami. Co wy, młodzi, wiecie...

Słowa, które do niedawna nie przeszłyby mi przez gardło, wyrwały mi się teraz prawie same:

- Czy ktoś ci mówił, Awierusza, że z profilu jesteś wykapany Bogart?

- A, gadanie.

- Towarzyszu Aristow - Draczenko pozieleniał na gębie - kończyć trzeba.

Aristow spojrział na zegarek. Westchnął.

- Żal, Alosza!

- Bo?

- Rozwalka.

- Pod ścianę - zawarczał Draczenko.

- Nie płacz, Awierusza - walę jak na scenie, choć strach gardło ściska - śmierć każdemu pisana.

A ambasadorowi Sojuza broda się trzęsie.

- Ty się tak o śmierć nie napraszaj, co?

- Jak rozkażesz, Awierusza.

Zabiłem mu klina. Myśli.

- Zagramy - mówi wreszcie. - Los zadecyduje.

- No to gramy - ja na to. Życ się chce, oj, chce!

- Jeśli wygram - Awierusza majstruje przy broni - to idziesz pod ścianę. Jak do ciebie szczęście się uśmiechnie, odpoczniesz u nas czas jakiś w kołymskim ośrodku, rozumu nabierzesz.

Piekielnie mało wiem o kołymskim ośrodku. Ale wszystko lepsze od bezpośredniego kontaktu z kawałkiem ołowiu.

- To zdrada, towarzyszu pułkowniku! - piekli się Draczenko.

- A ty, Wiaczesław, pomyśl. Dla partii większa radość z jednej pozyskanej owieczki niż z kolektywu sprawdzonego na setkach zebrań.

- A w co mielibyśmy grać? - przerywam grzecznie.

- W *Casablankę*. Kto pomyli tekst, przegrywa. Gramy do pierwszej skuchy. Zaczynaj, Alosza.

Kamień spada mi z serca. Wszystkie role z filmów Bogarta mam wykute na blachę.

- Bardzo proszę. Major Strasser i kapitan Renault, scena w knajpie Ricka po odśpiewaniu *Marsylianki*. Gotowy?

- Dawaj.

- „Sam pan widzi, kapitanie, że nie panujecie w pełni nad sytuacją”

- „Drogi majorze, współpracujemy z pańskim rządem, ale nie możemy nakazać ludziom, jak mają myśleć”.

- „Kapitanie Renault, jest pan całkowicie pewny, po czyjej stronie pan stoi?”

- „Nie mam żadnych przekonań, jeśli o to panu chodzi. Patrę, skąd wieje wiatr” - kończy Aristow i uśmiecha się pyszałkowato.

Już wiem, że łatwo mi z ambasadorem nie pójdzie.

- Mój ruch - cieszy się Aristow. - W knajpie u Ricka, pierwsza rozmowa Ugarte i

Ricka: „Napijesz się ze mną, Rick?”

- „Nie”.

- „Prawda, zapomniałem, ty z nikim nie pijasz. Powiedz szczerze, pogardzasz mną?”

- „Nie zastanawiałem się. Tak, pogardzam”.

- „Uważasz mnie za pasożyta?”

- „Tak - deklaruję za Ricka - za nędznego pasożyta”.

Mówię to patrząc Aristowowi w oczy, a temu gęba śmieje się od ucha do ucha. Wyższość sztuki nad życiem. Możesz bezkarnie mówić, co ślina na język przyniesie.

Ambasador chrząka ponagląco, Draczenko stuka paluchem w cyferblat zegarka. Marilyn w furgonetce opiewa uczucie dziewczyny do brylantów.

Chwyć się sposobu. Podejdę gada na miłość.

- Rick i lisa w Paryżu przed wkroczeniem Niemców: „Zastanawiam się, jak to możliwe, że to ja jestem tym szczęściarzem, którego wybrałaś”.

Aristow, z buzią w ciup:

- „Dlaczego nie ma nikogo w moim życiu? Ktoś był, ale już nie żyje”.

- „Przepraszam. Nie powinienem był pytać. Zapomniałem o naszej umowie”.

- „Niech ta jedna odpowiedź wystarczy za wszystkie”.

Już myślałem, że zwycięstwo mam w kieszeni, a Aristow bierze mnie w ramiona i wpina mi się w usta wargami zimnymi jak rybie łuski. Nim zdążyłem się otrząsnąć, rzuca do boju półoficjalne przesłuchanie Ricka przez nazistów Strassera i Heinze'a. Ja robię za Ricka, Awieriusza, Bogu dzięki, obstawia obu hitlerowców.

- „Przyjechał pan tu z Paryża, kiedy został zajęty?”

- „To - odpowiadam - żadna tajemnica”.

- „Jest pan jednym z tych, co nie potrafią wyobrazić sobie Niemców w pańskim Paryżu?”

- „To niezupełnie mój Paryż”.

- „A Niemców w Londynie?”

- „Porozmawiamy, jak tam dojdziecie”

- „A w Nowym Jorku?”

- „W Nowym Jorku, majorze - cedzę przez zęby, bo cholerne kajdanki wpinają mi się w przeguby - są dzielnice, których bym wam nie radził zajmować”.

I patrzę na towarzysza ambasadora z miną profesjonalisty. Arytmetycznie jest dwa do dwóch.

- Zgadza się - konkluduje niechętnie Aristow. - Twoja kolej, Alosza.

- Towarzyszu pułkowniku! - wściekł się Draczenko. - To przecież, wybaczenie, kontrewolucja!

- Wy mnie, towarzyszu majorze, rewolucji uczyć nie będziecie!

- Postępujecie nieetycznie!

- Tere-fere! Psa ubić - żadna sztuka. A zmusz go, żeby z ręki jadł, żeby was jeszcze lizał po cholewkach, to dopiero sukces. - A do mnie: - No, zaczynaj:

Jak Aristowa podejść, od której strony zaatakować - główkuję. A ten przynagła:

- Hej, to nie szachy! Liczę do trzech: raz, dwa...

- Mam - zagajam z chytrą miną, choć nie robię sobie wielkich nadziei - scena w kasynie u Ricka z gośćmi z Amsterdamu i kelnerem.

- Mówisz o Carlu? - upewnia się Aristow.

- Aha. Ja obstawiam role gości, ty wcielasz się w kelnera.

- Wstyd! - drze się Draczenko.

- „Kelner” - wołam na Aristowa.

- „Tak, proszę pani?”

- „Spytaj Ricka, czy nie napije się z nami?”

- „Nigdy nie pija z gośćmi?”

- „Powiedz mu - wskakuję w skórę dżentelmena towarzyszącego obu damom - że kieruję drugim co do wielkości bankiem w Amsterdamie?”

- „Drugim? Nie zrobi to na nim wrażenia. Prezes największego jest teraz u nas chłopcem na posyłki?”

Nie wierzę własnym uszom. Goście od Ewangelii mieli rację. Chuck miał rację. Jednak Bóg istnieje.

- No toś się, Awieriusza, przejechał!

- Łżesz!

- Carl w tym miejscu mówi: „kucharzem”; „chłopcem na posyłki” jest u Ricka ojciec byłego prezesa banku.

- Diabli nadali!

- Wygrałem, Awieriusza.

Milczy, milczy. Wreszcie wydusza:

- Wygrałeś.

- Ubiję, towarzyszu ambasadorze! - krzyczy histerycznie sekretarz prasowy.

- Nie wolno, Wiaczesławie Nikorowiczu. Niehonorowo. Duma mi nie pozwala. Pakuj gada do wozu.

Drań, widzę, staje plecami do Draczenki. Co z oczu, to z serca. Taki u niego honor. A Draczenko smyk ręką do kieszeni marynarki i mierzy do mnie ze lśniącą nowością zabawki.

Już wiem, że przyjdzie mi oddać życie w pierwszomajowe święto gdzieś w czeluściach radzieckiej ambasady i nawet Chuck po mnie nie zapłacze.

Staliśmy naprzeciw siebie, ja i Draczenko, odgradzeni szybkostrzelnym pistolecikiem. Dwie kupy mięsa, z których świat ma znikomy pożytek, bo nie da się nas przerobić na kotlety, o tak zwanych wyższych racjach nie wspominając.

Gotowałem się na ostatnią drogę. Nagle widzę, z czarnego wylotu tunelu wypada nieoświetlona czarna limuzyna zbrojna w proporczyk Sojuza, ostrym łukiem omija mnie wrośniętego w ziemię i przetacza się z rykiem silnika nad Draczenką. Zatrzymała się, i kto wysiada? Dyrektor Zakładu Badawczo-Rozwojowego Technik Sadowniczych.

- W samą porę, dyrektorze Utang - cieszy się Aristow. Z krzywą miną wskazuje mnie uzbrojoną ręką. - Szpiega złapaliśmy.

Utang w dwóch susach jest przy Aristowie. Rękę z pistoletem chwycił w przegubie, przekręcił, aż chrupnęło.

- Aj, nieładnie, towarzyszu ambasadorze - artykułuje prawie bez potknięcia. - Nazywam się Piotruś. Czerwony Piotruś.

Aristow przeląkł się.

- Kto zdradził? - Na jego oczach behawioryzm Pawłowa wędrował do lamusa. Model socjalistycznego wychowania sypał się jak mumia Lenina.

- Kafka - ja na to z głupia frant. Sam przeżywałem konflikt sumienia. Brałem odwet na literaturze, a przecież jednocześnie stawałem się jej dłużnikiem. - Kafka plus gruziński koniak kontra postęp wymuszany batem.

46.

Czerwony Piotruś pewnie dzierżył kierownicę furgonetki. Prowadził wolno, bo tunel zwężał się stopniowo.

- Jak cię wpuścili? - zagałem.

- Mam stałą przepustkę.

Aristow zazgrzytał zębami.

Byliśmy w komplecie. Czerwony Piotruś za kierownicą, rozbrojony Aristow na siedzeniu obok, ja za plecami Awieruszy opiekowałem się jego pistoletem, Marilyn po mojej

lewej ręce szlifowała pilniczką paznokcie. W tyle wozu, na podłodze, w sensie medycznym gotów do pochówku, spoczywał tłumok w sfatygowanej garniturze, z twarzy podobny jeszcze do Draczenki.

- Co teraz? - pytam, bo raptem tunel rozdzielił się. Po minie Piotrusia zgaduję, że nie wie, którą odnogę wybrać.

Piotruś rzucił monetę.

- Pałac - oznajmił i skręcił w lewo.

Jechaliśmy tak z pięć minut, kiedy oślepił nas silny snop latarki i drogę zagroziło nam pół tuzina obywateli w połowych mundurach.

- Nasz Amerykanin! - dobiegł mnie znajomy głos. Otworzyłem oczy. Bezkostny. Pomagając sobie latarką, robił przegląd furgonetki. - A, i towarzysz ambasador. Ale gościa wieziecie! No, no! To się towarzysz pierwszy sekretarz ucieszy!

Mając Bezkostnego za przewodnika, pokołowaliśmy jeszcze ze trzydzieści metrów. Bezkostny każe wysiadać. On w przedzie, my gęsiego za nim. Na ścianie metalowa drabinka. Każe stanąć, sam hyc po drabince, klapę podnosi i macha do nas ręką. Drapiemy się jego śladem. Ciemno, duszno. Bezkostny latarką oświetla pomieszczenie. *Ki czort!* Naczepa ciężarówkę? Bezkostny kładzie palec na ustach. Cicho gramolimy się na zewnątrz, na kolanach w tempie klaustrofobów pokonujemy ostatni odcinek. Bezkostny podnosi płachtę materiału i jak spod kurtyny do środka wpada światło dnia, przez łzy widzę gmazysko Pałacu Kultury, a z tyłu dobiega mnie wzmocniony mikrofonem radosny męski głos:

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu! Załoga „Drucianki” raz jeszcze pragnie wam podziękować za niedawne odwiedziny w fabryce i obiecuje, że wasze wskazania zostaną zrealizowane jeszcze w tym roku!

Odwróciłem się i zadarłem głowę. Na trybunie towarzysz Wiesław. Odwrócony do nas plecami, macha ręką, robotnicy „Drucianki” wiwatują, Towa życzy im dalszych sukcesów w pracy. Obok Towy, na tle tuzina zagarniturzonych pleców, jasny prochowiec premiera. Bezkostny wspiął się po schodkach w tyle trybuny, poszeptał chwilę z Halloweenem-Pipkowem, ten tylko raz na nas spojrzął i spieszy z meldunkiem do Towy.

Towa odwraca się, przeciera chusteczką okulary. Przywołuje mnie nagłym ruchem ręki. Idę.

- Brawo, Niczyj! No, ja od początku w was wierzyłem.

Zerkam za siebie i co widzę? Anastazja Muraszewa Koropotkina we własnej osobie! W ondulowanej peruce kasztanowego koloru Marilyn przetransponowała się w duplikat znanej mi ze zdjęcia zasłużonej artystki ZSRR, właścicielki Orderu Lenina i obcisłej bluzki z

dyskretnym dekoltem.

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu - mówię łamiącym się głosem, który postronnym mógłby się wydać odzwierciedleniem wrodzonej Niczyjemu skromności - melduję wykonanie rozkazu.

47.

Klaustrofobia jest chorobą dotykającą nielicznych. Myślałem tak aż do dzisiaj. Gdy padło hasło do odwrotu, bo Towa - zajęty przyjmowaniem meldunków i kwiatów - nie mógł nam poświęcić uwagi przez najbliższe dwie godziny, kiedy więc pod przewodnictwem Bezkostnego zapadliśmy się ponownie pod trybunę z ciężarówek i stanęliśmy przed płataniną tuneli, skoro wreszcie oczami wyobraźni zobaczyłem tony ziemi i betonu wiszące nad głową, zmieniłem zdanie. Życie wymusza korektę postaw. Jeżeli nie teraz, pojąłem, to najpóźniej za pięć, dziesięć minut czeka mnie powolna, pewna śmierć.

Co Koropotkina robiła w skórze Monroe? I *vice versa*? Nie sposób też było nie zadać drażliwego pytania: której z nich dwóch prezydent Kennedy pozwalał masować chory kręgosłup?

Bezkostny uszedł z nami kawałek, przystanął. Dalej mu iść nie wolno. Dopóki Towa na trybunie, Bezkostny i reszta oddelegowanych towarzyszy muszą tkwić na posterunku. Ponawia zaproszenie do Towy na czternastą, przypomina adres. Teraz radźcie sobie sami.

Stoimy już przy furgonetce.

- Podjedźmy do mnie - kusi Aristow. - Poczęstuję, ugoszczę. Dwie godzinki przyjemnie zlecą.

Co tu dużo gadać, straciłem do Awieruszy zaufanie.

- Na ziemię! - rozkazuję i podstawiam draniowi nogę. - Mów prawdę!

Marilyn klaszcze. Po minie Czerwonego Piotrusia widzę, że jest po mojej stronie.

- Draczenko - chlipie Aristow - sam jeden, intrygant, wszystko wymyślił. Powiem, jak było. U siebie trzymam dokumenty, chętnie pokażę. Porozmawiamy jak sojusznik z sojusznikiem.

- A jaki z ciebie, Awierusza, psie fałszywy, sojusznik?

- A *Casablanca*? A majorów Strasserów i resztę tej faszystowskiej bandy to kto tłukł?

Historię wywleka, jego sprawa. Milczę.

- Przy okazji, Alosza - kusi - świątecznym obiadem poczęstuję. Koniak francuski każę

podać!

- Łże! - burczy Czerwony Piotruś. Bierze Aristowa za kołnierz i siłą sadza w furgonetce. Sam pakuje się za kierownicę. - Siadaj, zawiozę.

- Dokąd? - pytam.

- Instynkt, instynkt - mówi i owłosionym paluchem pokazuje nos.

Zatrzymaliśmy się u rozwidlenia podziemnych dróg. „Biały Dom” - mruczy do siebie Czerwony Piotruś i daje w lewo. Stajemy. W ścianie metalowe drzwiczki. Górą biegną kable w osłonie, wystaje skrzynka, coś w niej huczy za osłoną z siatki. Wentylacja. Czerwony Piotruś zdejmuje marynarkę, podwija rękawy koszuli. Gorąco. Ambasador Sojuza uszami strzyże jak królik w kapuście. Gdzieśmy go przywieźli? Przecież on, dyplomata naziemny, kanałami nie chodzi.

- Koniec jazdy - oznajmia Czerwony Piotruś. Łokciem elegancko nakierowuje Aristowa na drzwi.

- Otwieraj - mówię.

- Czym?

- A tym - trącam go w krzyż lufą.

Obmacał paluchami framugę drzwi, tu i ówdzie ponaciskał - otworzył. Wchodzimy. Czerwony Piotruś pierwszy, ja z Aristowem za nim. Dla twojego bezpieczeństwa, szepcę Awieruszy do ucha, palec trzymam na spuście.

Pomieszczenie nieduże, ubogie w meble, światło oszczędne, wyciszone ściany. Klimatyzacja pracuje pełną parą. Błyskają lampkami trzy fikuśne radioodbiorniki ustawione na metalowym biurku wzdłuż ściany, czerwienią się dwa rzędy telefonów. Przy biurku, plecami do nas, siedzi wymoczek w samej koszuli. Kiwa ostrzyżoną na jeża głową, na uszach ma słuchawki, kręci gałką radia. Obute nogi ulokował na biurku.

Chowam pistolet do kieszeni. Z Awieruszą robię kilka kroków do biurka, ściągam wymoczkowi słuchawki. Zerwał się na równe nogi.

- Towarzysz Smoliński - Aristow przedstawia wymoczka - dział ekonomiczny ambasady.

Oglądam sobie towarzysza Smolińskiego, on łypie na mnie. Aristow i Smoliński zaczynają szwargotać ze sobą po rosyjsku.

- Dopiero drugi tydzień w Warszawie - Aristow informuje w przerwie - polskiego jeszcze nie opanował.

- A ja towarzysza Smolińskiego już spotkałem - obwieszczam i rękę wyciągniętą na powitanie ściskam. Patrzą delikwentowi w oczy, po czym z uśmiechem przechodzę na

angielski. - *You little lousy pimp* - mówię głosem słodkim jak miód - *I don't forget jerks like you, Mr. Eat Shit!*

Wymoczek do twardych konfrontacji nie przywykł. Tajemnicy i przynależności narodowej ukryć nie potrafi.

- *What the hell...* - wypalił wyszarpując rękę.

- Pomyłka - sepleni Aristow. Grdyka mu się trzęsie. - Towarzysz Stiepan Smoliński, obywatel Sojuza, w Mińsku urodzony. Owszem, angielski opanował perfekcyjnie, to zasługa moskiewskiego Instytutu Języków Obcych. Ale reszta, włącznie z ewentualnym podobieństwem do ewentualnie kogoś podobnego, to, wybaczcie, rzecz najzupełniej przypadkowa...

- Awierusza, przyjacielu - osaczam go miękko - nawet w Moskwie teksaskiego akcentu nie nauczą.

Pan Gównojad patrzy na mnie spode łba.

Zerkam przez ramię. Marilyn rozmarzonym gestem wodzi palcem po pieprzyku na policzku.

- *Ladies and gentlemen* - zaczynam uroczyście - *the President of the United States of America*.

Marilyn cap! ściągnęła perukę. Aristow szarpnął się ku drzwiom. Przytrzymałem go niedyplomatycznie. Wymoczek patrzył na mnie bez sympatii. Marilyn, przeciągając się w klimatyzowanym pomieszczeniu, zanuciła z uczuciem:

- *Happy birthday to you, happy birthday to you, happy birthday, Mr. President, happy birthday to you...*

- A w tym konkretnym przypadku - zwracam się do Aristowa - co powiesz o ewentualnym podobieństwie do ewentualnie kogoś podobnego?

Zmilczał. Starł chusteczką pot z czoła.

- Panie Gównojad - mówię po angielsku, w tym czasie delikatnym ruchem wysuwając Marilyn przed siebie - spójrzmy w oczy faktom.

Drań idzie w zaparte.

- Nigdy nie widziałem tej kobiety. Sekcja ekonomiczna ambasady. Eksport-import. Ja kupuję i sprzedaję.

- No to handlujecie wybrakowanym towarem, towarzyszu Smoliński - podchwytuję, by zaraz potem dodać z niewinną miną: - Bo tych trzech gości, których z towarzyszem Draczenką zakopaliście w ubiegłą niedzielę, skrócono o głowę.

Capnął Marilyn za bluzkę, przyciągnął do siebie, aż posypały się guziki. Obejmując

Marilyn za szyję, drugą ręką wyciąga z szuflady biurka pistolet i mierzy do mnie.

- Ani kroku! Trafiam do celu z każdej odległości - wrzeszczy. - Służyłem w Piechocie Morskiej. Jestem strzelcem wyborowym.

A ja w śmiech. Stoi dwa kroki ode mnie i chowając się za różowym biustonoszem M.M., straszy mnie sokolim okiem. Ustrzeli z odległości dwóch metrów! Zuch!

Dureń albo nieudacznik. Podszedłem do snajpera, rozbroiłem, spoliczkowałem za negliz M.M. Posadziłem na krześle i krawatem Aristowa związałem mu ręce w tyle.

- Mów.

Milczy.

- Wypuście, towarzysze - jęczy Aristow. - Duszno!

- Posiedzisz godzinkę, dwie, język ci się rozwiąże.

I mnie dają się we znaki klaustrofobiczne klimaty, ta sieć tuneli-kazamatów oplatająca bebechy ambasady radzieckiej, Domu Partii i Pałacu od wujaszka Stalina.

A Czerwony Piotruś? Przywiązuje Aristowa do nogi metalowego biurka i wyłącza klimatyzację. Ekspediuje nas oboje na korytarz, mnie i M.M., tam każe czekać, sam wraca do naszych milusińskich i szczelnie zamyka drzwi. Czerwonemu Piotrusiowi tropikalna duchota nie nowina. A ty, Awierusza, posmaż się. Posiedzisz w ciepелku, rozumu nabierzesz, poglądy ci się wykrystalizują.

Czekamy. Marilyn usadowiła się w furgonetce, robi przegląd kosmetyczki. Zastanawiam się, co biedaczce zrobili. Naukowa hipnoza albo chemia, jedno z dwojga. W tym momencie pamięć podsuwa mi dokonania L. Łoziny-Łozińskiego, profesorka z Leningradu, który na gąsienicach próbował dorobić się sławy. Unieśmiertelniał Bogu ducha winne gąsienice, konserwował je w ciekłym azocie o temperaturze - 178 stopni Celsjusza, by potem niby przywracać do życia. Więc patrząc, jak M.M. różową szminką delikatnie obrysowuje wargi, odbierając wszystkimi zmysłami jej naturalne krągłości i dodający pikanterii pieprzyk, myślę o nauce radzieckiej, która śmiało eksperymentuje na żywych organizmach, i żal mi ściska serce. Wzbiera we mnie, co tu dużo mówić, prymitywna złość.

Uchylają się drzwi. Na znak Czerwonego Piotrusia przekraczam próg parówki. Nie minął kwadrans, a Aristow skurczył się o połowę. Mr. Eat Shit wygląda, jakby śmierć już położyła na nim swoją łapę.

- Niewiele tego - informuje Piotruś, pokazując papierzyska z dwóch opróżnionych szuflad biurka - ale rzuć okiem, Al.

- Powietrza - jęczy Aristow.

Czerwony Piotruś zawahał się z ręką nad przełącznikiem klimatyzatora. Patrzy na

mnie.

- No, nie wiem - niby się zastanawiam.

- Będzie gadał.

- A tamten?

- Mięczak. Wszystko wyśpiewa.

Kiwam głową, Czerwony Piotruś uruchamia klimatyzator. Przysiadam na krawędzi biurka.

- Straszna tu duchota, Awierusza - zaczynam. - Mów.

- Koropotkina?

- Koropotkina.

- Pomysł Nikity Sergejewicza. Późną wiosną zeszłego roku siedzimy nad Morzem Czarnym... Alosza, dałbyś łyk wody!

- Nie mam, Awierusza. Ty tu gospodarzysz.

Aristow chwyta powietrze jak śledź wrzucony do beczki z solą.

- Łazikujemy po plaży, słońce przygrzewa. Pociągamy chłodzone gruzińskie wino.

Nikita Sergejewicz zagaja: „U mnie prawie siedemdziesiątka na karku, towarzyszu ambasadorze. Za rok upłynie dziesięć lat od wyboru na pierwszego sekretarza. Waszym zdaniem postęp to dla naszej ojczyzny czy regres? Tylko szczerze”.

- Ja na to: „Postęp, jakby inaczej. - I czytam mu wstępniaka z „Prawdy”: «W osobie Nikity Chruszczowa znalazł Związek Radziecki, KPZR i cała wspólnota socjalistyczna wybitnego męża stanu, który potrafił sprostać wyjątkowo trudnym zadaniom naszej epoki i który dobrze zasłużył się najważniejszej sprawie całej ludzkości - sprawie zachowania i utrwalenia pokoju. Rozwój gospodarczy i osiągnięcia naukowo-techniczne w ZSRR przekroczyły wszelkie oczekiwania. Jeśli USA wyprzedzają obecnie Związek Radziecki pod względem produkcji rolnej, to przede wszystkim dlatego, że na hektar ziemi ornej zużywa się tam 229 kilogramów nawozów, a w ZSRR 62 kilogramy. Kolosalny program rozwoju produkcji nawozów sztucznych, jaki obecnie za sprawą I Sekretarza Komitetu Centralnego zaczyna się w Związku Radzieckim realizować, radykalnie zmieni ten stan rzeczy. Gdyby Lenin teraz żył, powiedziałby: Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju plus chemizacja gospodarki narodowej»”.

- O Koropotkinie gadaj - przywołuję Aristowa do porządku.

- Do tego zmierzam. Ja „Prawdą” Nikicie Sergejewiczowi puentuję po leninowsku wiekopomne znaczenie chemii, a on mi na to pryncypialnie, że chemia to, za przeproszeniem, gówno. Człowiek, Awierusza, człowiek się liczy. Jakby to było pięknie, zwierza mi się

następnie, kiedy tak spacerujemy tylko we dwóch nad brzegiem Morza Czarnego, jakby to pięknie było, gdyby tak amerykańską ziemię użyźnić radzieckim nawozem! I mruga do mnie, że niby użył metafory.

Chyba już się domyślam.

- Sam na to wpadł?

- Kolektywnie. Czyli ostateczną decyzję podjął sam. Anastazję Muraszewą Koropotkinę poddano wszechstronnemu szkoleniu. A po inwazji amerykańskiej w Zatoce Świń nawet w rocznicę Października wolnego nie miała. Reżim treningowy czerwonego stopnia. Ale też hołubili ją jak kosmonautkę. Taka broń, entuzjazmował się Nikita Siergiejewicz, przysłuży się nam lepiej niż bateria rakiet dalekiego zasięgu. Po cichu doleci, cel rozpozna i spacyfikuje.

Prawdę powiedziawszy, nie bardzo mi się uśmiechało wysłuchiwać tych bredni. Nawet drugorzędny łaps z Oakland zasługiwał na coś lepszego. Anastazję Muraszewą Koropotkinę wyeksportowano do Ameryki, zniewoloną M.M. z transportem łososia alaskiego towarzysze przewieźli do Bachumi w Gruzji.

- Kiedy? - przerywam Aristowowi. Patrzę kanalii w oczy. Niech się boi, że ewentualne kłamstwo wychwyć.

- No - zaczyna z pochrząkiwaniem. Wierci tyłkiem po podłodze, a ja już wiem, że odpowiedź cholernie mi się nie spodoba - podmianka nastąpiła gdzieś tak w drugiej połowie maja. Chyba dwudziestego...

Wyrzucił z siebie tę kompromitującą datę i patrzy na mnie ślepiami kundla, który wie, że choćby do nóg się łąsił, i tak kij spadnie mu na grzbiet.

Serce mi wali, jakby chciało wyrwać się z piersi. Milczę, przybity. Pieszczę w kieszeni broń Aristowa. Myślę o tym, co usłyszałem. Życie to rynsztok. Towarzysz Dynia i jego klika porwali się na mit. Kolektywny dreszcz, który przeszywał miliony Amerykanów zgromadzonych 29 maja przed ekranami telewizorów, tony prażonej kukurydzy, orzeszków ziemnych i chipsów konsumowane jak Ameryka długa i szeroka w ów pamiętny wieczór, kiedy półnaga M.M. w Madison Square Garden wyśpiewywała prezydentowi urodzinowe życzenia, wszystkie te budujące przejawy solidnego, zdrowego, solidarnego patriotyzmu były, okazuje się, jak perły rzucane przed wieprze. Pod półprzezroczystą suknią Marilyn kryło się ciało radzieckiej partyjnej aktywistki.

Patrzę na wredną gębę ambasadora Sojusza i ręka mnie świerzbi. Czemuż by nie zrobić użytku z jego własnej broni? Wywalę draniowi cały magazynek między oczy. Zapłacę za zbrukanie amerykańskiego mitu. Biedna Marilyn! Wielodniowe przygotowania do

urodzinowej gali na cześć Kennedy'ego zdały się psu na budę. Nafaszerowana barbituranami, z transportem amerykańskich ryb ląduje w Sojuszu, a do mikrofonu w Madison Square Garden dorywa się Anastazja Muraszewa Koropotkina.

Myśl o Koropotkinie przemknęła mi zaledwie przez głowę, ale wystarczyło. Podziałała na mnie jak zimny prysznic.

- Koropotkinę - odzywam się z pewnością w głosie - to wy zdjęliście. Na czym wpadła?

Aristow zrobił płaczliwą minę.

- Nie my, Alosza. Wierz albo nie wierz, ale to nie my. - Przerwał dla nabrania oddechu. - Zdekonspirowała się.

- A nie mówiłem? Amerykańskiego akcentu żadna sowiecka akademia nie nauczy.

- Bzdury opowiadasz! - Widzi, że się zagalopował, więc dalej spokojnie: - Nie takie rzeczy są u nas możliwe. A człowieka w kosmos kto pierwszy wysłał?

Zakłuł mnie w oczy tym radzieckim człowiekiem w kosmosie. No to ja tym razem ostrzeż:

- No więc?

- Wstyd się przyznać, Alosza, ale newralgiczny obszar wiedzy kompletnie zaniedbaliśmy. Relacje damsko-męskie, rozumiesz. No i Kennedy wywęszył pismo nosem. Sam wiesz, w pewnych sprawach, hm, są takie sytuacje, że kobieta mężczyzny nie nabierze. - Pokręcił kwadratową głową. - A Koropotkiny żal! Poległa śmiercią nieznanego żołnierza.

Grzebię w stosie papierzyk na biurku. Cztery paszporty, każdy ze zdjęciem wymoczka. Dwa z sierpem i młotem, wystawione na dwie różne osoby: Anton Smoliński i Jewgienij Smirnow. Dwa amerykańskie, według nich Mr. Eat Shit nazywa się Lee Harvey Oswald albo Alek Hiddell. Do wyboru, do koloru.



- Kolekcjoner?

- Nieszczęśliwy człowiek, Alosza. Rąbnęło go na tle narodowości. Jednego dnia nienawidzi Ameryki, następnego dnia obrót o sto osiemdziesiąt stopni, pluje na Związek Radziecki. Przygarnęliśmy jak swojego. Amerykanin, ale zawsze to żywe stworzenie.

Ostatnie zdanie wpadło mi jednym uchem i wypadło drugim, bo oto znalazłem i trzymam w ręku gorący dowód zamachu na trzy czarnoskóre Koguty i ubezwłasnowolnienia towarzyszkę Zajcewej. Dopadłem Sławina!


Z udawaną obojętnością, ziewając, lustruję mocno sfatygowany przód okładki by następnie, odwróciwszy książkę w dłoniach, zobaczyć znajomo wyglądający tył inkryminowanej publikacji

WYKONANIE W WARSZAWIE



SPADKOBIERCA

LOTERIA
GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



ISKRY

Niby od niechcienia przeglądam egzemplarz przecenionego *Spadkobiercy*. Jak się spodziewałem, brakuje kartki ze stronami 203 i 204. Ale to nie jedyne ubytki. Ocalała kartki czyjaś ręka pomazała czerwonym długopisem, w rogach tu i ówdzie nabazgrane ośle uszy. Odgrywając rolę sfrustrowanego inkwizytora, któremu miły każdy przerywnik, przeglądam to, co zostało ze *Spadkobiercy*, usypiam czujność Aristowa, by zniecka rzucić:

- Powiedz mi, Awierusza, jak sojusznik sojusznikowi, po cholere faszerowaliście te trzy odcięte głowy cytatami ze Sławina?

Zabulgotało mu w gardle, jakby się dusił.

- Jakim cudem... - wymamrotał.

- Awierusza - mówię - przede mną prawdy nie ukryjesz.

- Ja bym się z nim nie cackał - dobiegło mnie zza pleców warknięcie Czerwonego Piotrusia.

Spojrzałem na zegarek.

- Towarzyszu ambasadorze - przyjąłem służbowy ton - jeśli mam was wybronić przed ciekawością polskich towarzyszy, to wykładajcie mi tu zaraz wszystko jak na spowiedzi.

Gównojad siedzi jak trusia. Łypie to na mnie, to na Aristowa, ku Czerwonemu Piotrusiowi popatruje nieufnie. A nuż na niego się zmawiamy? Na dodatek w progę staje Marilyn i bawi się pilniczkiem do paznokci.

Pochyliłem się nad wymoczkiem, wachluję się Sławinem i pytam od niechcienia, naśladowując jego południowy akcent:

- Tamtych trzech to ciąłeś sam, czy z Draczenką?

Nie czekam na odpowiedź, pozostawiając wymoczka na pastwę wyobraźni wracam do Aristowa. Słyszałeś pytanie. Już wiesz, że nie warto bawić się ze mną w kotka i myszkę.

Strzelił oczami w lewo, w prawo. Powrócił spojrzeniem do mnie.

- Żyjemy w trudnych czasach, Alosza. Kolektyw - mądry, nieomylny kolektyw - dusi się pod dyktatem tyranii. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. W ustach Aristowa takie stwierdzenie trąciło prowokacją.

- Czwarta Międzynarodówka, pamiętasz? - Aristow ożywił się. - Trzeba budować nową jakość, tak mówiłem polskiemu towarzyszom, sam słyszałeś. Czyli że - przemyślałem między wierszami - czas na zmiany. Ogródkiem, między wierszami właśnie, bo prawdą walić po oczach nikt z naszych się nie odważy. Człowiek mądry najpierw wysonduje. Posyła sygnał i czeka na odzew. Przygotowuje grunt.

Marilyn rysuje po ścianie pilnikiem do paznokci. Wydrapuje esy-floresy i nuci, że jej serce należy do tatusia. Aristow skrzywił się. Może sumienie go ruszyło.

- Tyran, Alosza. Ubzdurał sobie, że skoro Stalina posłał do piekła, to nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Marylin to miał być dopiero początek. Mała wprawka. W dalszej kolejności, planował, weźmiemy się za innych. Podmienimy de Gaulle'a, może nawet Kennedy'ego.

- Wariat! - nie wytrzymałem.

- No, wariat. Kolektywu nie słucha. Jemu się wydaje, że może sobie cały świat budować na nowo. Lepić dowolnie z kawałków, jakby chodziło, nie przymierzając, o rekonstrukcję Lenina. Czy nie wariactwo? Prawdziwego Lenina zostało dziś tyle, co kot napłakał.

- Awierusza - mówię jak do dziecka, choć sam już nie wiem, czy śmiać się, czy płakać - przecież to nie mogło się udać. Nawet z głupią kukurydzą mu nie wyszło.

- Ty to wiesz i ja to wiem. Ale jak wybić pierwszemu sekretarzowi z głowy podobne bzdury? Skoro kolektywu nie słucha? A pokaż mi bohatera, co by próbował w pojedynkę.

- Czyli co?

- Sposobem trzeba. - Pokazał brodą biurko. - Tam powinna być gazeta. Poszukaj z łaski swojej i przynieś.

Leży. Biorę i oglądam. Egzemplarz „Życia Warszawy” z datą 28 kwietnia. Na pierwszej stronie u samej góry czerni się wielki tytuł:

Fidel Castro przybył do ZSRR

Serdeczne powitanie w Murmańsku

Zwiedzenie lodolamacza »Lenin«

- No więc?

- Czytaj.

Zapuszczam nos w gazetę i czytam: „27 bm. do Związku Radzieckiego na zaproszenie przewodniczącego rady ministrów ZSRR, N. Chruszczowa, przybył z wizytą przyjaźni I sekretarz krajowego kierownictwa Zjednoczonej Partii Rewolucji Socjalistycznej, premier rewolucyjnego rządu Republiki Kubańskiej Fidel Castro Ruz. Samolot «Tu-114», na którego pokładzie znajdował się Fidel Castro oraz towarzyszące mu osoby, wylądował wczesnym rankiem na lotnisku w pobliżu Murmańska. Gości powitali członek prezydium Mikojan...”

- Kawałek dalej - przerywa mi Aristow.

Widzę, że i wymoczek nadstawił swoje chude uszy. Za to Czerwony Piotruś pokazuje na zegarek.

- Spotkanie z pierwszym sekretarzem - przypomina.

- Czytaj od „Na pokładzie «Lenina»” - podpowiada Aristow.

- „Fidel Castro witany był nadzwyczaj serdecznie przez pracowników portu. Razem z A. Mikojanem gość kubański oglądał poszczególne działy i przedsiębiorstwa portowe. W przeprowadzonych z tej okazji rozmowach F. Castro przypomniał, że dzięki pomocy radzieckiej w dziedzinie rybołówstwa republika kubańska poczęła uzyskiwać o wiele bogatsze połowy. Castro i Mikojan udali się na pokładzie holownika przez Zatokę Kolską ku okrętowi flagowemu radzieckiej floty arktycznej - statkowi o napędzie atomowym, noszącemu imię Lenina. Statki zagraniczne znajdujące się w zatoce przywdziały gałę flagową...”

- Wystarczy - woła Aristow. Patrzy na mnie znacząco. - Teraz rozumiesz? Pamiętaj, Castro prawie nie rusza tyłka z Kuby. Okopał się i siedzi jak w twierdzy. Od czasu objęcia władzy tylko dwa razy odważył się pojechać za granicę.

- Tak, teraz wszystko jasne - dukam. Ni w ząb nie wiem, o co mu chodzi.

- Zamiast od razu kazać mu wylądować w Moskwie, wyekspediowali Fidela najpierw do Murmańska. Pomysł Nikity Siergiejewicza, oczywiście. A tam już mieli czekać kubańscy *mercenarios* Nikity. W Murmańsku za bardzo rzucaliby się w oczy, więc tymczasem przyczaili się w Warszawie. Według planu 26 kwietnia razem z nowym modelem Fidela lecą z Warszawy do Murmańska, za wiedzą Mikojana i kapitana jednostki dekują się na „Leninie”. Kiedy na pokładzie atomowca „Lenin” ląduje prawdziwy Fidel, następuje podmianka. Oryginał trafia na dno Zatoki Kolskiej, fałszywka leci do Moskwy na dalszą część wizyty.

- Wybacz, Awierusza - przerwałem mu - ale to się kupy nie trzyma.

Pokiwał smętnie głową.

- Tyle to i my wiedzieliśmy. Nad Związkiem Radzieckim zawisła groźba kompromitacji. Trzeba, postanowiliśmy, *mercenarios* Nikity powstrzymać.

- „My”, czyli kto?

- Towarzysze, którym leży na sercu dobro Związku Radzieckiego. Zabij, Alosza, ale więcej nie powiem. Pożyjesz, sam zobaczysz. Jak sprawy potoczą się po naszej myśli, dowiesz się najpóźniej za rok.

- Czyli - zrobiłem domyślną minę - ci trzech czarnoskórzy *mercenarios* już z Warszawy nie wylecieli?

- Żeby to było takie proste! O mało i nas nie wykołowali. Grali na dwa fronty. Duplikatu, pojmujesz, pozbyli się i chcieli wyeliminować prawdziwego Fidela! I to niby na wasze zlecenie! Rozumiesz? Wielki Fidel przyjeżdża z pierwszą wizytą do bratniego

Związku, a Jankesi robią mu kuku. Pod okiem pierwszego sekretarza, na gościnnej radzieckiej ziemi. Wiesz, co by z tego mogło wynikać? - Westchnął. - Sam przyznasz, Alosza, innego wyjścia nie mieliśmy. Tak było trzeba. Dla ratowania pokoju światowego.

Przeciągnąłem się, aż zatrzeszczało mi w stawach.

- Awierusza, obrażasz mnie. Naprawdę myślisz, że uwierzę w te bzdety?

- Bzdety, powiadasz? Przez ostatnie czterdzieści lat nie takie rzeczy widziałem.

Dałem znak Czerwonemu Piotrusiowi.

- Rozwiąż.

Poszperałem w kosmetyczce Marilyn, znalazłem nożyczki i poprzecinałem kable telefonów. Ja ze swojej strony nie popełnię żadnego błędu.

- Ale plamę jednak daliście.

Aristow spojrział na mnie, nie przestając masować nóg.

- Mówisz o zgubie? - Pokazał głową Smolińskiego vel Oswalda. - Straszny nieudacznik, Alosza. Miał zostawić towar w przejściu podziemnym pod ambasadą, a pojechał tunelem aż pod Dom Partii. Pilnie posłaliśmy ekipę, ale sam wiesz, musztarda po obiedzie.

- Co chcesz - zrobiłem obojętną minę, choć śmiać mi się chciało, bo obraz towarzyszki Zajcewej z kubłem i zmiotką wciskał mi się pod powieki - profesjonalna ochrona. Wasze szczęście, że nikt obcy nie wypatrzył.

- Próbowaliśmy swoimi kanałami podpytać, co wiedzą. W jakim kierunku idzie śledztwo. Gomulka, cwaniak, nie puszcza pary z ust. - Łypnął na mnie błagalno-konspiracyjnie. - Zrozum, Alosza, świat stoi na krawędzi!

Podjąłem decyzję dziwnie łatwo. Żadna sztuka, kiedy nie widać alternatywy.

- Towarzyszu ambasadorze - celowo przybieram oficjalny ton - wy zapomnicie o M.M., a ja dołożę starań, żeby polscy towarzysze przestali się interesować tymi trzema głowami.

Pomyślał, skinął na znak zgody.

- Jakie masz wobec niej plany?

- Nie odpowiem.

- Zrobisz, jak chcesz. Ale lepiej, żeby dzinn pozostał w butelce.

Zamieniłem się w znak zapytania.

- Proste, Alosza. Nie zapominaj, że CIA już raz ją pochowała.

Marilyn z wysuniętym języczkiem ryła na ścianie serce przebite strzałą.

- Awierusza - podjąłem z naciskiem, nie odrywając spojrzenia od M.M. - chemia czy hipnoza?

- Hipnoza, niestety - powiedział z głośnym westchnieniem, jakby próbował zrzucić z piersi ciężar. - Metoda Gagarina-Titowa.

- Wyjaśnij - rzuciłem ponuro.

- Selektywne wyłączanie obszarów pamięci. - Wzruszył kościstymi ramionami. - Pokaż mi zdrowego na umyśle towarzysza, który dałby się dobrowolnie wsadzić do rakiety i wystrzelić w kosmos.

- Da się to cofnąć?

Powtórzyłem pytanie, a Aristow milczy.

- Pytaj tych, co wiedzą. - Skulił się, niepewny mojej reakcji. Próbuje mnie udobruchać cytatem z *Casablanki*: - Jestem tylko biednym skorumpowanym urzędnikiem.

Mnie wcale nie do śmiechu.

- Dla niej to nawet lepiej - próbuje mnie przekonywać. - Jakby zaczynała życie od nowa.

- Lew Sławin - przypuszczam atak od drugiej strony. - Co Sławin miał z tym wspólnego?

- O tej książce mówisz? E tam, błazenada Draczenki! Wiesz, z niego był taki niespełniony literat. Miał obsesję na punkcie Sławina. Jeszcze za studenckich lat posłał maszynopis jakichś swoich wypocin do Związku Literatów w Moskwie. Podobno mieli mu to nawet wydać, ale ostatecznie tekst trafił do Sławina, a ten nie zostawił na nim suchej nitki. „Zrujnował mi artystyczną przyszłość” - pieklił się Draczenko. Jak on Sławina nienawidził! Poprzysiągł sobie, że go zmiele na proch. Ale na towarzysza Lwa Sławina miał za krótkie ręce. No, istna dziecinada, mówię ci. Nie potrafił dopaść Sławina, to wyżywał się na jego książkach. Żył tą obsesją.

„Obsesja”. Lejtmotyw Aristowa odbił mi się echem w głowie. Na usprawiedliwienie samobójczej głupoty powód równie dobry jak każdy inny. Wobec Draczenki, wobec Draczenki mierzącego do mnie z załadowanego pistoletu, nie potrafiłem jakoś zdobyć się na współczucie.

- Biorę samochód, Awierusza. Przespacerujesz się. - Pozbierałem cztery paszporty Smolińskiego vel Oswalda. - Jego zabieram.

- E, zostaw gamonia. U was rady sobie nie da. A u nas jakoś się go przepchnie. Da Bóg, awansuje, doczeka państwowej emerytury.

Popatrzyłem na proletariackie, przygarbione metr siedemdziesiąt Mr. Eat Shita wciśnięte w znoszoną koszulę i spodnie jak po starszym bracie. Pał go diabli! Machnąłem ręką i rzuciłem paszporty wymoczka na biurko.

48.

Siedziałem naprzeciwko Pierwszego w jego gabinecie. W oczy kłuły szafki z książkami. Statystyka, ekonomia i Maria Konopnicka.

Wyjął z szuflady biurka papierową torebkę, wysypał na dłoń kilka landrynków i wpakował je na raz do ust.

- Poczęstujcie się.

Podsunał mi torebkę. Wziąłem lepkiego cukierka i zacząłem ssać.

- Rzucam palenie - oznajmił z pełnymi ustami.

- Porozmawiajmy w cztery oczy.

Kazał Halloweenowi i Garocie poczekać na korytarzu. Rozejrzawszy się po pokoju, nachyliłem się nad biurkiem i ścisząc głos, powiedziałem:

- Gauryzankar.

Wbił we mnie spojrzenie przez soczewki okularów. Wreszcie poddał się:

- Nie słyszałem.

- Supertajna baza chińska na granicy z Nepalem. U stóp góry o tej samej nazwie.

- Aha.

- Chińczycy, wiadomo nie od dziś, nie ustają w próbach poróżnienia Związku Radzieckiego z resztą obozu socjalistycznego.

- Zwycięzamy w polemice na argumenty! List Komitetu Centralnego KPZR do KC KP Chin jest kolejnym posunięciem zmierzającym do uregulowania rozbieżności, jakie powstały w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Racja jest po naszej stronie. Chruszczów od miesięcy przestrzega chińskich towarzyszy, że lewicowy oportunizm jest dzisiaj nie mniej niebezpieczny niż rewizjonizm.

- Plan Chińczyków był na tyle zuchwały, że miał szansę powodzenia. Skaptowali kubańskich najemników. Mieli zabić Castro, kiedy będzie objeżdżał Związek Radziecki z pierwszą wizytą.

- Kubańscy najemnicy? - powtórzył za mną Towa.

- Trzech czarnoskórych hawańczyków.

Wypluł landrynki do popielniczki.

- Rosjanie w porę odkryli plan - uspokoiłem.

Towa podniósł rękę pytającym gestem. Plotłem więc dalej:

- Jakby to powiedzieć, zlikwidowali zło w zarodku.

Towa drżącymi rękami osadził połówkę sporta w lufce.

Zapalił.

Jeżeli o mnie chodzi, na tym postanowiłem zakończyć. Im mniej powiem, tym większa szansa, że się nie zapłaczę. Wstałem. Zatrzymał mnie.

- A te trzy głowy?

- Fuszerka. Miały trafić do pieca ambasady chińskiej. Wiedziałem, jakie będzie następne pytanie. Jeszcze mówił, a ja już wyjmowałem kartkę, na której stosowny fragment wzięłem w obwódkę.

kiedy ktoś z nas już zbyt silnie zaczynał tęsknić za rodziną.

Kurylenko jednak nie zareagował. Odkładał więc serdeczną rozmowę z nim jeszcze na jeden dzień. Teraz leży na ziemi zniechęcony i zły, jak alpinista, który zdobywszy nareszcie szczyt Gauryzankaru, przekonał się, iż nie warto było zdzierać kolan, ponieważ stamtąd nic nie widać prócz zamglonych dolin oraz kupy śmieci, zostawionych przez turystów, podczas gdy my obaj z Kolesnikiem wytrząsamy z worka trzy chude ukraińskie koguty.

- Tych kogutów mam już po dziurki w nosie - mruczy ze złością Stiepiłow, opalając je nad ogni-

Towa, z wypiekami na poblądłej twarzy, sylabizuje: „...i zły, jak alpinista, który zdobywszy szczyt Gauryzankaru, przekonał się, iż nie warto było zdzierać kolan, ponieważ stamtąd nic nie widać prócz zamglonych dolin oraz kupy śmieci, zostawionych przez turystów...”

Przerywam mu:

- I taka była rola książki Sławina. „Gauryzankar” - literat Sławin trafił do całej historii przez to jedno słowo. Słowo - klucz, przekaz dla towarzyszy chińskich, że Rosjanie wiedzą, kto stoi za próbą zamachu na Castro.

Trzymałem już spoconą rękę na klamce, kiedy dogonił mnie głos gospodarza:

- A Koropotkina?

Udałem wahanie.

- Obawiam się, że dla dobra sprawy więcej nie wolno mi powiedzieć. Proszono mnie o dyskrecję. Towarzyszu pierwszy sekretarzu - posłałem mu znaczące spojrzenie - niech wam wystarczy zapewnienie, że powróciła na swoje miejsce.

- Rosjanie - odchrząknął - nie będą się czepiać?

Odczekałem dobrą chwilę z odpowiedzią.

- Oficjalnie nic o sprawie nie wiedzą. Będziecie pytać, dociękać - tylko zrobią wielkie oczy. Było, minęło.

Wyciągnął rękę, jakby chciał poklepać mnie po ramieniu. Rozmyślił się. Sięgnął do szafki w biurku.

- Mam coś dla was. - Sapał pochylony, pierwszomajowe słońce ślizgało się po czubku łysiejącej głowy. - Słowa ulatują, rzecz materialna przetrwa. Prezent dla was. Przyjmijcie jako moje osobiste podziękowanie. Aha, zawołajcie z łaski swojej Pipkowa.

Wyszedłem, ściskając pod pachą sporych rozmiarów pluszowego misia. Miał wylupiaste oczy i szyję ściśniętą krawatem.

Halloween, oparty o ścianę, drzemał na stojąco. Minąłem Garotę i podszedłem do niego.

- *Pipkow, buddy, how about one more American English lesson before I'm leaving for good?*

- Lej of!

- Zdobywać wiedzę - przywołałem na pomoc klasyka, bodajże Lenina - należy nawet od wrogów. Przetłumacz: dobry cios.

- E gud blou - wystękał z udawanym przymusem.

- Schrzanić robotę.

- Blou dze dżob.

- Puścić farbę.

- Blou dze łysi.

- *Yeah! A damned good job, Pipkow!* A teraz zwroty grzecznościowe z wyrazem „*blow*”. Specyfika amerykańskiej angielszczyzny zakłada, że...

Diabli tam! Angielski może i jest specyficzny, nie na tyle jednak, by pakować do zwrotów grzecznościowych obsceniczne „*blow*”. Jeżeli było cokolwiek specyficznego, to sytuacja, a dokładnie przypadek Halloweena-Pipkowa. Że brałem całą sprawę nazbyt osobiście? Nie jestem Chuckiem, żeby nadstawiać drugi policzek. Typek, który przykłada mi do głowy załadowany pistolet, nie może liczyć, że puszczy incydent w niepamięć.

Wyrażenie proste jak drut, dosadne i kolokwialne. Zdecydowanie nieliterackie. Postarałem się wbić mu je do głowy. Zadowolony z ostatecznego wyniku, posłałem Halloweena do pryncypała. Sam ruszyłem w miasto, by znaleźć czynny aparat telefoniczny na monety. Miałem wszystkiego sześć pięćdziesięciogroszówek, a musiałem się dowiedzieć, czy ambasadorowi Cabotowi udało się coś zwojować w mojej sprawie.

49.

Do Tyrmanda zjechałem późnym wieczorem. Autor *Złego* zajmował strych przerobiony na mieszkanie w kamienicy na Dobrej przy Mariensztacie. Kiedy się zjawiłem, było już po kolacji. Czerwony Piotruś, rozparty w fotelu przy szafce z gramofonem, który właśnie odtwarzał płytę ze standardami jazzowymi, kończył wyjadać łyżeczką dżem truskawkowy prosto ze słoika. Marilyn zmywała w kuchni naczynia. Obcisłą granatową sukienkę przewiązała białym ręczniczkiem udającym fartuszek. Tyrmand tkwił w kuchennych drzwiach niczym ryba na haczyku. Twarz miał plamistą jak przy szkarlatynie. Nie spuszczał z Marilyn wzroku.

- Dobre wieści - oznajmiłem na powitanie.

Odwrócił się niechętnie.

- Hm?

- Jutro wyjeżdżamy.

- Po co ten pośpiech?

Oho, pomyślałem, chyba tracę przyjaciela.

Marilyn wynurzyła się z kuchni. Tyrmand przestał zwracać na mnie uwagę.

- Mój mały Leo - musnęła go dłonią po policzku. - Coś cię trapi? Pamiętaj, jak człowieka swędzi, to musi się podrapać.

Przynajmniej jeden kamień spadł mi z serca. Mimo przejść ostatnich miesięcy M.M. zachowała amerykańskie podejście do życia.

Tyrmand mówił po angielsku z akcentem zdradzającym obcokrajowca, za to słowa dobierał płynnie i z wrodzoną elegancją.

- Nie zapytasz, Marilyn, o czym myślę?

- A o czym mężczyźni mogą myśleć? Już ja dobrze wiem, co wam chodzi po głowie. Baseball albo budowa pistoletu automatycznego.

Najwyraźniej była na najlepszej drodze, by odzyskać choćby część dawnej formy. Odciągnąłem Tyrmanda na bok i wyłożyłem mu swoją prośbę. Spojrzał na mnie jak na wariata. Wszedł. Nie było go ponad kwadrans.

- Tylko to znalazłem w piwnicy - kończył otrzepywać książkę z kurzu. - Zanim wyrzucili mnie ze Stowarzyszenia Dziennikarzy, wydawnictwa przysyłały mi gratisowe egzemplarze.

- W twardej okładce?

- Uhm.

Obejrzałem książkę pod kątem przydatności. Rok wydania: 1955. Lekko podniszczona, ale ogólne wrażenie niezłe. Tyle że, wiedziałem, bez pomocy eksperta mogę ją wrzucić do kosza.

- Załatwisz mi na jutro Boguckiego?

- Felka Szufladę? - Spojrzał na mnie, potem na książkę i chyba się domyślił. - Spróbuję. A ja już zacząłem cię posądzać...

O szczegóły nie pytał. Stary praktyk. Im mniej wiesz, tym zdrowiej dla duszy. Pewnie dlatego w Polsce jest niewielu schizofreników.

Odczekałem jeszcze parę minut. Wreszcie podniosłem się, żeby wyjść. Nikt się nie kwapił, by zaproponować mi spóźnioną kolację.

Czerwony Piotruś chrapał rytmicznie w fotelu. Marilyn siedziała w kucki na dywanie przed telewizorem, prawie z nosem w ekranie. Zagapiłem się na nią. Ewolucja naprawdę stanęła na wysokości zadania.

- Tylko do jutra - zapewniłem gospodarza. - Przez tę jedną noc jakoś się z nimi przemęczysz, co?

Odprowadził mnie do drzwi. A w przedpokoju z tajemniczą miną wręczył mi przygotowany zawczasu pakunek. Rozwinałem z bijącym sercem. Zobaczyłem znajomą okładkę. Otworzyłem. Stronę tytułową pierwszego wydania *Złego* wypełniała dedykacja i autograf autora. Uściskałem go serdecznie.

- Al?

- Tak, Leo?

- Myślisz, że marzenia się spełniają?

Przyjrzałem mu się z niepokojem. Dostrzegłem w oczach Tyrmanda objawy podobne jak u Chucka, kiedy w porze lunchu rozdaje przechodniom zaproszenia od Jezusa. Rozkraczył się na granicy dwóch światów. Nie mogłem go tak zostawić. Zaciśnąłem zęby i wcisnąłem mu *Złego* z powrotem w rękę.

- Leo - zacząłem uroczyście - obiecuję ci, że najpóźniej za rok, dwa cała nasza czwórka będzie zbijać baki na Piątej Alei. Przywieziesz mi książkę do Ameryki. Trzymam cię za słowo.

Do hotelu wróciłem pieszo. Decyzja podyktowana sentymentem: jeśli nic się nie wydarzy, miała to być moja ostatnia noc w Warszawie. Po ulicach - gromadnie, pojedynczo i parami - snuły się niedobitki wracające z pierwszomajowych festynów garmazeryjno-artystycznych w trójkącie plac Defilad - park Saski - Mariensztat. W ten jedyny w roku dzień

czekało na nich czterdzieści uspołecznionych kawiarni i restauracji, które z okazji 1 Maja przedłużyły godziny pracy do północy. Święto nie święto, sprywatyzowany rynek usług erotycznych funkcjonował pełną parą. Hałaśliwe śmieciarki kończyły oczyszczać miasto z transparentów i portretów.

Pod pokojem zastałem Bruce'a. Cały w gorączce. Nie mógł się doczekać mojego powrotu, żeby się pochwalić pożegnalnym prezentem od Cyrana. Ugryzłem się w język, nie chcąc sprawić mu przykrości. Najwyraźniej miał mniej szczęścia niż ja. Plusz, krawat, wyłupiaste oczy - w pierwszej chwili wszystko wydawało się być jak należy. Wystarczyło jednak dobrze się przyjrzeć, by nabrać podejrzeń, że jego pluszowy misiek paskudnie zezuje.

- Rękodzieło - podkreślił. - Limitowana seria.

- Trudno o dwa takie same - zgodziłem się.

Nie chciałem przedłużać rozmowy. Pół godziny później spałem twardo jak kamień. Śniła mi się M.M. W skąpej nocnej koszuli wślizgiwała mi się do łóżka. Broniłem się rękami i nogami. Skończony dureń!

50.

O dziewiątej rano zapukał dyskretnie inżynier Dederko. Przyniósł śniadanie i dzisiejsze gazety. Podziękowałem mu stułotowym banknotem. Jedząc jajecznicę z deficytową szynką, zająłem się prasą. Na pierwszej stronie „Życia Warszawy” bił entuzjazmem po oczach tytuł:

250 tys. ludzi w pochodzie na ulicach Stolicy

Udał się nam ten 1 Maja!

Dwie bite strony tekstu. A na nich, między innymi, że defilujące tłumy dały wyraz nie tylko swej radości, ale i słusznej dumy z niemałych osiągnięć. Ramie w ramię szły zakłady pracy, poszczególne dzielnice, delegacje robotników, chłopów i inteligencji pracującej. W tegorocznym pochodzie kroczyli też po raz pierwszy uczestnicy specjalnych młodzieżowych pociągów przyjaźni z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Węgier. Reprezentacja młodzieży niemieckiej wręczyła Władysławowi Gomułce i Józefowi Cyrankiewiczowi dwa śliczne, pluszowe niedźwiadki - herb Berlina.

Przeczytałem ostatnie zdanie i doznałem uczucia niedowartościowania. Z drugiej strony Bruce miał rację: misie pochodziły z limitowanej serii. W ciągu czterdziestu ośmiu

godzin trzeci raz zmieniają obywatelstwo, ale to, uznałem, już nie moja sprawa. Popijając wystygłą jajecznicę kawą, przebiegłem wzrokiem resztę nagłówków.

Cały świat świętował 1 Maja pod hasłami walki o pokój, przeciw zbrojeniom „A”, o wyzwolenie ludzkości z pęt kapitalizmu

Przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych Fulbright ujawnia nowy skandal łapówkowy w Kongresie USA

CHRUSZCZÓW I CASTRO WSPÓLNIE PRZYJMUJĄ DEFILADĘ PIERWSZOMAJOWĄ NA PLACU CZERWONYM

KOMPROMITACJA USA W GUANTANAMO

Generał William Collins w amerykańskiej bazie Guantanamo na Kubie tropiący sygnały świetlne widoczne w pobliskim miasteczku kubańskim Caimanera stwierdził po długotrwałym śledztwie, że rzekomy szyfr to światła nowo zainstalowanej sygnalizacji świetlnej.

WIDAĆ PIERWSZE OBJAWY POPRAWY NA RYNKU

Krowy żywią się już tegoroczną paszą, a siano jest wyjątkowo piękne - mówi minister Mieczysław Lesz. Szybko wzrasta mleczność krów. O poprawie sytuacji paszowej świadczy fakt obniżki cen wolnorynkowych na zboże i ziemniaki jeszcze przed zniwami.

Rok 1964 upłynie pod znakiem obchodów związanych z 400-leciem urodzin Williama Szekspira

Czworaczki, które przyszły na świat w Fukums na Łotwie, nosić będą imiona radzieckich kosmonautów: Jurij, Herman, Adrian i Paweł.

Polskie fabryki zapalczane wyprodukowały w ubiegłym roku 72 mld 634 mln zapalek, które pomieściły się w 1 mld 321 mln pudełek.

WIZYTA KENNEDY’EGO W RZYMIE ODWOŁANA

Planowana na ten rok wizyta oficjalna prezydenta Kennedy’ego i małżonki w stolicy Włoch została przesunięta ze względu na to, że pani Kennedy oczekuje w sierpniu trzeciego dziecka.

Tyrmand nie zawiódł: Bogucki zameldował się po wpół do jedenastej. Dederko, pies śledczy, chciał zadziałać przez zaskoczenie. Zamiast zatelefonować z recepcji, osobiście przetransportował Boguckiego windą na górę. Wtarabanił się przed nim do pokoju, by tonem niewyżbytym podejrzeń zaanonsować:

- Gość do pana redaktora.

A Bogucki przytomnie, wysuwając przed siebie czarny skórzany neseser z wielką mówiącą plombą na rączce:

- Kurier z Komitetu Centralnego.

Zjawił się z całym podręcznym kramikiem. Ledwo zostaliśmy sami, puściłem radio na pełny regulator i zacząłem opowiadać przygotowaną zawczasu historyjkę. Przerwał mi po dwóch zdaniach:

- Jedno pytanie: szaber czy polityka?

- Polityka - skłamałem, nie wiem czemu. Pewnie chciałem przy nim lepiej wypaść.

Ruchem ręki wielkiej jak szufla odesłał mnie na fotel przed telewizorem.

- Pan szanowny sobie usiądzie i się zrelaksuje. Potrzebuję pół godzinki bezwzględного spokoju.

Wziął ode mnie kopertę i rozłożył się z kramikiem na stole. Jerzy Połomski, polski Paul Anka, śpiewał w radiu o mistrzu Buo i Arlekinie zakochanym w małej Li. Bogucki, uzbrojony w jubilerskie szkło powiększające, pracował i nucił z Połomskim. Arlekin dopóty błagał starego Buo o wmontowanie serca, aż ten spełnił prośbę. Arlekin fatalnie na tym wyszedł, bo na widok Li serce w piersi zapłonęło mu takim szczęściem, że się sfajczyło wraz z drewnianym Arlekinem. Nawet pajacom miłość wychodzi bokiem.

Mistrz Bogucki sprawił się w dwadzieścia pięć minut. Zbaraniałem.

- Która?

- Niech pan zgadnie.

Obejrzałem okładki z każdej strony.

- Aha - zablefowałem - tylna.

- Przednia.

Uparł się, że grosza nie weźmie. Gdyby chodziło o biznes, to i owszem. Sam siedział za politykę; za co dokładnie, nie chciał powiedzieć. Więc, zaznaczył, dla idei pracuje za piękne oczy. Spieszyło mu się. Mnie też. Zawinałem książkę w egzemplarz „Życia Warszawy” i zjechałem z Boguckim na dół.

- Podwieźć pana gdzieś? - zaoferował.

Zawahałem się. Każdy ma tylko jedno życie. Nie bardzo mi się uśmiechało powierzać

mój los jednemu z tych wynalazków, których konstruktorzy szukali kompromisu między wozem wyścigowym a puszką na sardynki.

Bogucki miał zadatki na psychologa, bo bez trudu mnie przejrzał.

- Droższej marki niż syrenka nie zamierzam kupować. Zaraz by mnie dupnęli po kieszeni. To co, Śródmieście czy gdzieś dalej?

Musiałem wybierać: kawiarnia Czytelnika albo Klub Literatów? Po namyśle poszedłem za radą Tyrmanda.

- Krakowskie Przedmieście. Mam sprawę w Klubie Literatów. To zdaje się przy kolumnie Zygmunta?

Wsiedliśmy. Docisnął gaz do dechy. Jeżeli samochody mają dusze, to dusza syrenki Boguckiego ulokowała się w rurze wydechowej. Kiedy wygramoliłem się u celu, wciąż męczyła się w ziemskiej powłoce. Szybkim krokiem ruszyłem do rokokowej kamienicy pod numerem 89. W myśl wskazówek Tyrmanda pomiąłem obie sale kawiarniane i dębowymi schodkami zbiegłem do restauracji w suterenie. Mimo przedobiedniej pory połowa stolików miała klientelę. Wyłącznie męska obsada, większość w wieku ziółkowo-gastrycznym.

Putramenta wypatrzyłem przy stoliku w głębi pod ścianą. Garnitur, krawat, zestaw gazet w zasięgu ręki. Siedział sam, dziobał widelcem w gulaszu z makaronem. Czytał bez okularów.

Zaszedłem go od frontu. Na moje dzień dobry ciężko podniósł głowę. Poznał mnie i od razu powiało chłodem.

- Mój ostatni dzień w Warszawie - mówię i bez ceregieli przysiadam się. - Nie chciałem wyjeżdżać bez pożegnania, panie ambasadorze.

Kanciasty pokraśniał. Przetarł usta chusteczką.

- E, taki tam epizodzik.

- Piękna karta w życiorysie - bredzę. - Co za biografia! Godzić służbę dla kraju z literaturą. Nie wiedziałem, przyznaję, nie wiedziałem...

- A pan czemu częściej miałby do nas nie przyjeżdżać? Chyba nic nie stoi na przeszkodzie.

Położyłem mu rękę na dłoni.

- Pluję sobie w brodę! Ja, dziennikarz, tak dać się podejść! Pokusa łatwych osądów, to nas gubi. Za nic bym nie chciał zostawić po sobie fatalnego wrażenia.

Rozwinąłem książkę i złożyłem ją przed nim delikatnie.

- Mogę prosić o wpis?

Otworzył egzemplarz powieści *Rzeczywistość* (twarda obwoluta, rok wydania: 1955,

egzemplarz nieco przyniszczony, zwłaszcza w rogach okładki). Widzę, że mina mu zrzęła.

Stuknąłem dramatycznie palcem w tarczę zegarka na przegubie. Dochodziła dwunasta.

- Objechałem wszystkie księgarnie na Nowym Świecie. Tragedia. Gdzie bym nie pytał, wszystkie tytuły wyprzedane. A za kilka godzin wylatuję. Co robić? Dopiero w antykwariacie...

- Taak - skrzywił się - ale 1955 rok? Nie mieli czegoś wydanego po pięćdziesiątym szóstym?

- Marzenie ściętej głowy! Każde wydanie rozchodzi się jak świeże bułeczki. Deficytowy towar.

Kanciasty okazał się pamiętliwy.

- Pańskiego Tyrmanda - sarknął - też ponoć nie sposób zdobyć.

Zwęszyłem niebezpieczeństwo.

- Biję się w piersi. Komercja. Literatura niskiego lotu. Dopiero tu, w Polsce, przejrzałem na oczy.

Otworzył wieczne pióro. Idę za ciosem:

- Proszę jak najczytelniej - celowo podnoszę głos, więc towarzystwo przy sąsiednich stolikach budzi się do życia. - Zrobię prezent działaczom z Domu Polonii Amerykańskiej. Niech to będzie pamiątka na długie, długie lata.

Zawiesił rękę ze stalówką nad kartką, przyżółconą przez lata zesłania w piwnicy Tyrmanda.

Zaczynam niewinnie:

- Wiem, wiem, oryginału to nie zastąpi. Gdyby jednak zechciał pan, panie Jerzy, rozważyć zgodę na publikację w języku angielskim... Przecież nie tylko polonusi chcą pana czytać.

- Ciszej, na miłość boską! I bez tego mam wrogów.

Robię przeproszającą minę. Kanciasty macha ręką. Zaczyna skrobać stalówką po papierze. Wreszcie wystudiowanym gestem podaje mi otwartą książkę. Czytam z nabożeństwem: „Ałowi Niczyjemu z nadzieją na przetrwanie przyjaźni, dedykuje autor”. Pod tej treści dwulinijkową dedykacją dzisiejsza data i czytelnie „Jerzy Putrament”.

Dziękuję z wyreżyserowanym wzruszeniem. Ten wpis, brnę dalej, już dziś wart jest fortunę. *S'il vous plaît* - zrewanżował się odgrzewaną francuszczyzną i wylewnie uściśnął mi rękę.

Wybiegłem jak na skrzydłach i ruszyłem na przystanek autobusowy, zostawiając za sobą Klub Literatów i kolumnę Zygmunta. Od planowanego odlotu dzieliły mnie godziny.

Usiłowałem myśleć racjonalnie. Ból istnienia dawał mi po kościach. Ratując się, sięgnąłem ręką do kieszeni. Pozostały mi dwie sztuki Wrigley's Spearmint Gum. Zaaplikowałem sobie jedną, ostatnią postanowiłem schować na czarną godzinę.

51.

Dederko rozpływał się w komplementach.

- Takich gości - chlupał, popatrując przez konfidenckie łzy to na mnie, to na Bruce'a - nasz hotel nie będzie już miał.

- Przyjechał! - oznajmił Bruce ze swego miejsca na parapecie okna. Zeskoczył na podłogę.

Wyjrzałem na ulicę. Na chodniku przed hotelem stała nowiutka zielona skoda z popielatym dachem.

- Skąd wiesz, że jego?

- Po numerach.

Dederko uparł się, że będzie dźwigał mi walizkę. Nie chciałem mieć staruszka na sumieniu, w końcu jednak ustąpiłem. Zjechaliśmy windą we trójkę. Na dole uregulowałem rachunek za siebie i Bruce'a. Do książki meldunkowej dyskretnie wsunąłem podobiznę prezydenta Jacksona.

Dederko zamachał rękami.

- Absolutnie nie mogę!

- To napiwek. Zdrowa amerykańska tradycja.

- Przecież pan wie - zapłakał, ze zrećnością prestidigitatora składając na pół dwudziestodolarowy banknot i wsuwając do wąskiej kieszonki kamizelki - że w Polsce prywatny obrót dolarami jest nielegalny.

- Ale *Poczet amerykańskich prezydentów* wolno trzymać?

- W celach propagandowych...

Odtransportował nas do skody i osobiście wrzucił bagaże do kufra. Cyrano, nie wychodząc zza kierownicy, podziękował mu podaniem ręki. Ruszyliśmy. Hotel oddalał się w zawrotnym tempie. Dederko z każdą sekundą tracił na wzroście. Machał nam chusteczką, prawą rękę przyciskał do serca.

Cyrano, nie zwalniając, rzucił mi przez ramię:

- To co? Pożegnalna rundka Nowym Światem?

- Chętnie.
- Nie wieje panu, Al?
- Ależ skąd, pani premierowo.

Usadowiony na tylnym fotelu taksowałem z uznaniem fryzurę i pastelową garsonkę pani Niny. Cyrano bezbłędnie lawirował między strumyczkiem warszaw, syren, autobusów i dostawczych nysek ślimaczących się Nowym Światem. Dzień dobiegał końca. Zaczęło mżyć. Na chodnikach przeważały ortaliony obu pici. Wśród wystawowego nabiału i konserw wciąż jeszcze kwitły pierwszomajowe rekwizyty.

- Józek, nie szalej. Zwolnij - syknęła premierowa.

Na wysokości baru Kuchcik Cyrano gładko wyminął autobus linii 116. Odwrócił się do nas z szelmowską miną.

- Dobra *driver* - pochwalił Bruce.

Zbliżaliśmy się do Foksal. Znajomy widok przywołał świeże wspomnienia: senior Fogg z żeńskim zespołem wokalnie-instrumentalnym w „Kameralnej”, a na ich tle kafkowski seans, który przyniósł metamorfozę doktora Utanga; pomyślałem też o Draczenie, jak pod osłoną nocy taszczy z Oswaldem trzech bezgłowych kubańskich *mercenarios*; wreszcie nie bez ukłucia żalu wspomniałem Tyrmanda, jego *Życie towarzyskie i uczuciowe* rzucone na pastwę książkożerców z PIW-u.

Coś mnie gryzło. Nostalgia, rodowa spuścizna po pradziadku spod Solferino.

- Al - odezwał się premier - spytaj Bruce'a, co w Polsce podobało mu się najbardziej.

Przetłumaczyłem.

- Tolerancja - odparł Bruce bez namysłu, wyglądając przez okno skody. - Polska to bardzo postępowy kraj.

Przetłumaczyłem.

- Aha - skwitował Cyrankiewicz podejrzliwie.

- W Ameryce - Bruce wyjaśnia, a ja tłumaczę - są miasta, gdzie kolorowy jest na indeksie. A wy zwykłemu Murzynowi poświęćcie tablicę pamiątkową. Nie byle gdzie, bo na Starówce.

- Pierwsze słyszę - mruknęła premierowa.

- Murzyn? Co za jeden? - zainteresował się Cyrano.

- Feliks Dzierżyński.

- Kto mu takich głupot naopowiadał?

Bruce otwiera i podtyka mi pod nos anglojęzyczny przewodnik po Warszawie.

- Faktycznie - mówię - na frontonie kamienicy „Pod Murzynkiem” jest głowa

Murzyna i tablica takiej treści: „W TYM DOMU W R. 1899 FELIKS DZIERŻYŃSKI PRZEMAWIAŁ NA ZEBRANIU ROBOTNICZYM”.

- Niech go piorun strzeli! - huknął premier.

Skoda z piskiem opon zahamowała na wysokości Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Wyrzniętem czołem o oparciu fotela.

Podniósł się raban.

- Przejechałeś dziecko! - krzyczała premierowa.

- Szczeniak wlaźł prosto pod samochód!

- Rusza się - uspokoiłem. - Nawet go nie drasnęliśmy.

Całą czwórką wyskoczyliśmy na jezdnię. Dzieciak pozbierał rzeczy, które mu wypadły z tornistra, i przeniósł się z nimi na chodnik. Zgromadziła się grupka gapiów. Cyrano nasunął kapelusz głębiej na oczy.

- Czemu nie po pasach? Jak ojcu zasolą mandat, to się nauczysz!

Chłopak kończył chować książki.

- A pan pędził jak do wypadku. Nowy Świat to nie tor wyścigowy.

Premierowa wtrąciła się mitygującym tonem:

- Jak masz na imię, chłopcze?

- Adaś.

- A ile, Adasiu, masz lat?

- Dwanaście.

Może inni daliby się nabrać, nie ja. Paradował w krótkich spodenkach, ale wyglądał na szesnaście. No i pokażcie mi dwunastolatka, który nosi w tornistrze Schopenhauera, Trockiego i tubki z niezmywalną czerwoną farbą. Ruch na rondzie przerzedził się. Na frontonie Domu Partii wciąż wisiały pierwszomajowe głowy Marksa i Lenina. Deszcz siąpił. Nie zanosilo się na szybką poprawę pogody.

Cyrano wyjął z kieszeni pięcioletnią monetę.

- Zmykaj, mały. Kup sobie loda.

Patrząc, jak moneta z rybakiem wędruje do ręki dzieciaka i chwyta mnie jeden z tych znamienne profetycznych skurczów żołądka. Nieodparte przeczucie, że decyduje się coś ważnego. Wóz albo przewóz. Jedna z tych chwil, których nie da się cofnąć, by naprawić ewentualny błąd.

Nie było mi wcale łatwo. Z ciężkim sercem wyjąłem ostatnią wrigleyówkę i sprezentowałem Adasiowi.

- Oryginalna?

- Jak gwiazdzisty sztandar - zapewniłem.

Ruszył jak z kopyta Nowym Światem i zniknął w pierwszej bramie. Z moją wrigleyówką.

Czas uciekał. Zapakowaliśmy się do samochodu i skręciliśmy w wieczorną Świętokrzyską. Biało-czerwone flagi na latarniach tkwiły w uścisku czerwonych. Przed Centralnym Domem Towarowym dobiegała końca sprzedaż książek i rolek papieru z pierwszomajowych zapasów. Bruce wczuł się w rolę amerykańskiego turysty, zapamiętałe pstrykał zdjęcia przez okno.

„Międzyszkolny Klub Dyskusyjny” - przeczytałem nagłówek na zgubionej przez Adasia kartce, którą dyskretnie podniosłem i przechowałem w kieszeni. Krótki tekst w tonie instruktażu nawoływał drukowanymi literami:

„NA POCZĄTEK PROPONUJE SIĘ, BY Z MYŚLĄ O CELU DALEKOSIĘŻNYM, CZYLI DEZINTEGRACJI OŚRODKÓW WŁADZY, STAWIAĆ NA KAŻDYM MOŻLIWYM FORUM PYTANIE: «W CZYIM INTERESIE JEST ISTNIENIE TRASY W-Z?». ZALECANY SPOSÓB ROZWIĘCIA TEMATU: «SKORO BOWIEM POJAZDY Z NATURY RZECZY PRZEMIESZCZAJĄ SIĘ NA TRASIE W-Z ZARÓWNO ZE WSCHODU NA ZACHÓD, JAK I Z ZACHODU NA WSCHÓD, KTO PERSONALNIE ODPOWIADA ZA DECYZJĘ, BY TEJ SZTANDAROWEJ INWESTYCJI POLSKI SOCJALISTYCZNEJ PATRONOWAŁ WEKTOR ZE STRZAŁKĄ NIESŁUSZNIE ZAPATRZONĄ NA ZACHÓD?»”

52.

Pewnym krokiem. podchodzę do stanowiska odprawy paszportowo-celnej. Przybieram wyraz twarzy stałego pasażera międzynarodowych linii lotniczych, który nie ma nic do ukrycia.

- Obywatel USA?

Urzędnik, przeglądając paszport, zerkał na mnie spod grzywki przetłuszczonych włosów. Przekroczył przepisową wagę o cztery kategorie i twarz miał jak ze smalcu. Pocił się nawet wtedy, kiedy się nie ruszał.

- Amerykanin. Dziennikarz prasy polonijnej - uprzedziłem, bo zabierał się właśnie za przeglądanie mojego bagażu. Obejrzał teczkę wycinków z gazet. Wysypał ubrania i obmacał każdą sztukę.

- A to?

- Pamiątka. Prezent dla dziecka - poprawiłem się, podczas gdy palce tłuściocha profesjonalnie obmacywały centymetr po centymetrze pluszowego niedźwiadka od młodzieży enerdowskiej.

- Panowie razem? - zapytał.

Pełen złych przeczuć spojrziałem na sąsiednie stanowisko kontroli paszportowo-celnej. Zezowaty bliźniak mojego berlińczyka był właśnie poddawany rewizji osobistej. Bruce próbował coś wyjaśniać po angielsku.

- Pierwszy raz widzę - zapewniłem.

Celnik jakby takiej odpowiedzi oczekiwał. Ciachnął enerdowca scyzorykiem po brzuchu. Posypały się trociny. Wsadził łapę do środka. Nic nie znalazł. Znowu w ruch poszedł scyzoryk. Jeszcze zanim pasibrzuch dokonał dekapitacji, wiedziałem, że mój berlińczyk już się nie wywinie. Każdemu to kiedyś pisane.

Masakra przeciąga się. Z nudów liczę cięcia scyzorykiem. Bruce, dureń skończony, macha do mnie.

Kurtyna zapadła. Skoda z premierostwem uwozi oboje incognito do Alei Róż. Zostaliśmy sami: ja, Bruce i państwo de Thierry z Cambridge w stanie Massachusetts. Dwadzieścia trzy cięcia, tyle naliczyłem. Feralna liczba nieboszczyka Cezara. Enerdowiec, naturalnie, w rozsypce. Na wargach nadal przechowuję smak kremu do rąk Niny-Kleopatry. Nie ma wyboru, teatralnie szepnęła, zawierając mi sekret, podczas gdy Cyrano-Cezar przestępował z nogi na nogę. Uścisnąłem mu rękę na pożegnanie. Nawet Brutusowi, szepnąłem za bazyliśką, nie możesz wierzyć. Albo miecz na ich karki, zawtórowała mi Kleopatra, albo sztylet w twoje piersi. To niepotrzebne, fuknął premier, o moje życie troszczą się żołnierze, którzy strzegą tego pałacu. A Nina-Kleopatra: Lękam się o ciebie, Cezarze, i nawet tej nocy spać nie będę spokojnie.

Patrzę na enerdowca: dekompozycja.

- A to co?

Celnik jakby chciał przewiercić mi się wzrokiem do mózgu. Psycholog od siedmiu boleści.

- Rarytas - mówię z udawanym wzruszeniem - egzemplarz autorski z wpisem Jerzego Putramenta. Dla mnie wart każdego pieniędzy.

Zerkam przez prawe ramię: Bruce już po odprawie. Jego zezowaty berlińczyk wyszedł z przygody bez jednego draśnięcia.

Celnik oddaje mi paszport. Zbieram porozrzucane rzeczy i dołączam do Bruce'a. Po

drodze wrzucam szczątki pluszaka do kosza. Tak kończą bezpaństwowcy.

- Jak poszło?

- Jak po maśle. - Bruce nadrabia miną. Kiedy myśli, że nie widzę, masuje się po klatce piersiowej.

- Zgaga? - pytam.

- E, drobiazg.

Nie zamierzam ciągnąć go za język. Sam zaczyna zdawać mi relację. Pamiątka po sifu Cyrano, bąka. Wyrażam zainteresowanie, w kilku zdaniach streszcza całą historię: Cyrano przy pożegnaniu chciał się pochwalić postępami w treningu. Ambicja, wigor, wiek nie gra roli. Szybki wykrok i cios na wydechu. Bruce spóźnił się z blokiem. Wszystko przez awanturę na praskim brzegu Warszawy, przez burdę pod Oazą, z której wyszedł poobijany i ze spowolnionym refleksem. Stara galicyjska szkoła, puentuję w myślach. Premier nie robi niczego na pół gwizdka.

Przerywam, bo oto państwo de Thierry. Ona - włosy wściekle rudego koloru, w uszach białe perłowe klipsy, wbita w zieloną garsonkę drobi małymi kroczkami, spódnica przed kolana, nieprzyzwoicie ciasna, szwy grożą pęknięciem przy każdym wahnięciu modelowych bioder. Stuka szpilkami. On, naturalny rudzielec, na głowie kapelusz panama. Spodnie szerokie, beżowe, luźna sportowa marynarka w kolorze śliwki maskuje nietypową budowę. W butonierkę załadował biały goździk. Pali cygaro, jakby robił to od kołyski. Mister Smalcowaty skrupulatnie ogląda turystyczne paszporty małżonków ze Stanów. Strona po stronie. A ja czuję, że śniadaniowa porcja Quaker Oats pcha mi się z powrotem do przełyku.

Wreszcie nadeszła wyczekiwana z niepokojem chwila.

I już wiem, że będę smażył się w piekle. Zwątpiłem w wielkość Ameryki! Celnik bez mrugnięcia powieką kupuje stemple, wizy i wpisy wysmażone przez ludzi Cabota. Na widok pani de Thierry oczy chcą wyskoczyć mu z orbit. Roztopia się pod ocienionym rzęsami spojrzeniem Diane de Thierry. Ani mu w głowie podważać wiarygodność amerykańskiego paszportu i rudej peruki.

Bruce krzywi się.

- Lowelas od siedmiu boleści!

- Co cię ugryzło?

- Taki Quasimodo, a jaką cizię sobie przygruchał!

- Ostrożnie - mówię - żebyś z czymś podobnym nie wyskoczył w samolocie. To szkolny kumpel ambasadora Cabota. Poza tym - dodaję - on i ona to miłość od pierwszego wejrzenia.

Vincent de Thierry, oparty półdupkiem o służbowy kontuar, przegląda strony gospodarcze „New York Timesa”.

- Nawet nie próbuj go zagadywać - przestrzegam. - Otwiera gębę tylko po to, żeby wydać polecenie maklerom.

Bruce kręci nosem.

- Dziwny jakiś - smęci.

- Melanż genów. Matka Norweżka z domieszką krwi latynoskiej, ojciec był Irlandczykiem z flamandzkim rodowodem. Cholerny z niego raptus.

Państwo de Thierry z paszportami zmierzają w naszą stronę. Smalcowaty przykleił się wzrokiem do dwóch bliźniaczych wypukłości przesuwających się rytmicznie pod dopasowaną zieloną spódniczką. Jego serce rusza do ostatniej gonitwy, na wyścigi pompuje hektolitry krwi. Próbuje się nie dać zaatakowanym przez miążdżycę żyłom. Ale angina pectoris już się rozgościła w klatce piersiowej i chwyta go za gardło.

Zapowiadają odprawę pasażerów lecących do Paryża. Z bagażami całą czwórką kierujemy się do stanowiska Air France.

- *A hell of a day*, uhm? - Bruce zagaduje do Utanga.

Utang wachluje się złożonym egzemplarzem „New York Timesa”. Kopię Bruce’a w kostkę.

53.

Huštało. Pod nogami miałem dziesięciokilometrową przepaść. Człowiek wie, że w takim momencie niewiele od niego zależy. Lęk wysokości łagodziłem szkocką. Putrament w twardej obwolucie spoczywał bezpiecznie na moich kolanach. Książę Khan wypłaci mi należne.

Marilyn posadziłem obok siebie. Dla zamydlenia oczu Bruce’owi wymyśliłem bajeczkę o kłopotach pani de Thierry (śmierć wuja, spadek, fałszywy kuzyn, szantaż), którym w Stanach mam spróbować zaradzić. Przysypiała z głową na moim ramieniu. Ruda peruka pachniała perfumami Red Door. Bruce i Utang usiedli rząd wcześniej. Utang z nostalgią nomada wyglądał przez okno. Bruce zaciskał zęby. Narzekał na turbulencje i ból w klatce piersiowej. Masował miejsce, gdzie przyjął cios Cyrana. Rozkleił się jak baba. Dobrze ci mówić, fuknął, kiedy go objechałem. Takie rzeczy, smęcił, potrafią się odezwać nawet po dziesięciu latach.

Drogi panie Pipkow, wygłaszam wymagany toast, z umiarem popijając szkocką. Drogi panie Pipkow, rozmawiam jak równy z równym, chociaż z mojej obecnej perspektywy Halloween jest mniejszy niż łebek od szpilki. Pipkow, draniu, obyś nie zapomniał lekcji angielskiego. Kamery, pełna pompa, sekretarz Komunistycznej Partii USA na audiencji u Towy. Pierwszy sekretarz w ramionach pierwszego sekretarza. Flesze. Oklaski. Wymiana kryształów. Szczere, bratnie rozmowy przy kieliszku. Towarzysz Pipkow chwali się swoim potocznym amerykańskim. Kolokwializmy dla scementowania przyjaźni. Nagle konsternacja i zaraz potem guru amerykańskich komunistów wali Pipkova po głbie. Wynikają smutne konsekwencje. Pipkow zamyka się w sobie. Zmaga się z traumą. Ostatecznie ląduje w dyrekcji szaleńców miejskich.

Marilyn przeciąga się we śnie, aż rude fałszywki łaskocą mnie w szyję.

- *Mr. President* - mruczy - *happy birthday to you, sweet - heart...*

Patrzę na profil i pieprzyk rozpoznawalny jak Statua Wolności. Zaczyna do mnie docierać, na co się porywam. Nowe zobowiązania. Czas męskich decyzji i wyrzeczeń. Na początek - zegnaj, Kalifornio! Hollywood zbyt blisko, a licho nie śpi. Za jakie grzechy? To, co najlepsze, przejdzie mi koło nosa. Nie zobaczę, jak doktor Strasser łysieje i popada w alkoholizm. Julianne-Anne zaludni Ziemię tuzinem dzieci i będzie przypominać wypełniony helem balon. Kerouaca wrzuci do wychodka. Będzie nosić męskie buty numer dziewięć i sukienkę przerobioną z poswy na kołdrę. Pewnej nocy podrze swoje dziewicze dżinsy, skręci z nich sznur i powiesi na nim Strassera.

- Al? - wzdycha Bruce. - Znasz w Oakland dobrego lekarza?

- W Oakland?

- Wyprowadzam się z Seattle. Już mówiłem.

- Nie ma sprawy. W Oakland roi się od uczciwych lekarzy. Każdy chętnie zedrze z ciebie ostatnią koszulę.

Utang zamówił koniak, ja płacę. Przynajmniej o niego mogę być spokojny. Wyrazista postać. Wybija się ponad przeciętność. Ameryka to kraj w sam raz dla niego. Marilyn? Teraz, zwłaszcza teraz, to zupełnie inna historia. Dla mnie garb do końca życia. Forsy od księcia Khana na długo nam nie wystarczy, zrzęczę, otwierając Putramenta na tytułowej stronie. Właśnie, ile taki autograf może być wart? Mowa o Wilusiu ze Stratfordu, nie o Putramencie. Jest rok 1610. Zwabiony tysiącem dukatów Szekspir porzuca na krótko Stratford i intratny handel zbożem. W charakterze kierownika trupy przypląwa z zespołem angielskich aktorów do Gdańska. Theatrum Gedanense, jedyny teatr elżbietański na kontynencie, planuje godnie uczcić swoje powstanie. *Wiele hałasu o nic, Wesole kumoszki z Windsoru, Poskromienie*

złośnicy - na te trzy przedstawienia opiewa kontrakt spisany ręką Szekspira z władzami miasta. Skoro do dziś zachowało się zaledwie sześć podpisów Szekspira, to gdański kontrakt jest sensacją na światową skalę. Zwłaszcza kiedy dokument trafi na rynek antykwaryczny w czterechsetną rocznicę urodzin stachanowca ze Stratfordu. Zakładając oczywiście, że mistrz nie wywinał jakiegoś numeru. Wiluś Trzęsiwłócznia miał poczucie humoru, skoro zapisał się na śmierć w rocznicę własnych urodzin. Za to chylę przed nim czoła. Umieć odejść, zanim głowa i zwieracze zaczną fiksować.

- Pierwszy raz od miesiący spałam bez koszmarów...

Marilyn przebudziła się. Wtula się w moje prawe biodro.

Naprawdę niezłe kolana.

- Al - mruży mi do ucha, muska ciepłym oddechem mój nieogolony policzek - to może być początek pięknej przyjaźni...

Cytat z *Casablanki* w jej ustach! Akurat w chwili, kiedy sam zadaję sobie pytanie, czy film dlatego tak się mnie uczepił, że Rick Blaine przewierca ołowiem imiennika konowała Strassera.

- Rozchmurz się, Al. Nie bierz wszystkiego tak śmiertelnie na serio. To po prostu jeszcze jedna rola.

Zamawiam szkocką bez lodu dla siebie i M.M. Bruce nie pije; alkohol, twierdzi, zakłóca równowagę między ying i yang. Utang pozostaje przy koniaku. Stałość to piękna cecha. Punkt oparcia, na którym można zbudować coś trwałego. Zanim w Paryżu przesiądziemy się na Boeinga 707 linii PanAm, który zawiezie nas do Nowego Jorku, kupię w sklepie wolnocłowym mały zapas Wrigley's Spearmint Gum.

Marilyn bez skrzywienia upiła łyk szkockiej. Coraz więcej nas łączy. Pozostaje mieć nadzieję, że hipnoza metodą Gagarina Titowa ma długofalowe działanie. Nowe kłopoty mi niepotrzebne. Westchnąłem, pogodzony z losem. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jest w moich rękach jak plastelina. Mogę ją urabiać wedle własnej woli.

Spojrzała na zegarek.

- Paryż już niedaleko - zakomunikowałem.

- Wszyscy są daleko. Zmienili dusze, ażeby łatwiej zdradzać.

Pociągnąłem ze szklanki. Starąłem się zebrać myśli. No tak, uspokajam się, nie można mieć wszystkiego na raz. Kosmonautyka radziecka też ma swoje plusy i minusy.

- Nie poznałeś? Naprawdę?

Pokręciłem głową.

- Céline! *Śmierć na kredyt*. - Marilyn robi kwaśną minę, żeby dokończyć tonem

reprimendy. - Przecież to kanon! Absolutne minimum, Al!

Wisiałem dziesięć tysięcy metrów nad ziemią. Kończyłem drugą whisky. W spoconej dłoni trzymałem Szekspira przebranego za Putramenta. Jakby nie patrzeć, literatura. Za sprzeniewierzenie się własnym zasadom przychodzi słono płacić. Mimo to nie traciłem nadziei. Zawsze jest jakiś promyk nadziei; tego się uchwyciłem. Na przykład rozbijemy się przy podchodzeniu do lądowania. Albo Teksasńczycy wypowiedzą wojnę reszcie Ameryki.

W najgorszym razie w domu odkurzę przenośną maszynę do pisania marki Remington i wszystko opiszę. Klin klinem.

- Dla pana jeszcze raz to samo? - Obcy głos... Stewardesa? Przekonam się, kiedy otworzę oczy.